

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



DIDEROT

ZAKONNICA

Tower Press 2000
Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Przekład WACŁAWA ROGOWICZA

Tytuł oryginału:
„LA RELIGIEUSE”

I

Odpowiedź pana markiza de Croismare, jeżeli ją otrzymam, dostarczy mi wstępnych słów do tej opowieści. Przed napisaniem do niego zapragnęłam go poznać. Jest to światowiec; zdobył rozgłos w służbie wojskowej; jest podeszły w latach, był żonaty, ma córkę i dwóch synów, których kocha i jest przez nich czule kochany. Wysokiego rodu, światły, dowcipny, wesoły, ma gust do sztuk pięknych, a nade wszystko jest oryginalny. Wysławiano mi jego wrażliwość, jego honor, jego prawość; z żywego zainteresowania się moją sprawą i ze wszystkiego, co mi o nim powiedziano, osądziłam, że się bynajmniej nie skompromitowała zwracając się doń: ale nie należy mniemać, że zdecyduje się odmienić mój los nie wiedząc, kim jestem, i ten powód skłania mnie do pokonania mej miłości własnej i odrazy, w chwili gdy biorę się do pisania tego pamiętnika, gdzie opisuję część moich nieszczęść, bez talentu i bez kunsztu, z naiwnością właściwą memu wiekowi i ze szczerością, jaka cechuje mój charakter. Ponieważ mój protektor mógłby domagać się kiedyś zakończenia tego pamiętnika lub mnie samej mogłaby przyjść fantazja, aby to uczynić wtedy, gdy nie mogłabym sobie uprzytomnić odległych już wydarzeń, pomyślałam sobie, że streszczenie, które ten pamiętnik zamyka, i głębokie wrażenie, jakie te wydarzenia pozostawią we mnie do końca życia, wystarczyłyby mi, abym przypomniawszy sobie je dokładnie.

Ojciec mój był adwokatem. Poślubił moją matkę w dość późnym wieku, miał z nią trzy córki. Posiadał większy majątek, niż było potrzeba, aby je dobrze wydać za męża, ale na to należało co najmniej, aby jednakowym uczuciem darzył wszystkie swoje dzieci; dużo zaś brakuje, abym go mogła pochwalić w tym względzie. Z pewnością przewyższałam swoje siostry powabami umysłu i postaci, charakterem i zdolnościami i wyglądało na to, że moi rodzice są tym strapieni. Ponieważ przewaga nad siostrami, jaką zawdzięczałam naturze i pilności w nauce, stawała się dla mnie źródłem zmartwień, więc aby być kochana, pieszczona, obdarowywana, zawsze usprawiedliwiana jak one, od najmłodszych lat pragnęłam być podobna do nich. Jeżeli zdarzało się, że ktoś powiedział do mej matki: „Ma pani urocze dzieci”, nigdy to nie stosowało się do mnie. Czasami bywałam pomszczona za tę niesprawiedliwość, ale otrzymane pochwały kosztowały mnie tak drogo, gdy zostawaliśmy sami, że wolałabym obojętność lub nawet obelgi; im bardziej wyróżniali mnie ludzie obcy, tym więcej było kwaśnych humorów w domu, gdy sobie poszli. O, com się nieraz napłakała, że nie urodziłam się brzydka, tępa, głupia, pyszna, słowem, że nie mam wszystkich wad, które moim siostrą zapewniały względy u naszych rodziców! Zastanawiałam się, skąd się brało to dziwactwo w ojcu, w matce, ludziach zresztą porządnym, rzetelnym i nabożnym. Czyż mam to panu wyznać? Kilka powiedzeń, które wymknęły się memu ojcu w gniewie, bo był porywczy; pewne okoliczności, jakie zestawiałam sobie w różnych odstępach czasu, odezwania się sąsiadów, gadanina służby kazały mi podejrzewać przyczynę, która by rodziców nieco usprawiedliwiała. Być może, mój ojciec miał jakieś wątpliwości co do mego urodzenia; być może przypomniałam matce błąd, który była popełniła, i niewdzięczność człowieka, któremu zbyt ulegała; bo ja wiem? Ale gdyby te podejrzenia były bezpodstawne, co bym ryzykowała, zwierając się z nich przed panem? Pan spali to pisanie, a ja przyrzekam spalić pańskie odpowiedzi. Ponieważ przyszliśmy na świat w krótkich odstępach czasu, dorosłyśmy wszystkie trzy razem. Zjawili się konkurenci. O moją starszą siostrę starał się pewien uroczy młody człowiek; spostrzegłam, że on wyróżniał mnie i że jej osoba będzie tylko nieustannym pretekstem jego załatów. Przeczuwałam, jakie zmartwienia mogłyby ściągnąć na mnie jego względy, i uprzedziłam o tym matkę. Był to może jedyny postęp w moim życiu, który sprawił jej przyjem-

ność; i oto, jak zostałam zań wynagrodzona. W cztery dni potem, w każdym razie niebawem, powiedziano mi, że zamówiono dla mnie miejsce w klasztorze, i zaraz nazajutrz odwieziono mnie tam. W domu było mi tak źle, że to wydarzenie zgoła mnie nie zasmuciło i udałam się do Panny Marii, to mój pierwszy klasztor, w bardzo wesołym nastroju. Tymczasem młody człowiek, starający się o moją siostrę, nie widując mnie więcej zapomniał o mnie i został jej małżonkiem. Nazywa się pan M.; jest notariuszem i mieszka w Corbeil, gdzie tworzą oni nie-dobre małżeństwo. Moja druga siostra wyszła za niejakiego pana Bauchon, kupca bławatnego w Paryżu na ulicy Quincampoix, i żyje z nim dość dobrze.

Po wydaniu za mąż moich dwóch sióstr sądziłam, że rodzice pomyślą o mnie i że niebawem opuszczę klasztor. Miałam wówczas szesnaście i pół lat. Siostry moje otrzymały znaczne posagi; obiecywałam sobie podobny los do ich losu; miałam głowę nabitą ponętnymi projektami, gdy oto wezwano mnie do rozmównicy. Oczekiwał mnie tam ojciec Serafin, spowiednik mojej matki, a również i mój, toteż bez ogródek wyjaśnił mi powód swych odwiedzin: chodziło o namówienie mnie, bym przywdziała habit. Oburzyłam się na tę dziwną propozycję i oświadczyłam wręcz, że nie czuję żadnego powołania do życia zakonnego. „Szkoda, powiedział mi, gdyż twoi rodzice wykosztowali się na wyposażenie twoich sióstr i nie obrażam sobie, co mogliby dla ciebie zrobić przy tych ograniczonych środkach, jakimi teraz dysponują. Zastanów się nad tym, moje dziecko; trzeba albo wstąpić na zawsze do tego klasztoru, albo udać się do jakiegoś zgromadzenia zakonnego na prowincji, gdzie cię przyjmą za skromną opłatą; wyjdiesz stamtąd dopiero po śmierci rodziców, na co jeszcze długo możesz poczekać...” Gorzko się żaliłam i wylałam strumienie łez. Przełożona wiedziała o tej wizycie; czekała na mnie, gdy wróciłam z rozmównicy. Byłam w stanie rozstroju, którego nie sposób wyrazić. Zapytała mnie: „Co ci się stało, moje drogie dziecko? (Wiedziała lepiej ode mnie, co mi się stało.) Jak ty wyglądasz! Nigdy nie widziano takiej rozpaczki jak twoja, drzę cała. Czyś straciła ojca lub matkę?”

Chciałam odpowiedzieć, rzucając się w jej objęcia: „O! dałby Bóg!...”. Pohamowałam się i zawołam: „Niestety! nie mam ani ojca, ani matki, jestem nieszczęśliwą istotą, która budzi nienawiść i którą chce się zakopać tutaj żywcem.”

Przełożona przeczekwała wybuch. Gdy się nieco uspokoiłam, wyłożyłam jej wyraźniej, co mi przed chwilą oznajmiono. Zdawała się litować nade mną, żałowała mnie, zachęcała, bym nie poświęcała się stanowi, do którego nie miałam żadnego pociągu; obiecała, że będzie prosić, przekładać, robić starania.

O panie! jakie te przełożone klasztoru są przebiegłe! pan nie ma o tym pojęcia. Istotnie, napisała w mojej sprawie. Wiedziała, jaką dostanie odpowiedź, zakomunikowała mi ją i dopiero po długim czasie nauczyłam się wątpić o jej dobrej wierze. Tymczasem termin dany mi do powzięcia decyzji nadszedł; przełożona przysłała poinformować mnie o tym z doskonale wyuczonym smutkiem. Z początku milczała chwilę, następnie rzuciła mi kilka słów współczucia, z których zrozumiałam resztę. Odegrała znowu scenę rozpaczki. Niewiele innych scen będę miała do odmalowania panu. Umieć zapanować nad swymi uczuciami jest wielką sztuką tych kobiet. Potem powiedziała mi, doprawdy myślę, że nawet płakała: „A więc, moje dziecko, zamierzasz oto nas opuścić! Drogie dziecko, nie zobaczymy się więcej!...” – i inne jakieś słowa, których nie dosłyszałam. Wpół leżąc na krześle trwałam w milczeniu bądź wybuchałam łkaniem, albo siedziałam bez ruchu, lub wstawałam i to opierałam się o ścianę, to dawałam ujście memu bólowi na jej piersi. Oto, jak sprawy się miały, gdy ona dodała: „Ale czemu nie masz zrobić jednej rzeczy? Posłuchaj mnie, a przynajmniej nie wyrwij się z tym, że ja ci to poradziłam; liczę na niezmienną dyskrecję z twojej strony, bo za nic w świecie nie chciałabym, aby ktoś mógł mi zrobić jakiś zarzut. Czego od ciebie żądają? Żebyś wstąpiła do klasztoru? A więc, czemu nie miałabyś wstąpić? Do czego cię to zobowiązuje? Do niczego, do tego, byś jeszcze dwa lata spędziła z nami. Nie wiadomo, ani kto umrze, ani kto będzie żył: dwa lata to kawał czasu, dużo rzeczy może się stać w ciągu dwóch lat...”. Do tych podstęp-

nych słów dodała tyle pieśczoł, tyle zapewnień przyjaźni, tyle miłej obłudy – wiedziałam, gdzie jestem, nie wiedziałam, gdzieby mnie wysłano – że dałam się przekonać. Napisała więc do mego ojca; jej list był bardzo ładny. O, w tych sprawach była nieprześcigniona: nie przemilczała ani mego smutku, ani mego bólu, ani moich sprzeciwów, zapewniam pana, że i sprytniejsza ode mnie dziewczyna dałaby się podejść; jednakże list kończył się wyrażeniem mojej zgody.

Jak szybko wszystko zostało przygotowane! Wyznaczono dzień, przyszykowano mi strój, chwila ceremonii nadeszła, tak że dziś zdaje mi się, iż wydarzenia te były niemal jednoczesne. Zapomniałam panu powiedzieć, że widziałam mego ojca i moją matkę, że nie zaniedbałam niczego, aby ich wzruszyć, i że byli nieubłagani. Niejaki ksiądz Blin, doktor Sorbony, udzielił mi nauki przed obłóczynami, habit otrzymałam z rąk biskupa Alepu. Ta ceremonia sama przez się nie jest wesoła; tego dnia była nader smutna. Chociaż zakonnice starały się podtrzymać mnie, czułam nieustannie, że nogi uginają się pode mną i że zaraz upadnę na stopnie ołtarza. Nic nie słyszałam, nic nie widziałam, byłam osłupiała; prowadzono mnie i szłam; zadawano mi pytania i odpowiadano za mnie. Ta okrutna ceremonia skończyła się wreszcie; wszyscy się rozeszli i pozostałam wśród stada, do którego mnie przed chwilą wcielono. Moje towarzyszki otoczyły mnie, całowały i mówiły jedna do drugiej: „Patrz, siostrzo, jaka ona jest piękna! jak ten welon uwytadnia białość jej cery! jak w tej opasce jej do twarzy, jak ona zaokrągla jej owal, jak poszerza policzki! jak ten habit podkreśla powab jej kibici i ramion!...”.. Ledwie słuchałam tego, co mówiły: byłam w rozpacz; jednakże, muszę się do tego przyznać, kiedy zostałam sama w celi, przypomniałam sobie te pochlebstwa; nie mogłam się powstrzymać od sprawdzenia ich w moim lusterku; i wydało mi się, że te pochwały nie były całkiem bezpodstawne. Z dniem obłóczyn związane są pewne fawory; udzielono mi ich więcej niż innym; ale nie zrobiło to na mnie zbyt wielkiego wrażenia; mniszki udawały, że sądzą przeciwnie, i wmawiały to we mnie, chociaż było jasne, że wcale tak nie jest. Wieczorem po modłach, przełożona przyszła do mojej celi. Popatrzyła na mnie przez chwilę i powiedziała: „Doprawdy nie wiem, dlaczego masz taką odrazę do tego stroju, jest ci w nim doskonale i jesteś urocza, siostra Zuzanna jest bardzo piękną zakonnice, dzięki temu będzie więcej kochana. No, spróbujmy, przejdź parę kroków... Garbisz się trochę, nie trzeba tak się pochylać...”.. Pokazała mi, jak mam trzymać głowę, jak stawiać stopy, jak ułożyć ręce, kibic, ramiona; była to niemal lekcja teatralna klasztornej zalotności udzielona przez Marcela¹, każdy bowiem stan ma swoje sposoby. Następnie usiadła i powiedziała mi:

– Dobrze, ale teraz pomówmy trochę o sprawach poważnych. Oto więc dwa lata zyskane, twoi rodzice mogą zmienić swe postanowienie, ty sama może będziesz chciała zostać tutaj, gdy oni zechcą cię stąd wydobyć, to nie jest zgoła niemożliwe.

– Wielebna matko, proszę tak nie sądzić – powiedziałam.

– Byłaś długo między nami – odparła – ale nie znasz jeszcze naszego życia; ma ono niewątpliwie swe ciężkie chwile, ale ma również swe powaby.

Domyśla się pan z łatwością tego wszystkiego, co mogła dodać o życiu w świecie i w klasztorze, to jest napisane, i wszędzie w ten sam sposób; bo dzięki Bogu dano mi do czytania cały plik tego, co mnisi wygłosili na temat swego stanu, który znają dobrze i którego nienawidzą, przeciw światu, który kochają, który szkalują, a którego nie znają.

¹ M a r c e l – sławny tancerz i nauczyciel tańca żyjący w XVIII wieku.

II

Nie będę panu opisywała szczegółów dotyczących mego nowicjatu; gdyby przestrzegano go w całej jego surowości, nie można byłoby wytrzymać; ale to jest najmilszy okres życia klasztornego. Mistrzynie nowicjatu jest najpobłażliwszą siostrą, jaką można znaleźć wśród mniszek. Jej zadanie polega na ukryciu przed nowicjuszką wszystkich cierni stanu zakonnego; jest to szkoła najsubtelniejszego i najlepiej przygotowanego uwodzenia. To mistrzyni nowicjatu zagęszcza ci mroki, które cię otaczają, ona cię kołysze do snu, usypia, ona cię oszukuje, ona cię oczarowuje. Nasza mistrzyni nowicjatu przywiązała się do mnie szczególnie. Nie sądzę, żeby dusza młoda i niedoświadczona mogła się oprzeć tej zgubnej umiejętności. Świat ma swoje przepaści, ale nie wyobrażam sobie, żeby staczano się tam po tak łagodnej pochyłości. Jeżeli kichnęłam dwa razy z rzędu, byłam zwalniana z obecności na nabożeństwie, z pracy, z wspólnych modłów; wcześniej kładłam się spać, później wstawałam; reguła zakonna nie obowiązywała mnie wtedy. Niech pan sobie wyobrazi, że były dni, gdy wzdychałam do chwili; kiedy złożę śluby. Mistrzynie nowicjatu opowiadała nam o każdym nieprzyjemnym wydarzeniu w świecie; przedstawiała w odpowiedni sposób fakty prawdziwe fałszując je, a potem zaczynała wysławiać bez końca Boga i składać dzięki Temu, który nas zabezpiecza przed tymi poniżającymi przygodami.

Tymczasem zbliżała się chwila, którą nieraz przyspieszałam swymi pragnieniami. Stałam się wówczas zamyślona, poczułam, że moja odraza do życia w klasztorze budzi się znów i wzmacnia. Zamierzałam to wyznać przełożonej lub naszej mistrzyni nowicjatu. Te kobiety mszczą się za kłopoty, jakie im sprawiamy; nie należy bowiem sądzić, że bawi je obłudna rola, którą grają, i bzdury, które zmuszone są nam, nowicjuszkom, powtarzać; staje się to w końcu dla nich takie oklepane i ponure, ale decydują się na tę rolę za tysiąc talarów, które dzięki temu wpływają do klasztoru. Oto doniosły cel, dla którego kłamia przez całe życie i gotują młodym niewinnym dziewczętom udrukę na okres czterdziestu, pięćdziesięciu lat, a być może niedolę wiekuiłą, gdyż to pewne, proszę pana, że na sto zakonnic, umierających przed pięćdziesiątym rokiem życia, jest akurat sto potępionych nie licząc tych, co przedtem wariują, wpadają w cichy obłęd lub stają się furiatkami.

Zdarzyło się pewnego dnia, że jedna z obłąkanych tej drugiej kategorii wymknęła się z celi, gdzie ją trzymano pod kluczem. Zobaczyłam ją. Ujrzałam obraz mego szczęścia lub mego nieszczęścia, zależnie od tego, jak pan ze mną postąpi. Nigdy nie widziałam czegoś równie ohydneho. Była rozczochrana i prawie bez ubrania; wlokła za sobą łańcuchy, oczy miała błędne, wrywała sobie włosy, biła się w piersi pięściami, biegała, wyła, obsypywała siebie i innych najstraszliwszymi złorzeczeniami, szukała okna, aby wyskoczyć. Ogarnęło mnie przerażenie, drżałam na całym ciele, ujrzałam swój los w losie tej nieszczęśliwej kobiety i natychmiast postanowiłam w sercu, że raczej tysiąc razy umrę, niż miałabym się na to narazić. Przeczuto skutek, jaki to wydarzenie mogłoby wyrzucić na moim umyśle; uważano, że należy temu zapobiec. Powiedziano mi o tej zakonnicy mnóstwo śmiesznych kłamstw, które sobie przeczyły: że miała już klepki nie w porządku, gdy ją przyjęto do zgromadzenia, że doznała wielkiego przestachu w okresie dojrzewania, że miewała wizje, że sądziła, iż ma stosunki z aniołami, że czytała szkodliwe książki, które jej nadwerężyły umysł, że słuchała, nowatorów, głosicieli bezkompromisowej moralności, którzy tak ją przerazili wizją boskiego sądu, iż w jej zmaczonej głowie wszystko się pomieszało, że widziała już tylko demonów, piekło i ziejące ogniem otchłanie, że zakonnice bardzo tym były strapione, że nigdy nikt nie słyszał, żeby kiedykolwiek podobna osoba była w ich klasztorze... bo ja wiem, co one jeszcze wygadywa-

ły? Nie zdołały tym nic u mnie wskórać. Obląkana mniszka wciąż przychodziła mi na myśl i ponawiała sobie przysięgę, że nie złożę żadnego ślubu.

Lecz oto nadszedł moment, kiedy szło o to, aby pokazać, czy umiem dotrzymać danego sobie słowa. Pewnego ranka, po nabożeństwie, ujrzałam wchodzącą do mnie przełożoną. Trzymała list. Twarz jej wyrażała smutek i przygnębienie, ramiona zwisały bezwładnie, wydawało się, że ręka jej nie ma siły, by podnieść ten list; patrzyła na mnie, w oczach jej zdawały się kręcić łzy; milczała, ja również: czekała, aż ja pierwsza się odezwę; korciło mnie, żeby zacząć, ale się powstrzymałam. Zapytała mnie, jak się czuję, powiedziała, że nabożeństwo było dziś bardzo długie, że trochę kaszlałam, że wyglądałam na niezdrową. Na to wszystko odpowiedziałam:

– Nie, droga matko.

Przełożona wciąż trzymała list w opuszczonej ręce; w trakcie tych pytań położyła go na kolanach i zakryła częściowo dłonią, wreszcie zadawszy mi kilka ubocznych pytań dotyczących mego ojca i mojej matki, widząc, że wcale jej nie pytam, co to za pismo, rzekła:

– Oto list...

Na to słowo uczułam, że mi serce mocno zabiło, i powiedziałam łamiącym się głosem i drżącymi wargami:

– To od mojej matki.

– Tak jest; masz, czytaj...

Opanowałam się trochę, wzięłam list, czytałam go z początku dość spokojnie; ale w miarę dalszej lektury, że odczuwałam kolejno trwogę, oburzenie, gniew, złość, różne gwałtowne uczucia – zmieniał mi się głos, wyraz twarzy i ruchy. Chwilami omal nie wypadał mi z rąk ten papier lub trzymałam go tak, jakbym chciała go podrzeć, to znów ścisiskałam go tak gwałtownie, jakbym miała wielką ochotę zgnieść go i cisnąć od siebie precz.

– No, moje dziecko, cóż na to odpowiemy?

– Wielebna matka wie dobrze.

– Ależ nie, nie wiem. Czasy są złe, twoja rodzina poniosła straty; sytuacja materialna twych sióstr jest zachwiana, obie mają dużo dzieci; wydając je za mąż, rodzice wyczerpali swe zasoby; teraz rujnują się, aby im pomóc. Jest niemożliwe, żeby ci zapewnili jakiś przyzwoity byt; wstąpiłaś do klasztoru, co naraziło ich na wydatki; przez ten postępek obudziłaś pewne nadzieje; pogłoska o twym bliskim złożeniu ślubów rozeszła się w kołach towarzyskich. Zresztą, licz zawsze na wszelką moją pomoc. Nigdy nikogo nie wciągałam do życia zakonnego; to stan, do którego nas powołuje Bóg, i jest nader niebezpiecznie łączyć swój głos z Jego głosem. Nie podejmę się zgoła przemawiać do twego serca, jeżeli łaska boska nic mu nie mówi; dotychczas nie mogę sobie wyrzucać nieszczęścia żadnej innej kobiety, czyżbym chciała zacząć od ciebie, moje dziecko, która mi jesteś tak droga? Bynajmniej nie zapomniałam, że to za moją namową zrobiłaś pierwsze kroki; i nie ścierpiałabym, aby nadużyto mej perswazji w celu podjęcia przez ciebie zobowiązań sprzecznych z twoją wolą. Rozpatrzmy tę sprawę razem, naradźmy się. Czy chcesz złożyć śluby?

– Nie, wielebna matko.

– Nie czujesz w sobie żadnego zamiłowania do życia zakonnego?

– Nie, wielebna matko.

– Nie spełnisz woli rodziców?

– Nie, wielebna matko.

– Czym więc chcesz zostać?

– Wszystkim, z wyjątkiem zakonnicy. Nie chcę nią być, nie będę zakonnica.

– A więc dobrze! nie będziesz nią. Ale ułóżmy odpowiedź dla twej matki...

Porozumiałyśmy się co do kilku zasadniczych punktów. Przełożona napisała list i pokazała mi go, wydał mi się znowu bardzo ładny. Tymczasem wysłano do mnie spowiednika klasztoru oraz doktora Sorbony, który wygłosił naukę, gdy wstępowałam do nowicjatu; polecono

mnie mistrzyni nowicjatu; widziałam się z biskupem Alepu; musiałam zetrzeć się z nabożni-
siami, które wtrąciły się do mojej sprawy, chociaż ich nie znałam; miałam nieustanne konfe-
rencje z księżmi i z mnichami; przyszedł mój ojciec, siostry napisały do mnie; moja matka
zjawiła się ostatnia; oparłam się wszystkiemu. Tymczasem został wyznaczony dzień mojej
profesji²; nie zaniedbano niczego, aby uzyskać moją zgodę; ale gdy zobaczono, że zabiegi te
są daremne, postanowiono obyć się bez niej.

Od owej chwili byłam zamknięta w celi, narzucono mi milczenie; zostałam odseparowana
od wszystkich, pozostawiona samej sobie; i uświadomiłam sobie wyraźnie, że zdecydowano
rozporządzić mną beze mnie. Nie chciałam za nic zobowiązać się do złożenia ślubów; to była
moja niezłomna decyzja – żadne strachy prawdziwe lub zmyślane, którymi nęcano mnie bez-
ustannie, nie mogły mną zachwiać. Jednakże byłam w opłakanym położeniu; nie wiedziałam
zgoła, ile czasu mogła trwać ta sytuacja; a gdyby uległa zmianie, wiedziałam jeszcze mniej,
co mogło mi się przydarzyć. Miotana tą niepewnością, powzięłam decyzję, którą pan oceni
według swego uznania; nie widywałam już nikogo, ani przełożonej, ani mistrzyni nowicjatu,
ani mych towarzyszek; kazałam powiadomić przełożoną i udałam, że skłaniam się do woli
mych rodziców; ale zamiarem moim było położyć kres temu prześladowaniu z rozgłosem i
zaprotestować publicznie przeciw gwałtowi, który zamyślano mi zadać – powiedziałam więc,
że nie jestem panią mego losu, że można mną rozporządzać według woli, że ponieważ wyma-
ga się ode mnie, bym złożyła śluby – złożę je. Co za radość w całym klasztorze! na nowo
czułe traktowanie ze wszystkimi pochlebstwami i z całym kunsztem uwodzenia: „Bóg prze-
mówił do mego serca, nikt nie był bardziej ode mnie stworzony do stanu doskonałości. Było
niemożliwe, aby to się nie stało, zawsze się tego spodziewano. Nie spełnia się swych obo-
wiązków w sposób tak budujący i z taką stałością, gdy się nie jest naprawdę do tego przezna-
czoną. Mistrzyni nowicjatu nigdy nie widziała w żadnej ze swych wychowanek bardziej zna-
miennych cech powołania; była ona nader zdumiona tym, że wstąpiłam na fałszywą ścieżkę,
ale zawsze mówiła naszej matce przełożonej, iż nie należy ustępować i że to minie; że najlep-
sze zakonnice mają takie chwile; że są to podszepty złego ducha, który podwaja wysiłki, gdy
jest bliski utraty swej zdobyczy; że miałam właśnie mu się wymknąć; że teraz są dla mnie
tylko róże; że obowiązki życia zakonnego wydadzą mi się tym łatwiejsze do zniesienia, im
bardziej je poprzednio wyolbrzymiałam; że to nagłe wzmożenie się ciężaru jarzma było łaską
niebios, które posługiwały się tym środkiem, by to jarzmo uczynić lżejszym...”. Wydawało
mi się dość osobliwym, że ta sama rzecz pochodzi od Boga lub od diabła, zależnie od tego,
jak mniszkom spodoba się na to patrzeć. Podobne okoliczności często zdarzają się w życiu
zakonnym, a spośród tych, co mnie pocieszali, jedni mówili mi często, że moje myśli to sku-
tek podżegania szatana, drudzy, że to wynik natchnienia boskiego. To samo zło pochodzi
bądź od Boga, który nas doświadcza, bądź od diabła, który nas kusi.

Zachowywałam się powściągliwie; uważałam, że mogę ręczyć za siebie. Widziałam się z
ojcem; mówił ze mną w tonie oziębłym; widziałam się z matką; uściskała mnie; otrzymałam
listy z gratulacjami od moich sióstr i wielu innych osób. Dowiedziałam się, że naukę wygłosi
niejaki ksiądz Sornin, wikary od Świętego Rocha, a ksiądz Thierry, kanclerz uniwersytetu,
przyjmie moje śluby. Wszystko szło dobrze aż do wigilii wielkiego dnia z tym wyjątkiem, że
dowiedziawszy się, iż ceremonia odbędzie się potajemnie, że weźmie w niej udział tylko nie-
liczne grono, że drzwi kościoła będą otwarte tylko dla krewnych, wezwałam przez furtiankę
wszystkie osoby z naszego sąsiedztwa – mych przyjaciół i przyjaciółki; pozwolono mi napi-
sać do niektórych moich znajomych. Cały ten sukurs, którego się zgoła nie spodziewano, sta-
wił się; trzeba było wpuścić wszystkich; zgromadziło się mniej więcej tyle osób, ile mi było
potrzeba do wykonania mego planu. O panie! co za noc poprzedzająca ten dzień! Zupełnie się
nie kładłam; siedziałam na łóżku, wzywałam Boga na pomoc; wznosiłam ręce ku niebu; bra-
łam je za świadka gwałtu, jaki mi zadawano; wyobrażałam sobie siebie u stóp ołtarza, młodą

² Profesja – w terminologii kościelnej: akt złożenia ślubów zakonnych.

dziewczynę głośno protestującą przeciw aktowi, na który pozornie się zgodziła, zgorszenie obecnych, rozpacz zakonnice, wściekłość mych rodziców. O Boże! co ze mną będzie?... Przy wymawianiu tych słów zrobiło mi się słabo i padłam zemdlona na poduszkę; po tym omdle- niu chwyciły mnie dreszcze; moje kolana zderzały się ze sobą i zęby mi głośno szczękały; po dreszczach ogarnął mnie straszny żar: zmaćniło mi się w głowie. Nie pamiętam, żebym się rozebrała ani żebym wyszła z celi; tymczasem znaleziono mnie tylko w koszuli, leżącą na podłodze przy drzwiach przełożonej, bez ruchu i prawie bez czucia. Dowiedziałam się o tym później. Odniesiono mnie do celi i rano moje łóżko otoczyły przełożona, mistrzyni nowicjatu i te mniszki, które nazywa się asyistentkami. Byłam bardzo przybita, zadano mi kilka pytań; z odpowiedzi moich przekonano się, że zupełnie nie jestem świadoma tego, co się stało, i nie rozmawiano ze mną o tym. Zapytano mnie, jak się miewam, czy trwam w swym zbożnym postanowieniu i czy czuję się na siłach, by znieść zmęczenie dzisiejszego dnia. Odpowie- działam twierdząco; i wbrew ich oczekiwaniu program uroczystości w niczym nie został na- ruszony.

Wszystko przygotowano w przeddzień. Uderzono we dzwony, aby obwieścić wszystkim, że niebawem jedną więcej unieszczęśliwią. Serce zaczęło mi znowu łomotać. Przyszły mniszki ubierać mnie: ten dzień jest dniem stroju; teraz gdy przypominam sobie te wszystkie cere- monie, wydaje mi się, że mają one w sobie coś uroczystego i nader przejmującego dla młodej niewinnej dziewczyny, której skłonności nie pociągają gdzie indziej, Poprowadzono mnie do kościoła, odprawiono mszę świętą: zacny wikary, podejrzewając mnie o rezygnację, której zgoła w sobie nie miałam, wygłosił do mnie długą przemowę, gdzie bodaj każde słowo prze- czyły rzeczywistości. Jakże śmieszne było to wszystko, co mi mówił o moim szczęściu, o łasce, o mojej odwadze, o mej żarliwości, o moim zapale i o wszystkich pięknych uczuciach, jakie mi przypisywał. Ów kontrast między jego pochwałami a krokiem, który właśnie miałam zrobić, wprowadził mnie w zakłopotanie; miałam chwile niepewności, ale trwały one krótko. Jeszcze lepiej zdałam sobie sprawę, że brak mi wszystkiego, co należało posiadać, aby być dobrą zakonnice. Tymczasem nadszedł moment straszliwy. Kiedy trzeba było stanąć na miej- scu, gdzie miałam wypowiedzieć formułę mego ślubowania, nogi się pode mną ugięły; dwie z mych towarzyszek ujęły mnie pod pachy; głowę miałam odrzuconą na ramię jednej z nich i wlokłam się. Nie wiem, co działo się w duszach obecnych, ale widzieli oni młodą omdlewają- cą ofiarę wleczoną do ołtarza i ze wszech stron wyrwały się westchnienia i łkania, wśród których, jestem tego pewna, nie było słycać westchnień mego ojca ani łkań mojej matki. Wszyscy stali; były tu młode osoby stojące na krzesłach i uczepione prętów kraty; zapadła głęboka cisza, gdy ten, co przewodniczył mej profesji, powiedział do mnie:

– Mario Zuzanno Simonin, czy przyrzekasz mówić prawdę?

– Przyrzekam.

– Czy z własnej chęci i z własnej woli jesteś tutaj?

Odpowiedziałam: „Nie”, ale te, które mi towarzyszyły, odpowiedziały za mnie: „Tak”.

– Mario Zuzanno Simonin, czy przyrzekasz Bogu czystość, ubóstwo i posłuszeństwo?

Zahałam się chwilę; ksiądz poczekał, a ja odpowiedziałam:

– Nie, proszę księdza.

Ponowił pytanie:

– Mario Zuzanno Simonin, czy przyrzekasz Bogu czystość, ubóstwo i posłuszeństwo?

Odpowiedziałam mu pewniejszym głosem:

– Nie, proszę księdza, nie.

Zatrzymał się i powiedział:

– Moje dziecko, uspokój się i słuchaj mnie.

– Proszę księdza, ksiądz pyta mnie, czy przyrzekam Bogu czystość, ubóstwo i posłuszeń- stwo; słyszałam księdza dobrze i odpowiadam, że nie... – Zwracając się potem do obecnych, wśród których rozległ się głośny szmer, zrobiłam znak, że chcę mówić; szmer ustał, ja zaś

powiedziałam: – Proszę państwa, a zwłaszcza wy, mój ojciec i moja matka, biorę was wszystkich na świadków... – Na te słowa jedna z sióstr opuściła zasłonę przy kracie i zobaczyłam, że nie było celu mówić dalej. Zakonnice otoczyły mnie, zasypały wyrzutami; słuchałam ich nie mówiąc ani słowa. Zaprowadzono mnie do celi i zamknięto na klucz.

III

Tam, sama, pozostawiona swym refleksjom, zaczęłam odzyskiwać spokój ducha; powróciłam w myślach do kroku, który uczyniłam, i nie żałowałam go wcale. Zdałam sobie sprawę z tego, że po skandalu, jaki wywołałam, było niemożliwe, abym tu długo pozostawała, i że być może nie ośmieliłam się zamknąć mnie w klasztorze. Nie wiedziałam, co ze mną zrobią; ale nie wyobrażałam sobie nic gorszego niż być mniszką wbrew woli. Dość długo nikt się do mnie nie odzywał słowem. Zakonnice, które przynosiły mi jedzenie, wchodziły, stawiały moją stawę na ziemi i wychodziły w milczeniu. Po miesiącu dano mi świeckie ubranie; zdjęłam suknie klasztorne; przyszła przełożona i powiedziała mi, żebym szła za nią. Towarzyszyła jej aż do furty klasztornej; tam wsiadłam do karety, gdzie znalazłam moją matkę, samą, która na mnie czekała; zajęłam przednią ławeczkę i kareta ruszyła; przez pewien czas siedziałyśmy naprzeciw siebie nie mówiąc ani słowa; miałam oczy spuszczone i nie śmiałam na nią patrzeć. Nie wiem, co się działo w mojej duszy; ale raptem rzuciłam się do jej nóg i schyliłam głowę na jej kolana; nie mówiłam nic, dławiliśmy się łkaniem. Odepchnęła mnie szorstko. Nie wstałam; zaczęła mi iść krew z nosa; pochwyciłam jedną rękę matki mimo jej oporu; oblewając ją łzami zmieszanyymi z krwią, przywierając ustami do tej dłoni całowałam ją i mówiłam:

– Jesteś zawsze moją matką, jestem zawsze twoim dzieckiem...

Odpowiedziała mi odpychając mnie jeszcze brutalniej i wyrrywając rękę:

– Wstań, nieszczęsna, wstań.

Spełniłam jej polecenie; siadłam z powrotem i ściągnęłam nakrycie z głowy na twarz. Matka włożyła w dźwięk swego głosu tyle władzy i stanowczości, że musiałam zasłonić się przed jej wzrokiem. Łzy i krew, która płynęła mi z nosa, mieszały się ze sobą, ciekły mi po rękach i zanim się spostrzegła, jak byłam cała zbroczona. Z kilku powiedzianych przez matkę słów zrozumiałam, że poplamiałam jej suknię i bieliznę i że miała mi to za złe. Przyjechałyśmy do domu, gdzie natychmiast zaprowadzono mnie do przygotowanego dla mnie pokoiku. Padłam jeszcze raz na kolana przed matką na schodach; przytrzymałam ją na chwilę za ubranie; ale uzyskałam od niej tylko tyle, że obróciła się w moją stronę i popatrzyła na mnie z oburzeniem wyrażającym się w ruchu głowy, układzie ust i spojrzeniu, które pan pojmuje lepiej, niż mogę je oddać słowami.

Weszłam do mego nowego więzienia, gdzie spędziłam sześć miesięcy, daremnie zabiegając co dzień o łaskę rozmowy z matką, widzenia się z ojcem lub o pozwolenie napisania do nich. Przynoszono mi posiłki, usługiwano; służąca towarzyszyła mi na mszę w niedziele i święta i zamykała mnie z powrotem. Czytałam, robiłam robótki, płakałam, czasami śpiewałam; i w ten sposób mijały dni. Podtrzymywało mnie jedno tajemne uczucie: że byłam wolna i że mój los, choć tak twardy, mógł ulec zmianie. Ale było postanowione, że będę zakonnicą, i zostałam nią.

Taka nieludzkość, taka zawziętość ze strony moich rodziców utwierdziły mnie w podejrzeniach co do mego urodzenia; nigdy nie mogłam znaleźć innego motywu, aby ich usprawiedliwić. Moja matka prawdopodobnie obawiała się, żebym kiedyś nie zgłosiła swych praw do schedy, żebym nie zażądała należnej mi obowiązkowej części spadku po rodzicach i – mimo że dziecko nieślubne – nie przyłączyła się do dzieci prawowitych. Ale to, co było tylko przypuszczeniem, miało się obrócić w pewność.

W czasie mego zamknięcia w domu spełniałam mało praktyk religijnych na zewnątrz; pisymano mnie jednakże do spowiedzi w wigilię uroczystych świąt. Mówiłam panu, że miałam tego samego spowiednika co moja matka; powiedziałam mu o wszystkim, przedstawiłam mu całą bezwzględność postępowania, jaką przejawiano w stosunku do mnie mniej więcej od trzech lat. Wiedział o tym. Skarżyłam się, zwłaszcza na matkę, z goryczą i urazą. Ten ksiądz późno przywdział suknię duchowną, miał w sobie ludzkie uczucia; wysłuchał mnie spokojnie i powiedział:

– Moje dziecko, lituj się nad twoją matką, lituj się nad nią jeszcze bardziej, niż ją potępiasz. Ona jest z natury dobra; bądź pewna, że wbrew swej woli w ten sposób postępuje.

– Wbrew woli, proszę księdza. A cóż ją może do tego zmuszać? Czyż nie wydała mnie na świat? I jakaż jest różnica między moimi siostrami a mną?

– Duża.

– Duża? Nic nie rozumiem z odpowiedzi księdza...

Chciałam rozpatrzyć porównanie między moimi siostrami a mną, gdy on przerwał mi i powiedział:

– Daj temu pokój, nieludzkość nie jest wadą twych rodziców; staraj się znosić cierpliwie swój los i przynajmniej zasłużyć się w ten sposób wobec Boga. Zobaczę się z twoją matką i bądź pewna, że użyję na twoją korzyść całego wpływu, jaki mogę mieć na nią...

To „duża” w jego odpowiedzi było dla mnie promieniem światła; nie wątpiłam więcej o prawdziwości tego, co myślałam o swym urodzeniu.

Następnej soboty, około wpół do szóstej po południu, o szarej godzinie weszła przydzielona mi służąca i rzekła: „Pani nakazuje panience ubrać się do miasta...”.. W godzinę potem: „Pani życzy sobie, żeby panienka zeszła ze mną na dół...”.. Przed bramą czekała karetą, do której wsiadłyśmy, ja i służąca; dowiedziałam się, że jedziemy do klasztoru folantynów³ do ojca Serafina. Oczekiwał nas; był sam. Służąca oddaliła się, a ja weszłam do rozmównicy. Usiadłam, zaniepokojona i ciekawa tego, co miał mi do powiedzenia. Oto, jak do mnie przemówił:

– Proszę pani, zagadka surowego postępowania twych rodziców wyjaśni ci się; otrzymałam na to zezwolenie matki pani. Jest pani osobą rozumną; posiadasz inteligencję i silny charakter; jesteś w tym wieku, kiedy można by ci powierzyć nawet taki sekret, który by ciebie nie dotyczył. Dawno namawiałem po raz pierwszy pani matkę, aby ci wyjawiała to, o czym się zaraz dowiesz, nigdy nie mogła się na to zdobyć: trudno jest matce przyznać się przed swoim dzieckiem do ciężkiej winy – znasz jej charakter; nie godzi się on z upokorzeniem, jakie pociąga pewne wyznanie. Sądziła, że będzie mogła nie uciekając się do tego środka doprowadzić cię do zamierzonego przez nią celu; omyliła się; to ją rozgniewało; dzisiaj decyduje się posłuchać mojej rady; to ona poleciła mi oznajmić pani, że nie jesteś córką pana Simonin.

Odpowiedziałam mu natychmiast:

– Domyślałam się tego.

– Proszę więc teraz zastanowić się, rozważyć, osądzić, czy matka pani może bez zgody, a nawet za zgodą pani ojca zrównać cię z dziećmi, których siostrą nie jesteś; czy może ona wyznać ojcu pani fakt, co do którego ma on już aż zbyt wiele podejrzeń.

– A kto jest moim ojcem?

– Tego mi nie powiedziano. Jest aż nadto pewne – dodał – że siostry twoje wyróżniono

³ Folantyni – zakon oparty na regule św. Bernarda, założony w 1577 r.

nadzwyczajnie i że przedsięwzięto wszelkie możliwe środki ostrożności, poprzez umowy przedślubne, poprzez zmianę charakteru dóbr, poprzez różne klauzule, fideikomisy i inne środki prawne, aby sprowadzić do zera należną pani część spadku na wypadek, gdybyś pewnego dnia zwróciła się o nią do sądu. Jeżeli stracisz rodziców, niewiele po nich otrzymasz. Nie chcesz wstąpić do klasztoru, być może, będziesz żałowała, że tam nie jesteś.

– To niemożliwe, proszę ojca; nie żądam niczego.

– Nie wiesz, co to jest troska o byt, trudy, bieda.

– Znam przynajmniej cenę wolności i brzemień stanu, do którego nie jest się zgoła powołaną.

– Powiedziałem pani to, co miałem powiedzieć, to już jest pani rzecz zastanowić się nad tym... – Po czym wstał.

– Jeszcze jedno pytanie, ojczu.

– Ile tylko chcesz.

– Czy moje siostry wiedzą o tym, o czym się dowiedziałam?

– Nie, nie wiedzą.

– Jakże więc one mogły zdecydować się na ograbienie swojej siostry, bo za siostrę mnie uważają.

– Ach, proszę pani! interes, interes! inaczej nie znalazłyby tak dobrych partii, jakie zrobiły. Każdy myśli o sobie na tym świecie; i nie radzę ci liczyć na nie w razie śmierci rodziców; bądź pewna, że będą usiłowały wydrzeć ci każdy grosz z tej drobnej części spadku, jaka przypadnie do podziału. Mają dużo dzieci; ten pretekst, żeby cię puścić z torbami, będzie uważany za całkiem uczciwy. Poza tym one nie są już teraz paniami swej woli; wszystkim zajmują się mężowie: gdyby miały jakieś uczucia litości, pomoc, jakiej by ci udzieliły bez wiedzy mężów, stałyby się źródłem niezgody domowej. Zawsze wynika z tego tylko jedno – czy są to dzieci z nieprawego czy z prawego łoża – wspomaganie ich wywołuje niesnaski domowe. Wreszcie, proszę pani, chleb otrzymywany z łaski jest bardzo gorzki. Jeżeli pani darzy mnie zaufaniem, pogodzi się pani z rodzicami; zrobisz to, czego twoja matka spodziewa się po tobie: wstąpisz do klasztoru; wyznaczą ci skromną pensję, dzięki której spędzisz życie, jeżeli nie szczęśliwie, to przynajmniej znośnie. Zresztą nie będę ukrywał, że widoczne opuszczenie pani przez matkę, jej upór, żeby cię zamknąć w klasztorze, i pewne inne okoliczności, których sobie już nie przypominam, lecz w swoim czasie je znałem, zrobiły na twoim ojcu akurat to samo wrażenie, co na tobie: twoje urodzenie było dla niego sprawą podejrzaną; dzisiaj już nie jest – i choć nie został wtajemniczony – bynajmniej nie wątpi, że należysz do niego jako dziecko tylko z mocy prawa, które przypisuje dzieci temu, kto nosi tytuł małżonka. Jesteś dobra i mądra; pomyśl o tym, czegoś się dowiedziała.

Wstałam, zaczęłam płakać. Ujrzałam, że on sam był wzruszony; wzniosł wolno oczy w niebo i odprowadził mnie ku drzwiom. Zawołałam służącą, która mi towarzyszyła; wsiadłyśmy z powrotem do karety i wróciłyśmy do domu. Było późno. Rozmyślałam przez część nocy o tym, co mi przed chwilą ujawniono; pomyślałam o tym i nazajutrz. Nie miałam ojca; nadmierne skrupuły odebrały mi matkę; przedsięwzięto środki ostrożności, abym nie mogła rościć sobie praw, jakie przysługują dziecku legalnie urodzonemu; byłam skazana na ciężką niewolę domową; nie miałam żadnej nadziei, nie spodziewałam się żadnego ratunku. Być może, gdyby rozmówiono się ze mną wcześniej, po wyjściu za mąż moich sióstr, zatrzymano by mnie w domu, gdzie znajomi nie przestali bywać; znalazłby się ktoś, dla którego mój charakter, mój umysł, moja powierzchowność i moje zdolności wydałyby się wystarczającym posagiem; takie rozwiązanie było jeszcze możliwe; ale skandal, jaki wywołałam w klasztorze, utrudnił tę sprawę; ludzie nie pojmują zupełnie, jak dziewczyna między siedemnastym a osiemnastym rokiem życia nie obdarzona wyjątkową siłą charakteru mogła się posunąć do tej ostateczności; mężczyźni bardzo chwalą tę zaletę; ale wydaje mi się, że chętnie obywają się bez niej u tych kobiet, które zamierzają uczynić swymi żonami. A jednak można spróbować i

tego wyjścia, zanim się o czym innym pomyśli; postanowiłam zwierzyć się matce i poprosiłam ją o rozmowę, na co uzyskałam zezwolenie.

Było to zimową porą. Siedziała w fotelu przed kominkiem; twarz miała surową, oczy utkwione w jeden punkt i rysy nieruchome. Podeszłam do niej, padłam jej do nóg i poprosiłam ją, aby przebaczyła mi wszystkie winy, jakie popełniłam.

– Możesz zasłużyć na przebaczenie – odrzekła – zależnie od tego, co mi teraz powiesz. Wstań; ojca twego nie ma w domu, masz dużo czasu, aby wytłumaczyć mi się ze swego zachowania. Widziałaś się z ojcem Serafinem, wiesz nareszcie, kim jesteś i czego możesz ode mnie oczekiwać, jeżeli nie masz zamiaru karać mnie przez całe życie za winę, którą już aż nazbyt ciężko odpokutowałam. A więc czego chcesz ode mnie? Coś postanowiła?

– Mamo – odpowiedziałam jej. – Wiem, że nie mam nic i że nie powinnam do niczego rościć sobie prawa. Daleka jestem od chęci przysparzania ci jakichkolwiek trosk; być może, byłabym bardziej uległa twojej woli, gdybyś mnie wcześniej oświeciła co do pewnych okoliczności, które trudno było, abym podejrzewała; ale nareszcie wiem, kim jestem, i nie pozostaje mi nic innego, jak zachować się zgodnie z moim położeniem. Nie dziwi mnie już różnica w traktowaniu mnie i moich sióstr, uznają słusność takiego postępowania, godzę się z tym, ale jestem zawsze twoim dzieckiem; nosiłaś mnie w swym łonie i mam nadzieję, że o tym nie zapomnisz.

– Biada mi – zawołała żywo – gdybym nie uznała cię za swoje dziecko, na ile to jest w mojej mocy!

– A więc, mamo! – rzekłam – przywróć mi swoje względy; pozwól mi przebywać z sobą; przywróć mi serdeczność tego, kto uważa się za mego ojca.

– Niewiele brakuje – odparła – aby on nabrał takiej samej pewności co do twego nieprawego pochodzenia, jak ty i ja. Ilekroć widzę cię przy nim, zawsze słyszę wyrzuty; czyni mi je w postaci tej surowości, z jaką się do ciebie odnosi; nie spodziewaj się znaleźć w nim czulego ojca. Poza tym czyż mam ci wyznać? przypominasz mi zdradę i niewdzięczność tak ohydną ze strony pewnego mężczyzny, że nie mogę znieść myśli o niej; ten człowiek ukazuje się ustawicznie między tobą a mną; odpycha mnie, i nienawiść, na którą u mnie zasłużył, ogarnia i ciebie.

– Jak to! – rzekłam – czyż nie mogę spodziewać się, że ty, matko, i pan Simonin będziecie mnie traktowali jak osobę obcą, nieznaną, którą byście przygarnęli przez współczucie?

– Nie możemy tego zrobić, ani ja, ani on. Moja córko, nie zatruwaj dłużej mojego życia. Gdybyś nie miała sióstr, wiem jak powinna bym postąpić, ale masz ich dwie, a jedna i druga ma liczną rodzinę. Od dawna wygasła namiętność, która mnie podtrzymywała, sumienie znowu upomniało się o swe prawa.

– Ale ten, któremu zawdzięczam życie...

– Nie ma go już, umarł nie pamiętając o tobie, i to jest najmniejsze z jego przestępstw...

W tym momencie twarz jej się zmieniła, oczy rozbłyły, oburzenie odbiło się w jej rysach, chciała mówić, ale drżenie warg nie pozwoliło jej wydobyć słowa. Siedziała; pochyliła głowę na ręce, aby ukryć przede mną wzburzenie, jakie ją ogarnęło. Trwała jakiś czas w tym stanie; potem wstała, przeszła się kilka razy po pokoju bez słowa; powstrzymywała z trudem toczące się łzy i mówiła:

– Potwór! Gdyby to od niego zależało, byłby cię zadusił w mym łonie wszystkimi udrami, jakie mi sprawił, ale Bóg zachował nas obie, żeby matka odkupiła swą winę poprzez dziecko. Moja córko, nie masz nic i nigdy nic nie będziesz miała. Wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, czynię kosztem twoich sióstr; oto skutki słabości. Jednakże spodziewam się, że nic nie będę miała sobie do wyrzucenia w chwili śmierci; zdobyłam twój posag oszczędnością. Nie nadużywam bynajmniej dobroci mego małżonka, ale odkładam codziennie coś z tego, co otrzymuję od czasu do czasu z jego szczodroblewości. Sprzedałam swoją biżuterię i otrzymałam od niego pozwolenie rozporządzania według woli kwotą, którą uzyskałam z tej sprzeda-

ży. Lubiłam grę, nie gram już; lubiłam widowiska, odmówiłam ich sobie; lubiłam towarzystwo, usunęłam się od ludzi; lubiłam życie wystawne, wyrzekłam się go. Jeżeli wstąpisz do klasztoru, co jest moją i pana Simonin wolą, twój posag będzie owocem tego, czego odmawiam sobie każdego dnia.

– Ale, mammo – rzekłam – przychodzi jeszcze do tego domu kilku porządnych ludzi; może znajdzie się taki, który zadowolony się moją osobą, nie będzie wymagał nawet oszczędności, które przeznaczyłaś na moje wyposażenie przy wstąpieniu do klasztoru.

– O tym nie należy już myśleć, skandal, jaki wywołałaś, zgubił cię.

– Czy nie ma na to ratunku?

– Nie, nie ma.

– Ale jeżeli nie znajdę małżonka, czy jest konieczne, abym zamknęła się w klasztorze?

– O ile nie zechcesz, by mój ból i wyrzuty sumienia trwały aż do chwili, gdy zamknę oczy. Nie uda mi się tego uniknąć, twoje siostry w tym momencie straszliwym będą otaczały moje łóżko; zastanów się, czy mogłabym znieść wśród nich widok twojej osoby; jakie wrażenie wywarłaby twoja obecność w tych ostatnich chwilach! Moja córko, gdyż jesteś nią mimo mej woli, twoje siostry otrzymały mocą prawa nazwisko, które ty zawdzięczasz przestępstwu; nie martw konającej matki, pozwól jej zejść spokojnie do grobu, aby mogła sobie powiedzieć, gdy będzie miała lada chwila stanąć przed najwyższym sędzią, że naprawiła swój błąd w tej mierze, w jakiej to było dla niej możliwe; aby mogła się spodziewać, że po jej śmierci nie wniesiesz zamętu do domu i że nie będziesz dochodziła praw, których nie posiadasz.

– Mammo – powiedziałam jej – bądź o to spokojna, sprowadź prawnika: niech sporządzi akt zrzeczenia się, a ja podpiszę wszystko, co zechcesz.

– To niemożliwe: dziecko nie może wydziedziczyć się samo, jest to kara ojca lub matki, którzy mają słuszne powody do gniewu. Gdyby Bogu podobało się powołać mnie jutro, musiałabym jutro uciec się do tej ostateczności i zwierzyć się mężowi, aby wspólnie przedsięwziąć te same kroki. Nie narażaj mnie na wyznanie, które zohydziłoby mnie w jego oczach i pociągnęłoby za sobą skutki dla ciebie hańbiące. Jeżeli przeżyjesz mnie, zostaniesz bez nazwiska, bez majątku i bez pozycji w świecie. Nieszczęsna! Powiedz mi, co się z tobą stanie; jakież myśli mam unieść ze sobą do grobu? Będę więc musiała powiedzieć twemu ojcu... Co mu powiem? Że nie jesteś jego dzieckiem!... Moja córko, gdyby trzeba było tylko paść do twych nóg, aby uzyskać od ciebie... Ale ty nic nie czujesz; masz niewrażliwą duszę swego ojca...

W owej chwili wszedł pan Simonin; ujrzał wzburzenie swej żony; kochał ją; był gwałtowny, zatrzymał się nagle i obracając na mnie straszliwe wejrzenie powiedział:

– Wyjź! – Gdyby był moim ojcem, nie posłuchałabym go; ale nim nie był. – Dodał zwracając się do służącego, który mi świecił: – Powiedz jej, żeby się więcej tu nie pokazywała.

Zamknęłam się w moim małym więzieniu. Rozmyślałam o tym, co powiedziała mi matka; padłam na kolana, modliłam się do Boga, aby mnie natchnął, modliłam się długo; trwałam tak z twarzą przywartą do ziemi; prawie zawsze wzywa się głosu niebios wtedy tylko, gdy się nie wie, jaką powziąć decyzję; i rzadko bywa, aby wówczas głos ten nie doradzał nam posłuszeństwa. Na to się właśnie zdecydowałam. Chcą, abym była zakonnica; może jest to również wola Boga. A więc – będę zakonnica! Skoro mam być nieszczęśliwa, co za różnica, gdzie będę nieszczęśliwa! Poleciałam tej, która mi usługiwała, by powiadomiła mnie, gdy mój ojciec wyjdzie z domu. Zaraz nazajutrz poprosiłam o rozmowę z matką; kazała odpowiedzieć mi, że obiecała panu Simonin nie rozmawiać ze mną, ale że mogę do niej napisać ołówkiem, który mi dano. Napisałam więc na kawałku papieru (ten fatalny papier odnalazł się i posłużono się nim przeciw mnie aż zbyt dobrze): „Mammo, przykro mi bardzo, że sprawiłam ci tyle zmartwień; przepraszam cię za to, mam zamiar położyć im kres. Nakaż mi wszystko, co zechcesz; jeżeli jest twoją wolą, abym wstąpiła do klasztoru, pragnę, aby to było również wolą Boga...”. Służąca wzięła to pismo i zaniósła mojej matce. Po chwili wróciła na górę i powiedziała mi z

uniesieniem: „Panienko, skoro wystarczyło jednego słowa, aby uszczęśliwić ojca panienki i matkę panienki, po co było odwlekać to tyle czasu? Pan i pani mają teraz takie miny, jakich nigdy nie widziałam u nich, odkąd tu jestem; kłócili się bez ustanku o panienkę; Bogu dzięki, nie zobaczę tego więcej...”. Gdy mówiła te słowa, myślałam o tym, że przed chwilą podpisałam wyrok śmierci na sobie – i to przecucie, proszę pana, sprawdzi się, jeżeli pan mnie opuści.

Minęło kilka dni bez żadnych dla mnie wieści, lecz pewnego ranka około dziewiątej drzwi moje raptem się otworzyły; to wszedł pan Simonin w szlafroku i w szlafmocy. Odkąd wiedziałam, że nie był moim ojcem, jego obecność wzbudzała we mnie tylko strach. Wstałam, złożyłam mu ukłon. Wydało mi się, że miałam dwa serca: nie mogłam myśleć o mojej matce bez rozczulenia, bez chęci do płaczu; inaczej to wyglądało w stosunku do pana Simonin. Jest rzeczą pewną, że ojciec wzbudza rodzaj uczuć, jakich się nie ma dla nikogo na świecie prócz niego; wie to tylko ten, kto znalazł się, jak ja, wobec człowieka, który przez długi czas posiadał, a teraz stracił ów dostojny charakter; inni nigdy nie będą tego wiedzieli. Gdybym bezpośrednio po widzeniu się z nim znalazła się w obecności mojej matki, zdaje mi się, że byłabym inna. Powiedział mi:

– Zuzanno, czy poznajesz tę kartkę?

– Tak, proszę pana.

– Czy napisałaś ją z nieprzymuszonej woli?

– Nie mogę odpowiedzieć, że tak.

– Czy jesteś przynajmniej zdecydowana wykonać to, co ta kartka przyrzeka?

– Tak.

– Czy nie masz szczególnego upodobania do żadnego klasztoru?

– Nie, są mi obojętne.

– Wystarczy.

Oto, co odpowiedziałam, ale na nieszczęście to nie było zapisane.

W ciągu dwóch tygodni, podczas których nie wiedziałam zupełnie, co się działo, zdawało mi się, że zwracano się do różnych klasztorów i że skandal wywołany przy składaniu ślubów sprawił, iż nie chciano mnie przyjąć jako postulantki⁴.

Mniej wymagający okazał się klasztor w Longchamp⁵; niewątpliwie dlatego, że dano zręcznie do zrozumienia, iż jestem muzykalna i mam niezły głos. Wyolbrzymiano wobec mnie trudności z przyjęciem i łaskę, jaką mi wyświadczano przyjmując mnie do tego klasztoru; namówiono mnie nawet, żebym napisała do przełożonej. Nie zdawałam sobie sprawy z następstw tego dowodu na piśmie, którego ode mnie wymagano; widocznie obawiano się, bym kiedyś nie sprzeniewierzyła się swoim ślubom; chciano mieć moje własnoręczne świadectwo, że te śluby były dobrowolne. Gdyby nie ten powód, jakże ten list, który winien był pozostać w rękach przełożonej, dostałby się następnie do rąk mych szwagrów? Ale przyknamy co prędzej oczy na tę sprawę; ukazuje mi ona pana Simonin w takim świetle, w jakim nie chcę go widzieć – on już nie żyje.

Zawieziono mnie do Longchamp; towarzyszyła mi matka. Nie prosiłam o pożegnanie się z panem Simonin; wyznaję, że ta myśl przyszła mi dopiero w drodze. Oczekiwano mnie; poprzedził mnie rozgłos zarówno skandalu u Panny Marii, jak i moich uzdolnień; pominięto milczeniem pierwszą sprawę; ale zakonnice nie ukrywały swej niecierpliwości, by zobaczyć, czy nabytek, jaki zrobiły, wart był zachodu. Po rozmowie na temat wielu rzeczy obojętnych, gdyż po tym, co mi się wydarzyło, oczywiście nie mówiono o Bogu ani o powołaniu, ani o niebezpieczeństwach świata i powabach życia zakonnego, nie zaryzykowano ani jednego słowa z tych pobożnych bzdur, którymi wypełnia się pierwsze chwile, przełożona powiedzia-

⁴ Postulantka – osoba zabiegająca o przyjęcie do nowicjatu.

⁵ Opactwo w Longchamp, gdzie rozgrywa się około r. 1760 prawie połowa tej opowieści, znajdowało się pod Paryżem w Lasku Bulońskim. Równina Longchamp stała się w XX wieku polem wyścigów konnych

ła: „Pani umie grać, pani śpiewa, mamy klawesyn, może poszłybyśmy do naszej rozmównicy...”. Serce miałam ściśnięte, ale nie był to moment właściwy do okazywania niechęci; moja matka poszła przodem, ja za nią; zamykała pochód przełożona i grupa zakonnice, które zwabia ciekawość. Był to wieczór, przyniesiono mi świece, usiadłam przy klawesynie; długo próbowałam instrumentu szukając w pamięci jakiegoś utworu, których tyle mam w głowie, i nic nie znajdując; tymczasem przełożona nalegała, zaśpiewałam więc, nie zdając sobie sprawy z drastyczności tego utworu w tych warunkach, bo tę pieśń znałam dobrze i grywałam ją często: *Smutne przygotowania, blade światła, dni okropniejsze od mroków* itd. Nie wiem, jakie to sprawiło wrażenie, ale nie słuchano mnie długo; przerwano mi pochwałami, byłam bardzo zdziwiona, że zasłużyłam na nie tak szybko i takim tanim kosztem. Moja matka oddała mnie w ręce przełożonej, podsunęła mi rękę do pocałowania i wróciła do domu.

IV

Znalazłam się oto w innym klasztorze, jako postulanka z wszystkimi pozorami, że czynię to z dobrej woli. Ale pan, który zna do tej chwili wszystko, co zaszło, co pan o tym sądzi? Większość tych faktów nie była wcale przytaczana podczas procesu, gdy chciałam odwołać moje śluby; jedne przemilczano, ponieważ były to prawdy pozbawione dowodów; inne – ponieważ zohydziłyby mnie nie przynosząc żadnej korzyści; widziano by we mnie tylko wynaturzone dziecko, które zniesławia pamięć swych rodziców, aby uzyskać wolność. Miano dowody na to, co świadczyło przeciw mnie, faktów, które świadczyły na moją korzyść nie można było ani przytoczyć, ani dowieść. Nie chciałam nawet, by podsuwano sędziom podejrzenie co do mego urodzenia. Kilka osób nie znających się na prawie poradziło mi, bym powołała na świadka spowiednika mojej matki i mego; to było niewykonalne; a gdyby nawet istniała taka możliwość, nie zniosłabym jej. Ale à propos, z obawy, żebym o tym nie zapomniała i żeby chęć dopomożenia mi nie przeszkodziła panu zastanowić się nad tym; sądzę – może pan znajdzie lepszą radę – że należy przemilczeć fakt, iż jestem muzykalna i gram na klawesynie: to by wystarczyło, aby mnie wykryć; wyjawienie tych talentów nie pasuje zgoła do życia w ciszy i spokoju, czego szukam; mniszki tych rzeczy nie umieją i trzeba, abym ja ich także nie znała. Jeżeli będę zmuszona opuścić ojczyznę, z tego się będę utrzymywała. Opuścić ojczyznę... ale niech mi pan powie, dlaczego ta myśl mnie przeraża? Dlatego, że nie wiem, dokąd się udać, bo jestem młoda i niedoświadczona, bo obawiam się nędzy, ludzi i występku; bo zawsze żyłam w zamkniętym środowisku i gdybym znalazła się poza Paryżem, uważałabym się za zgubioną w świecie. To wszystko może nie jest słuszne, ale ja tak to czuję. Panie, od pana zależy, czy stanie się tak, że nie będę wiedziała, gdzie się udać i co ze sobą zrobić.

Przełożone z Longchamp, tak samo jak w większości klasztorów, zmieniają się co trzy lata. Gdy zostałam tutaj umieszczona, urząd ten objęła matka Moni – wszystko, co panu mogę o niej powiedzieć dobrego, to jeszcze będzie za mało; wszelako zgubiła mnie właśnie jej dobroć. Była to kobieta rozumna, znała serce ludzkie; miała dużo pobłażliwości dla innych, chociaż nikt nie potrzebował mniej od niej pobłażania dla siebie; traktowała nas wszystkie jak swoje dzieci. Dostrzegała tylko te błędy, których nie mogła nie zauważyć lub których doniosłość nie pozwalała jej zamykać na nie oczu. Mówię o tym bezinteresownie, gdyż spełniałam swe obowiązki z całą skrupulatnością; przełożona oddałaby mi sprawiedliwość, że nie popełniłam żadnego błędu, za który musiałaby mnie ukarać lub mi go wybaczyć. Jeżeli kogoś

szczególnie wyróżniała, to predylekcję tę wzbudzała w niej czyjaś zasługa; po tym, com powiedziała, nie wiem, czy wypada mi wyznać panu, że kochała mnie tkliwie i że nie należałam do ostatnich wśród jej faworytek. Wiem, że wydaję o sobie bardzo pochlebny sąd, bardziej pochlebny, niż pan może sobie wyobrazić, skoro pan jej nie znał. Nazwę „faworytki” nadają przez zazdrość inne zakonnice ulubienicom przełożonej. Jeżeli miałabym do zarzucenia matce Moni jakąś wadę, to widzę ją w tym, że otwarcie ujawniała, jak ją pociąga cnota, pobożność, szczerość, łagodność, zdolność, uczciwość, choć wiedziała, że te zakonnice, które tymi zaletami nie mogły się pochwalić, czuły się tym bardziej jeszcze upokorzone. Miała również dar, być może bardziej pospolity w klasztorze niż w świecie, szybkiego rozpoznawania ludzi. Rzadko się zdarzało, żeby zakonnica, która nie podobała się jej z początku, podobała jej się później. Niebawem po moim przybyciu przypadłam jej do gustu; od pierwszej chwili wzbudziła we mnie całkowite zaufanie. Biada tym, które go jej od razu nie okazywały. Musiały one być w oczach przełożonej złe do gruntu i musiały uznać się za takie. Rozmawiała ze mną o mojej przygodzie w klasztorze Panny Marii; opowiedziałam jej tę historię bez ogródek, tak jak panu; wyznałam wszystko, co panu już napisałam; i to, co dotyczyło mojego urodzenia, i to, z czym wiązały się moje troski, niczego nie pominęłam. Wyraziła mi swoje współczucie, pocieszyła, wzbudziła we mnie nadzieję spokojniejszej przyszłości.

Tymczasem minął okres próbny; nadszedł czas obłóczyn i włożyłam habit. Odbylam nowicjat bez przykrości; przebiegam szybko we wspomnieniach te dwa lata, ponieważ nie nękały mnie wtedy żadne smutki poza tajonym uczuciem, że krok za krokiem posuwam się ku wstąpieniu do stanu, do którego nie byłam stworzona. Niekiedy uczucie to odnawiało się we mnie z wielką siłą, lecz natychmiast uciekałam się do mojej zacnej przełożonej, która mnie całowała, rozwijała moje życie duchowe, wykladała mi dobitnie swoje racje i kończyła zawsze takimi słowy: „A czyż inne stany nie mają również swoich cierni? Czuje się tylko swoje. No, moje dziecko, ukłękniemy i pomódlmy się...”

Wówczas kładła się krzyżem i modliła się na głos, z takim namaszczeniem, tak wymownie, z taką słodyczą, uniesieniem i mocą, że można by rzec, duch boży zsyłał jej natchnienie. Jej myśli, wyrażenia, obrazy przenikały aż do głębi serca; kto był przy tym obecny, z początku tylko słuchał; stopniowo dawał się porwać; jednoczył się z nią; dusza jego wibrowała i dzieliła jej uniesienie. Nie było jej zamiarem rzucać urok, ale niewątpliwie to właśnie czyniła; wychodziło się od niej z sercem gorejącym, radość i zachwycenie malowały się na twarzy; wylewało się łzy tak słodkie. Jej twarz wyrażała te same uczucia, wyraz zachwyty nie opuszczał jej długo i to pozostawało w pamięci. Powołuję się nie tylko na własne doświadczenie, lecz na doświadczenie wszystkich zakonnice. Niektóre mówiły mi, że czuły rodzącą się w nich potrzebę pociechy jako potrzebę wielkiej rozkoszy, i sądzę, że brakowało mi tylko nieco większego nawyknięcia, by do tego dojść. Jednakże w miarę jak zbliżał się termin złożenia ślubów, ogarniała mnie melancholia tak głęboka, że wystawiło to moją zacną przełożoną na straszliwe próby; talent pocieszania opuścił ją, sama mi to wyznała.

– Nie wiem – powiedziała mi – co się ze mną dzieje; wydaje mi się, gdy przychodzisz, że Bóg odsuwa się ode mnie i że Jego duch milknie; próżno czynię wysiłki, szukam myśli, chcę rozplomienić moją duszę; uważam się za kobietę pospolitą i ograniczoną; obawiam się mówić...

– Ach, droga matko – rzekłam – co za przecucie. Czyżby to Bóg uczynił cię niemą...

Pewnego dnia, gdy czułam się bardziej niepewną i przybitą niż kiedykolwiek, poszłam do celi przełożonej; moja obecność z początku ją zaskoczyła: widocznie wyczytała w moich oczach, w całej mojej osobie, że uczucie głębokiego smutku, jakie malowało się na mojej twarzy, było ponad jej siły; a ona nie chciała walczyć bez pewności zwycięstwa. Jednakże wzięła mnie w obroty, stopniowo się rozgrzała; w miarę jak mój ból słabł, jej zapał wzrastał; raptem padła na kolana, poszłam za jej przykładem. Sądziłam, że zaraz podzielę jej uniesienie, pragnęłam tego; wyrzekła kilka słów, potem nagle umilkła. Czekałam na próżno: nie po-

wiedziała nic więcej, wstała z klęczek zalana łzami, wzięła mnie za rękę i tuląc w ramionach rzekła: „Ach, drogie dziecko, jaki okrutny wpływ wywarłaś na mnie. To stało się, duch mnie opuścił, czuję to – niechaj Bóg sam mówi do ciebie, skoro nie podoba Mu się przemawiać przez moje usta...”. Istotnie nie wiem, co w niej zaszło, czy odebrałam jej wiarę we własne siły, której już nie odzyskała, czy ją onieśmieliłam, czy też rzeczywiście przerwałam jej kontakt z niebem, ale dar pocieszania już więcej się w niej nie objawił. W przeddzień złożenia ślubów poszłam się z nią zobaczyć; była pogrążona w melancholii nie mniejszej od mojej. Zaczęłam płakać, ona również; padłam jej do nóg, pobłogosławiła mnie, podniosła, uściskała i odprawiła mówiąc:

– Jestem znużona życiem, pragnę umrzeć; prosiłam Boga, bym nie doczekała dzisiejszego dnia, ale to nie jest Jego wola. Idź, pomówię z twoją matką, spędzę noc na modlitwie, ty też się módl; ale połóż się spać, nakazuję ci to.

– Pozwól, matko – odpowiedziałam jej – żebym przyłączyła się do twoich modłów.

– Pozwalam ci na to od dziewiątej do jedenastej, nie dłużej. O wpół do dziesiątej zacznę się modlić, ty również; ale o jedenastej pozostawisz mnie samą i udasz się na spoczynek. No, idź, drogie dziecko, będę czuwała przed obliczem Boga resztę nocy.

Chciała się modlić, ale nie mogła. Ja spałam; tymczasem ta święta kobieta chodziła po korytarzach pukając do każdych drzwi, budziła zakonnice i kazała im schodzić bez hałasu do kościoła. Udały się tam wszystkie; gdy były już zebrane, wezwała je do modłów na moją intencję. Modlitwa zaczęła się w ciszy, po czym przełożona zgasiła światła; wszystkie odmówiły na głos razem *Miserere*, z wyjątkiem przełożonej, która leżąc krzyżem u stóp ołtarza biczowała się okrutnie, mówiąc: „Boże, jeżeli odwróciłeś się ode mnie wskutek jakiejś popełnionej przeze mnie winy, racz mi ją odpuścić. Nie proszę Cię, abys mi przywrócił dar, który mi odjąłeś, lecz abys zwrócił się sam do tej niewinnej, co śpi, gdy ja Cię tutaj wzywam dla niej. Boże mój, przemów do niej, przemów do jej rodziców i przebacz mi.”

Nazajutrz weszła wczesnym rankiem do mojej celi; nie usłyszałam jej kroków, jeszcze się nie obudziłam. Usiadła obok mego łóżka; położyła lekko dłoń na moim czole; patrzyła na mnie: niepokój, zmieszanie i ból malowały się kolejno na jej twarzy; taka mi się ukazała, kiedy otworzyłam oczy. Nie mówiła mi nic o tym, co się działo w nocy; zapytała mnie tylko, czy wcześniej się położyłam; odpowiedziałam:

– O tej porze, o której mi kazałaś, matko.

– Czy odpoczęłaś?

– Odpoczęłam doskonale, wielebna matko.

– Spodziewałam się tego... A jak się czujesz?

– Bardzo dobrze. A ty, droga matko?

– Niestety – powiedziała mi – ceremonia składania przez kogoś ślubów przejmowała mnie zawsze niepokojem; ale o żadną nie doznawałam troski tak głębokiej jak o ciebie. Bardzo bym chciała, abyś była szczęśliwa.

– Jeżeli zawsze będziesz mnie, matko, kochała, będę szczęśliwa.

– Ach, gdybyż to tylko od tego zależało! Nie myślałaś o niczym w ciągu nocy?

– Nie.

– Nic ci się nie śniło?

– Nic.

– Co się dzieje teraz w twojej duszy?

– Jestem odrętwiała; poddaję się swemu losowi bez wstrętu i bez upodobania; zdaję sobie sprawę, że to nieodparta konieczność, i nie opieram się już. Ach, moja droga matko, nie czuję wcale tej słodkiej radości, tego drzenia, tej zadumy, tego słodkiego niepokoju, jakie niekiedy dostrzegałam w tych, które znajdowały się w takiej sytuacji jak ja dzisiaj. Jestem otepiała, nie potrafię nawet płakać. Chcą tego – trzeba to zrobić, oto jedyna myśl, co mi przychodzi do głowy... Ale ty, matko, nic mi nie mówisz.

– Nie przyszedłam, żeby z tobą prowadzić rozmowy, lecz żeby cię zobaczyć i wysłuchać. Czekam na twoją matkę; postaraj się mnie nie wzruszać; pozwól moim uczuciom gromadzić się w mej duszy; gdy ją napełnią, wyjdę. Muszę milczeć, znam siebie; stać mnie tylko na jeden poryw, ale gwałtowny, i nie w twojej obecności powinien się on wyładować. Leż jeszcze chwilę, żebym cię mogła widzieć; powiedz mi tylko kilka słów i daj mi wziąć tutaj to, czego szukam. Pójdę sobie, a Bóg sprawi resztę...

Umilkłam, pochyliłam się nad poduszką, wyciągnęłam do niej rękę, którą ona ujęła. Wydawała się pogrążona w rozmyślaniach, w głębokich rozmyślaniach – kurczowo zaciskała powieki, czasami otwierała oczy, wznosiła je w górę i zwracała je znów na mnie; była niepokojna; jej dusza napełniała się zamętem, uciszała się i znowu ogarniał ją niepokój. Doprawdy, ta kobieta urodziła się, żeby być prorokinią, miała taką twarz i taki charakter. Była niegdyś piękna, ale wiek zacierając rysy i tworząc głębokie zmarszczki dodawał jeszcze dostojności jej fizjonomii. Oczy miała małe, lecz zdawały się błądzić patrząc w głąb niej samej, bądź przenikać przedmioty w pobliżu i rozpoznawać poza nimi, na wielką odległość, zawsze coś z przeszłości lub z przyszłości. Chwilami mocno ścisnęła mi dłoń. Nagle zapytała mnie, która godzina.

– Dochodzi szósta.

– Do widzenia, idę. Przyjdą cię ubrać; nie chcę być przy tym, to by mnie oderwało od moich myśli. Troszczę się teraz tylko o jedno, żeby zachować umiar w pierwszych chwilach.

Zaledwie wyszła przełożona, zjawiła się mistrzyni nowicjatu z moimi towarzyszkami; zdjęto mi strój zakonny, włożono ubranie świeckie; jest to znany panu zwyczaj. Nie słyszałam nic, co dookoła mnie mówiono; stałam się prawie automatem; nic nie docierało do mojej świadomości; tylko od czasu do czasu wstrząsały mną konwulsyjne drżenia. Mówiono mi, co mam robić; często musiano mi to powtarzać, gdyż nie słyszałam za pierwszym razem, i dopiero wtedy robiłam, co mi polecono; nie dlatego, żebym myślała o czym innym, lecz że byłam zaabsorbowana; głowa mi ciążyła jak człowiekowi przemęczonemu rozmyślaniami. Tymczasem przełożona rozmawiała z moją matką. Nigdy się nie dowiedziałam, co się rozegrało podczas tego spotkania, które trwało bardzo długo; tylko tyle mi powiedziano, że gdy się rozstały, moja matka była tak zdenerwowana, że nie mogła trafić do drzwi, którymi weszła, a przełożona opuściła rozmównicę opierając splecione ręce o czoło.

Tymczasem uderzono w dzwony; zeszłam do kościoła. Osób było niewiele. Wygłoszono do mnie naukę – dobrą czy złą nie wiem, nic nie słyszałam; robiono ze mną, co chciano, podczas tego całego ranka, który jak gdyby w moim życiu nie istniał, gdyż nigdy nie uświadomiłam sobie, jak długo to trwało; nie wiem, ani co robiłam, ani co mówiłam. Niewątpliwie zadawano mi pytania, niewątpliwie odpowiadałam na nie; złożyłam śluby, ale nic z tego nie pamiętam i zostałam zakonnica w sposób równie bierny, jak zostałam chrześcijanką; nie więcej rozumiałam z całej ceremonii składania ślubów niż z ceremonii chrztu, z tą tylko różnicą, że jeden obrzęd udziela łaski, a drugi zakłada jej istnienie. Ale mimo że nie protestowałam w Longchamp, jak to uczyniłam w klasztorze Panny Marii, czy pan mnie uważa za bardziej teraz związaną? Odwołuję się do pańskiego sądu; odwołuję się do sądu Boga. Byłam w stanie tak głębokiego przygnębienia, że w kilka dni potem, gdy oznajmiono mi, że należę do klasztorowego chóru, nie rozumiałam, co chciano przez to powiedzieć. Zapytałam, czy to prawda, że złożyłam śluby; chciałam zobaczyć swój podpis na akcie profesji: trzeba było dołączyć do tych dowodów świadectwo całego zgromadzenia zakonnego i kilku osób obecnych, wezwanych do wzięcia udziału w ceremonii. Zwracając się kilka razy do przełożonej pytałam: „A więc to prawda?...”, i zawsze oczekiwałam, że odpowie: „Nie, moje dziecko, wprowadzają cię w błąd...”. Jej kilkakrotne zapewnienie, że tak jest istotnie, nie przekonywało mnie, bo nie mogłam pojąć, jak to być mogło, żebym w ciągu całego dnia, tak burzliwego, tak urozmaiconego, tak pełnego chwil osobliwych i uderzających, nie przypomniała sobie żadnej okoliczności, nawet twarzy tych sióstr, które mi usługiwały, ani twarzy księdza, co wygłosił naukę, ani

tego, co przyjął moje śluby; zmiana stroju zakonnego na ubiór świecki to jedyny fakt, który sobie przypominam; od owej chwili byłam w fizycznym sensie obłąkana. Całe miesiące musiały upłynąć, żebym wydobyła się z tego stanu; całkowitą niepamięć tego, co zaszło, przypisuję temu, że tak długo trwała ta swego rodzaju rekonwalescencja: było to tak, jak z tymi, co przebyli długą chorobę, rozmawiali przytomnie, przyjęli ostatnie sakramenty, a po powrocie do zdrowia nic z tego nie pamiętają. Widziałam szereg takich przykładów w klasztorze i powiedziała sobie: widocznie to się ze mną zdarzyło w dniu składania ślubów. Ale nie wiadomo jeszcze, czy są to świadome ludzkie czyny i czy człowiek bierze w nich udział, chociaż pozornie tak się wydaje.

W tym samym roku poniosłam trzy ważne straty: stratę mojego ojca lub raczej tego, który za ojca uchodził; był w podeszłym wieku, dużo pracował; zgasł; stratę mej przełożonej i stratę mojej matki.

Czcigodna zakonnica zawczasu poczuła, że zbliża się jej ostatnia godzina; skazała się na milczenie, kazała wnieść trumnę do swej celi. Straciła sen i spędzała dni i noce na rozmyślniach i pisaniu – pozostawiła po sobie piętnaście rozmyślań, które mnie osobiście wydają się nadzwyczaj piękne; mam ich odpis. Gdyby pan kiedyś był ciekaw poznać myśli, jakie nasuwają się w ostatnich chwilach, mogłabym panu dać je do przeczytania; noszą tytuł: *Ostatnie chwile siostry de Moni*.

Kiedy zbliżała się śmierć, kazała się ubrać; leżała na łożku; opatrzone ją ostatnimi sakramentami, w rękach trzymała krucyfiks. Było to w nocy; zapalone gromnice oświetlały tę ponurą scenę. Otaczałyśmy ją zalewając się łzami, w celi rozlegały się krzyki, gdy raptem oczy jej zabłyśły; nagłym ruchem uniosła się na łożku, zaczęła mówić; głos miała prawie tak mocny jak wtedy, gdy była zdrowa; dar, który utraciła, powrócił jej – jęła nam wyrzucać łzy, które, zda się, zazdrościły jej wielkiego szczęścia. „Moje dzieci, wasz ból zwodzi was. Tam, tam, mówiła wskazując niebo, będę wam służyła; oczy moje będą się opuszczały ustawicznie na ten klasztor, będę zawsze waszą orędowniczką i Bóg mnie wysłucha. Zbliżcie się wszystkie, abym was mogła ucałować; przyjmijcie moje błogosławieństwo i moje pożegnanie...”. Przy wymawianiu tych ostatnich słów oddała ducha ta wyjątkowa kobieta, która zostawiła po sobie żal nieskończony.

Moja matka umarła po powrocie z niewielkiej podróży, którą odbyła pod koniec jesieni, do jednej ze swoich córek. Miała zmartwienia, bardzo podupadła na zdrowiu. Nigdy nie dowiedziałam się ani nazwiska mego ojca, ani danych dotyczących mego urodzenia. Ksiądz, który był spowiednikiem mojej matki i moim, wręczył mi w jej imieniu małą paczkę; było tam pięćdziesiąt ludwików z pismem, zawiniętych i zaszytych w kawałek płótna.

To pismo brzmiało tak:

„Moje dziecko, to jest bagatela, ale sumienie nie pozwala mi rozporządzać większą kwotą; to reszta tego, co mogłam zaoszczędzić z drobnych upominków pana Simonin. Żyj świętobliwie – to jest najlepsze, nawet dla twego szczęścia na tym świecie. Módl się za mnie; twoje urodzenie jest jedyną poważną winą, którą popełniłam; pomóż mi ją odpokutować, i oby mi Bóg przebaczył, że wydałam cię na świat, biorąc pod uwagę dobre uczynki, jakie spełniasz. Zwłaszcza nie wnoś zamętu do rodziny; i chociaż wybór stanu, do którego wstąpiłaś, nie był tak dobrowolny, jak byłabym pragnęła, strzeż się go zmieniać. Czemuż nie zostałam zamknięta w klasztorze na całe życie! Nie niepokoiłaby mnie ta myśl, że w pewnej chwili trzeba stanąć na straszliwym sądzie. Pomyśl, moje dziecko, że los twojej matki na tamtym świecie w dużym stopniu zależy od twojego sprawowania się na tym: Bóg, który widzi wszystko, zaliczy mi w sprawiedliwości swojej wszystkie twoje dobre i złe uczynki. Żegnaj, Zuzanno; nie zwracaj się o nic do twoich sióstr; one nie są w stanie przyjść ci z pomocą; nie spodziewaj się niczego po twoim ojcu, on mnie wyprzedził, ujrzał już wielkie światło, oczekuje mnie; moja obecność będzie mniej straszna dla niego niż jego obecność dla mnie. Żegnaj raz jeszcze! Ach, nieszczęśliwa matka! Ach, nieszczęśliwe dziecko! Siostry twoje przybyły; nie jestem z

nich zadowolona: zabierają, wnoszą wszystko w oczach umierającej matki, kłócą się o majątek – co mnie zasmuca. Gdy podchodzą do mego łóżka, odwracam się w drugą stronę – cóż bym w nich ujrzała? Dwie istoty, w których zubożenie zgasiło przyrodzone uczucie. Wzdychają do tych niewielu rzeczy, które pozostawiam; zadają lekarzowi i pielęgniarce niewłaściwe pytania, które wskazują, z jaką niecierpliwością oczekują chwili, kiedy odejdę i będą mogły zagarnąć wszystko, co mnie otacza. Powzięły podejrzenie, nie wiem w jaki sposób, że mogę mieć jakieś pieniądze schowane między materacami; nie było środka, którego by się nie chwyciły, żeby mnie zmusić do wstania z łóżka, i dopięły swego; ale na szczęście mój depozytariusz przyszedł poprzedniego dnia i wręczyłam mu ten pakiecik z tym listem, który napisał za moim dyktandem. Spal ten list, a kiedy dowiesz się, że mnie już nie ma, co stanie się niebawem, każesz odprawić mszę za moją duszę i wówczas ponowisz swe śluby, gdyż wciąż pragnę, abyś pozostała zakonnica: sama myśl o tym, że zostawiłabym cię na świecie samą, bez pomocy, bez oparcia, młodą – zakłóciłaby do reszty moje ostatnie chwile.”

Ojciec mój zmarł 5 stycznia, moja przełożona pod koniec tegoż miesiąca, a moja matka w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia.

V

Urząd przełożonej po matce de Moni objęła siostra Krystyna. Ach, panie, co za różnica między nimi. Powiedziałam panu, jaką kobietą była pierwsza. Jej następczyni miała charakter marny, głowę ciasną i otumanioną przesądami; chętnie dawała posłuch nowinkom w rzeczach wiary; naradzała się z sulpicianami⁶, z jezuitami⁷. Znienawidziła wszystkie ulubienice swej poprzedniczki – klasztor stał się pełen niepokoju, nienawiści, obmów, oskarżeń, potwarzy i prześladowań; trzeba było wypowiadać się w rzeczach teologii, na których nie rozumiałyśmy się zupełnie, zgadzać się na formułki, naginać się do osobliwych praktyk. Matka de Moni bynajmniej nie pochwałała cielesnych ćwiczeń pokutnych; biczowała się przez całe życie tylko dwa razy: raz w przeddzień mojej profesji, drugi raz w podobnej okoliczności. O takich sposobach pokuty mawiała, że nie leczą one żadnej wady, a tylko służą do wbijania w pychę. Chciała ona, ażeby mniszki dobrze się czuły, żeby miały zdrowe ciało i pogodny umysł. Pierwszą jej rzeczą, kiedy została przełożoną klasztoru, było kazać sobie przynieść wszystkie włosiennice i dyscypliny i zabronić posypywania jedzenia popiołem, sypiania na gołych deskach i zaopatrywania się w jakiegokolwiek narzędzia cielesnych umartwień. Nowa przełożona przeciwnie, odesłała z powrotem każdej zakonnicy jej włosiennicę i dyscyplinę i usunęła z cel Stary i Nowy Testament. Faworytki dawnego panowania nie są nigdy faworytkami następnego. Do mnie obecna przełożona odnosiła się obojętnie, żeby nie powiedzieć gorzej, z tej racji, że poprzednia mnie kochała; ale niebawem pogorszyłam swój los przez postęпки, które pan nazwie bądź nierozwagą, bądź hartem, zależnie od tego, pod jakim kątem pan na nie spojrzy. Pierwszym było oddanie się bólowi, jakiego doznawałam po stracie naszej dawnej przełożonej; wychwalanie jej przy każdej sposobności; powodowanie między nią a tą, która nami rzą-

⁶ S u l p i c i a n i e – katolicki zakon, powstał w XVII wieku. Zadaniem jego było zakładanie seminariów duchownych oraz kierowanie nimi.

⁷ J e z u i c i – założycielem zakonu jezuitów był Ignacy Loyola w 1550 roku. Zakon ten był bojową organizacją wojującego katolicyzmu. Cechowała go surowa dyscyplina i elastyczność taktyki.

dziła, porównań niekorzystnych dla obecnej; przedstawianie stanu klasztoru w ubiegłych latach; przypominanie spokoju, jakim cieszyłyśmy się wówczas, wyrozumiałości, z jaką się do nas odnoszono, strawy zarówno duchowej, jak i doczesnej, jaką nam wtedy dawano, i wysławianie obyczajów, uczuć, charakteru matki de Moni. Drugim postępkim było wrzucenie do ognia włosienicy i pozbycie się dyscypliny, głoszenie tego wobec przyjaciółek i namawianie niektórych, aby poszły za moim przykładem; trzecim, zaopatrzenie się w Stary i Nowy Testament; czwartym odrzucenie wszelkiego rodzaju sekciarstwa, trzymanie się miana chrześcijanki, bez przyjmowania nazwy jansenistki czy molinistki⁸; piątym zamknięcie się ściśle w ramach reguły klasztoru; nie chciałam robić ani więcej, ani mniej, niż wymagała reguła, a więc podejmować się jakichkolwiek czynności nadobowiązkowych, gdyż uważałam, że obowiązki są już aż nadto uciążliwe; postanowiłam siadać do organów tylko w dni świąteczne; śpiewać tylko wtedy, gdy na mnie przyjdzie kolej brać udział w chórze; nie znosić dłużej wyzyskiwania mej uprzejmości i zdolności, używania mnie do wszystkiego i to dzień w dzień.

Przeczytałam nasz regulamin, odczytałam go jeszcze raz, znałam go na pamięć; gdy nakazywano mi coś, co nie było tam jasno powiedziane albo czego tam wcale nie było, lub co mi się wydało z nim sprzeczne, odmawiałam wręcz; brałam do ręki książkę z regulaminem klasztoru: „Oto zobowiązania, które na siebie wzięłam, innych zaś nie wzięłam wcale.” Te repliki pociągnęły za moim przykładem niektóre mniszki. Autorytet przełożonych został mocno nadwreżony; nie mogły już teraz rozporządzać nami jak swymi niewolnicami. Nie było prawie dnia, żeby nie wybuchła jakaś ostra scysja. W wypadkach wątpliwych moje towarzyszki radziły się mnie; i zawsze byłam za przestrzeganiem reguły, a przeciw despotyzmowi. Niebawem wyglądałam na buntowniczkę, a może trochę i zachowywałam się buntowniczo.

Wikariusze generalni⁹ arcybiskupa byli nieustannie wzywani do klasztoru; stawiana przed nimi jako oskarżona, broniłam się, broniłam mych towarzyszek i nie było ani razu wypadku, by mnie skazano, tak bacznie uważałam, żeby słuszność była po mojej stronie: nie sposób było zaatakować mnie od strony mych obowiązków, spełniałam je skrupulatnie. Co się tyczy drobnych względów, które każda przełożona może zawsze okazać lub ich odmówić, nie zabiegałam o nie wcale. Nie zjawiałam się w rozmównicy; nie znając nikogo, nie przyjmowałam niczych odwiedzin. Ale spaliłam swą włosienicę i wyrzuciłam precz dyscyplinę; poradziłam, aby inne zrobiły to samo, nie chciałam nic słyszeć o jansenizmie czy molinizmie – ani nic dobrego, ani nic złego. Gdy pytano mnie, czy jestem posłuszna regule zakonu, odpowiadałam, że jestem posłuszna Kościołowi; czy uznaję bullę...¹⁰, że uznaję ewangelię. Zrobiono rewizję w mojej celi; wykryto w niej Stary i Nowy Testament. W niedyskretnych rozmowach wymknęło mi się coś o podejrzanym poufałościach między kilkoma faworytkami; przełożona miała długie i częste sam na sam z pewnym młodym księdzem; wyświeśliłam powód i pretekst tych spotkań.

Nie zaniedbałam niczego, co mogło w stosunku do mnie wywołać obawę, nienawiść, a nawet mnie zgubić, i doprowadziłam do tego, że tak się stało. Nie skarżono się więcej na mnie przed zwierzchnością duchowną, ale postarano się, żebym miała ciężkie życie. Zabroniono innym zakonnicom zadawać się ze mną; i niebawem wytworzyła się wokoło mnie pustka. Miałam niewielką liczbę przyjaciółek, domyślano się, że będą się one starały powetować

⁸ Janseniści i moliniści – dwa zwalczające się kierunki we francuskim kościele katolickim w ciągu XVII i XVIII wieku

⁹ Wikariusz generalny (grand-vicaire) – pomocnik biskupa w sprawach administracyjnych diecezji; w danym wypadku zastępca arcybiskupa Paryża.

¹⁰ Czy uznaję bullę – mowa tu o znanej bulli Unigenitus papieża Klemensa XI w 1714 r. – nazwanej tak od pierwszego słowa tej bulli. Wydana na skutek zabiegów jezuitów osądzała jansenizm jako kierunek heretycki, głosiła wyższość Kościoła nad Państwem. Bulla ta spowodowała rozłam całej Francji na dwa zwalczające się obozy.

sobie po kryjomu narzucany im przymus i że nie mogąc rozmawiać ze mną w dzień będą mnie odwiedzały w nocy lub w godzinach, kiedy rozmowy były zabronione – śledzono nas; złapano mnie, to z jedną, to z drugą; zrobiono z tej nieostrożności wszystko, co chciano; zostałam za nią ukarana w sposób najbardziej nieludzki: skazano mnie na to, że musiałam całymi tygodniami podczas nabożeństwa klęczeć w prezbiterium sama jedna, żyć o chlebie i wodzie, siedzieć zamknięta w swej celi, spełniać w klasztorze najniższe posługi. Te, które nazywano moimi współniczkami, nie lepiej były traktowane. Kiedy nie można było udowodnić winy, wmawiano mi ją; wydawano jednocześnie rozkazy sprzeczne i karano mnie, że ich nie wykonałam, przyśpieszano godziny nabożeństw, posiłków; naruszano w sekrecie przede mną cały tryb życia klasztornego i przy największej mojej uwadze byłam w ich oczach co dzień winna i co dzień byłam karana.

Jestem odważna; ale nie ma takiej odwagi, która by ostała się wobec opuszczenia, osamotnienia i prześladowania. Doszło do tego, że zrobiono sobie rozrywkę z dręczenia mnie; była to zabawa pięćdziesięciu będących w zмовie osób. Jest dla mnie niemożliwością wchodzić we wszystkie szczegóły tych złośliwości; nie dawano mi spać, czuwać, modlić się. Jednego dnia skradziono mi coś z ubrania, innym razem klucze lub brewiarz, to znów zamek w moich drzwiach był uszkodzony; przeszkadzano mi robić coś dobrze albo psuto rzeczy, które dobrze zrobiłam; wmawiano we mnie zmyślane rozmowy i postęпки; czyniono mnie odpowiedzialną za wszystko; i moje życie było jednym ciągiem wykroczeń – rzeczywistych lub rzekomych – i kar.

Moje zdrowie nie wytrzymało tak długich i ciężkich prób; popadłam w przygnębienie, smutek i melancholię. W początkach szukałam siły u stóp ołtarzy i niekiedy znajdowałam ją tam. Przechodziłam od rezygnacji do rozpacz, to poddając się całej srogości swego losu, to myśląc o wyzwoleniu za pomocą środków gwałtownych.

W głębi ogrodu znajdowała się głęboka studnia; ileż razy chodziłam tam, ileż razy patrzyłam w nią. Obok była kamienna ławka; ileż razy siadałam na niej z głową opartą o zrąb tej studni. Ileż razy w zamęcie myśli wstawałam nagle, zdecydowana położyć kres moim cierpieniom. Co mnie powstrzymywało? Czemu wołałam wówczas płakać, krzyczeć, deptać mój welon, wrywać sobie włosy i drapać twarz paznokciami? Jeżeli to Bóg nie dawał mi zgubić siebie, czemu nie powstrzymał również tych wszystkich innych odruchów?

Powiem panu coś, co wyda się panu, być może, bardzo dziwne, a mimo to jest prawdą; otóż nie wątpię, że moje częste wizyty u studni zostały zauważone i że moje okrutne prześladowczynie tuszyły sobie, iż pewnego dnia wykonam zamiar nurtujący moje serce. Gdy szłam w tamtą stronę, udawały, że oddalają się, i patrzyły gdzie indziej. Kilka razy zastałam furtkę od ogrodu otwartą w porze, kiedy powinna być zamknięta, zwłaszcza w te dni, gdy szczególnie znęcano się nade mną; doprowadzono do ostateczności moją porywczosć i uważano mnie za wariatkę. Ale skoro tylko domyśliłam się, że ten sposób usunięcia się z życia był, że tak powiem, podsuwany mej rozpacz, iż prowadzono mnie niejako za rękę do tej studni i że zawsze znajdę ją gotową, by mnie przyjąć, już o nią nie dbałam; myśl moja zwróciła się w inne miejsce; stawałam w korytarzach i mierzyłam wysokość okien: wieczorem rozbierając się próbowałam, nie myśląc o tym, wytrzymałości moich podwiązek; kiedy indziej odmawiałam przyjmowania pokarmów; schodziłam do refektarza i stałam oparta plecami o ścianę, opuściwszy ramiona, z zamkniętymi oczami i nie tknęłam podanych mi potraw; zapamiętywałam się w tym stanie tak, że wszystkie zakonnice już wyszły, a ja nie ruszałam się z miejsca. Umyślnie wtedy wychodziły jak najciszej i zostawiały mnie tam; potem karano mnie za to, że spóźniłam się na ćwiczenia.

Cóż mam panu powiedzieć? Obrzydzono mi prawie wszystkie sposoby odebrania sobie życia, ponieważ wydało mi się, że nie tylko się temu nie sprzeciwiano, lecz nawet mi je podsuwano. Widocznie nie chcemy, aby ktoś nas wypychał z tego świata, i prawdopodobnie już bym nie żyła, gdyby one udawały, że chcą mnie od samobójstwa powstrzymać. Gdy ktoś od-

biera sobie życie, być może chce tym doprowadzić innych do rozpacz – i zachowuje je, gdy sądzi, że jego śmierć sprawiłaby zadowolenie; to są odruchy, które powstają w nas w sposób bardzo subtelny. Doprawdy, o ile mogę sobie przypomnieć swój stan, gdy byłam obok studni, to zdaje mi się, że wołałam wewnątrz do tych nieszczęsnych, które oddalały się, aby mi ułatwić przestępstwo: „Zróbcie jeden krok w moją stronę; okażcie choć trochę chęci uratowania mnie; przybiegnijcie, by mnie powstrzymać – i bądźcie pewne, że przybędziecie za późno...”. Naprawdę, żyłam tylko dlatego, że one pragnęły mojej śmierci. Zawziętość w szkodzeniu, w dręczeniu sama się w końcu znuży w świecie; nic zgoła nie znuży się w klasztorach.

Tak sprawy stały, gdy wracając pamięcią do minionego życia pomyślałam o rozwiązaniu moich ślubów. Z początku było to luźne marzenie. Sama, opuszczona, bez oparcia – jak mogłam wykonać plan tak trudny, nawet przy wszelkiej pomocy, której mi było brak? Jednakże ta myśl uspokoiła mnie, mój umysł okrzepł; stałam się bardziej opanowana: unikałam przykrości, znosiłam cierpliwiej te, które na mnie spadały. Zauważono tę zmianę i wywołała ona zdumienie; niegodziwe postęпки urwały się nagle, jak zatrzymuje się w pościgu tchórzliwy wróg, gdy mu się stawia czoło w chwili dlań nieoczekiwanej.

Chciałam zadać panu jedno pytanie: dlaczego wśród wszystkich zgubnych myśli przewijających się przez mózg zrozpaczonej mniszki nie przychodzi jej do głowy myśl podpalenia klasztoru? Nigdy takiego zamiaru nie miałam, inne zakonnice również, chociaż jest to rzecz najłatwiejsza do wykonania: wystarczy w dzień bardzo wietrzny zanieść świecę na strych, do drwalni, na korytarz. Nie ma zupełnie spalonych klasztorów; a przecież w czasie pożaru bramy są otwarte i – „ratuj się, kto może”. Czyżby to wynikało z tego, że człowiek obawia się niebezpieczeństwa dla siebie i tych towarzyszek, które kocha, i gardzi pomocą, z której by korzystały i osoby znienawidzone? Taki powód jest zbyt wyrafinowany, aby mógł być prawdziwy.

Gdy człowiek jest wciąż zajęty jakąś sprawą, czuje jej słuszność, a nawet wierzy, że jest możliwa do przeprowadzenia; jest się bardzo silnym, gdy się do tego doszło. Obmyślałam wszystko w ciągu dwóch tygodni; mój umysł pracuje bardzo szybko. O co chodziło? O sporządzenie memoriału i danie go do zbadania; ani jedno, ani drugie nie było bezpieczne. Odkąd dokonał się we mnie przewrót, obserwowano mnie baczniej niż kiedykolwiek; nie spuszczano mnie z oka; każdy mój krok był komentowany; każde moje słowo ważne. Mniszki zbliżały się do mnie, usiłując mnie wy badać; wypytywały mnie, udawały współczucie i przyjaźń; wspominały moje minione życie, oskarżały łagodnie, usprawiedliwiały; spodziewały się ode mnie lepszego sprawowania, łudziły perspektywą spokojniejszej przyszłości: jednocześnie wchodziły co chwila do mojej celi – we dnie, w nocy, pod różnymi pozorami; nagle ukradkiem rozchyłały się zasłony mego łóżka i ktoś się cofał. Przywykłam spać w ubraniu; nabrałam jeszcze innego przyzwyczajenia: spisywałam swoją spowiedź. W dni, które są z góry wyznaczone, prosiłam przełożoną o atrament i papier, a tego mi nie odmawiała. Czekałam więc na dzień spowiedzi; a tymczasem układałam w głowie to, co miałam do napisania; było to w skróceniu wszystko, co panu już napisałam, tyle tylko, że używałam nazwisk zmyślonych. Ale popełniłam trzy nieostrożności: po pierwsze, powiedziałam przełożonej, że będę miała dużo do napisania i pod tym pozorem poprosiłam ją o więcej papieru, niż się zazwyczaj przydziela; po drugie, byłam zajęta swoim memoriałem i nie myślałam o spowiedzi; po trzecie, ponieważ się nie wy spowiadałam, nie będąc przygotowana do tego aktu religijnego, byłam przy konfesjonale tylko chwilę.

Wszystko to zauważono; i wywnioskowano z tego, że papier, o który się zwróciłam, został użyty inaczej, niż powiedziałam. Ale skoro nie posłużył do mojej spowiedzi, co było oczywiste, do czego go zużyłam? Choć nie wiedziałam, że to mogło wywołać takie zaniepokojenie, czułam, że nie jest wskazane, aby znaleziono u mnie pismo takiej wagi. Naprzód zamierzałam zaszyć je w poduszkę lub w materace, potem schować w ubraniu, zakopać w ogrodzie, spalić. Nie uwierzy pan, jak mi było pilno napisać tę rzecz, i jak byłam zakłopotana, gdy została na-

pisana. Naprzód ją zapieczętowałam, potem schowałam w zanadrze i poszłam na nabożeństwo, na które właśnie dzwoniło. Moje ruchy zdradzały gnębiący mnie niepokój. Siedziałam w kościele obok młodej mniszki, która mnie bardzo lubiła; czasami widziałam, jak patrzy na mnie ze współczuciem i płacze – nie rozmawiała wcale ze mną, ale na pewno cierpiała nad moim losem. Narazając się na wszystko, co mogło z tego wyniknąć, postanowiłam powierzyć jej mój papier; w pewnym momencie modłów, kiedy wszystkie zakonnice klękają, pochylają się, jak gdyby zanurzone w stallach, wyciągnęłam wolniutko z zanadru papier i podałam jej za plecami; wzięła go i ukryła na piersi.

Ta przysługa była najpoważniejszą z tych, które mi wyświadczyła; ale oddawała mi dużo innych; całymi miesiącami zajmowała się usuwaniem, nie zwracając na to niczyjej uwagi, wszystkich drobnych przeszkód, jakimi starano się utrudnić mi pełnienie moich obowiązków, aby mieć prawo karania mnie; pukała do moich drzwi, gdy była pora wyjścia; doprowadzała do porządku to, co celowo rozrzucano; szła za mnie dzwonić lub odpowiadać, gdy było trzeba; znajdowała się wszędzie, gdzie ja powinnam była być. Nie wiedziałam o tym wszystkim.

VI

Dobrze zrobiłam, że postanowiłam w ten sposób ukryć swój papier. Gdyśmy wyszły z prezbiterium, przełożona powiedziała mi: „Siostrzo Zuzanno, chodź ze mną...”. Uczyniłam to; potem zatrzymując się w korytarzu przy innych drzwiach, rzekła: „Oto twoja cela; dotychczasową zajmie siostra Hieronima...”. Weszłam, a ona wraz ze mną. Siedziałyśmy obie nic nie mówiąc, gdy oto zjawiała się mniszka z ubraniem i położyła je na krześle; przełożona powiedziała mi: „Siostrzo Zuzanno, rozbierz się i włóż to...”. Wykonałam rozkaz w jej obecności; ona zaś bacznie śledziła wszystkie moje ruchy. Siostra, która mi przyniosła ubranie, stała za drzwiami; weszła znowu, zabrała to, które zdjęłam; przełożona udała się za nią. Nie wyjaśniono mi przyczyny tego postępowania; nie zapytałam o to. Tymczasem przejrzano wszystko w mojej celi; rozpruto poduszkę i materace; przetrząśnięto wszystko, co się tam znajdowało lub mogło kiedyś się znajdować, przeszukano miejsca, w których bywałam: konfesjonał, kościół, ogród, okolicę studni i kamiennej ławy; widziałam niektóre z tych poszukiwań; podejrzewałam resztę. Nic nie znaleziono; niemniej utrwaliło się przekonanie, że coś tu jednak musiało być. Nadal szpiegowano mnie przez kilka dni: konfidentki przełożonej chodziły tam, gdzie ja poszłam; patrzyły wszędzie, ale na próżno.

Wreszcie przełożona doszła do wniosku, że dowiedzieć się prawdy można tylko ode mnie. Weszła pewnego dnia do mojej celi i powiedziała mi:

– Siostrzo Zuzanno, masz wady, ale nie kłamiesz; powiedzże mi prawdę: coś zrobiła z tym całym papierem, który ci dałam?

– Powiedziałam to wielebnej matce.

– To niemożliwe, gdyż prosiłaś mnie o dużą ilość papieru, a przy konfesjonale byłaś tylko chwilę.

– To prawda.

– Więc coś z nim zrobiła?

- To, co powiedziałam.
 - A więc przysięgnij mi, w imię świętego posłuszeństwa, któreś ślubowała Bogu, że tak jest, jak mówisz; a mimo pozorów uwierzę ci.
 - Nie wolno ci, wielbna matko, wymagać przysięgi w tak błahej rzeczy, a mnie nie wolno jej składać. Nie mogę przysiąc.
 - Oszukujesz mnie, siostrzo Zuzanno, a nie wiesz, na co się narażasz. Coś zrobiła z papierem, który ci dałam?
 - Powiedziałam ci to, wielbna matko.
 - Gdzie on jest?
 - Nie mam go już.
 - Coś z nim zrobiła?
 - To, co się robi z tego rodzaju pismami, które są niepotrzebne po zrobieniu z nich użytku.
 - Przysięgnij mi w imię świętego posłuszeństwa, że papier w całości został zużyty na spisanie twej spowiedzi i że go już nie masz.
 - Powtarzam ci, wielbna matko, że ponieważ ta druga rzecz nie jest ważniejsza od pierwszej, nie mogę przysiąc.
 - Przysięgnij – rzekła mi – bo inaczej...
 - Nie przysięgnę.
 - Nie przysięgniesz?
 - Nie, proszę wielbnej matki.
 - A więc jesteś winna?
 - W czym mogłam zawinąć?
 - We wszystkim, nie ma rzeczy, do której nie byłabyś zdolna. Z upodobaniem wynosiłaś pod niebiosa moją poprzedniczkę, aby mnie poniżyć; pogardzałaś zwyczajami, które ona skasowała, prawami, które zniosła, a które uznałam za swój obowiązek przywrócić; podburzyłaś całe zgromadzenie zakonne, naruszałaś regułę, siałaś niezgodę w umysłach, uchybiałaś wszystkim swoim obowiązkom, zmuszałaś mnie do karania ciebie i tych, które zwiodłaś, co mnie najwięcej boli. Mogłam była wystąpić przeciw tobie z jak największą surowością, oszczędziłam cię: sądziłam, że znajdziesz w sobie ducha twego stanu zakonnego, że odzyskam cię; nie uczyniłaś tego. Dzieje się coś niedobrego w twoim umyśle, masz jakieś plany – interes klasztoru wymaga, bym je znała i będę je znała; ja za ciebie odpowiadam. Siostrzo Zuzanno, powiedz mi prawdę.
 - Powiedziałam ją.
 - Zaraz wyjdę; strzeż się mojego powrotu; siadam, daję ci jeszcze chwilę do namysłu... Twoje papiery, jeżeli istnieją...
 - Już ich nie mam.
 - ...albo przysięga, że zawierały tylko twoją spowiedź...
 - Nie mogę jej złożyć.
- Chwilę trwała w milczeniu, po czym wyszła i wróciła z czterema swymi faworytkami; miały wyraz oszalały i wściekły. Padłam im do nóg, błagałam o zmiłowanie. Krzyczały wszystkie razem:
- Żadnej litości, wielbna matko, nie daj się wzruszyć; niech da swoje papiery lub niech idzie do ciemnicy!...
- Całowałam kolana to jednej, to drugiej, zwracałam się do nich, nazywając je po imieniu:
- Siostrzo Agnieszko, siostrzo Julio, co złego wam zrobiłam? Czemu podjudzacie przełożoną przeciw mnie? Czy ja w ten sposób wobec was postępowałam? Ile razy wstawałam się za wami? Już o tym nie pamiętacie? Wyście były winne, a ja winna nie jestem.
- Przełożona, nieruchoma, patrzyła na mnie i mówiła:
- Daj swe papiery, nieszczęsna, lub wyjaw, co one zawierały.
 - Wielbna matko – mówiły one – nie żądaj już ich od niej, jesteś za dobra, nie znasz jej,

to jest dusza krnąbrna, z którą można sobie dać radę tylko środkami ostatecznymi; ona cię do nich popycha, tym gorzej dla niej.

– Droga moja matko – powiedziałam – nie uczyniłam nic takiego, co mogłoby obrazić Boga czy ludzi, przysięgam ci na to.

– Nie takiej chcę przysięgi.

– Musiała napisać przeciw nam, przeciw tobie, matko, jakiś memoriał do wikariusza generalnego, do arcybiskupa; Bóg wie, jak musiała odmalować wewnętrzne sprawy klasztoru; z łatwością wierzy się złemu. Wielebna matko, trzeba ujarzmić tę kreaturę, jeśli nie chcesz, aby ona wzięła górę nad nami.

Przełożona dodała:

– Sostro Zuzanno, widzisz...

Wstałam gwałtownie i powiedziałam jej:

– Wielebna matko, widziałam wszystko, czuję, że gubię siebie, ale czy stanie się to chwilę wcześniej, czy chwilę później, nie warto o tym myśleć. Rób ze mną, co ci się podoba; idź za głosem ich gniewu, dopełnij swej niesprawiedliwości...

I natychmiast wyciągnęłam ku nim ramiona. Jej towarzyszki pochwyciły je. Zdarto ze mnie welon, obnażono bezwstydnie. Znalaziono na mojej piersi portrecik dawnej przełożonej, zabrano go. Błagałam, by mi pozwolono pocałować go jeszcze raz odmówiono mi; rzucono mi koszulę, zdjęto pończochy, okryto mnie workiem i poprowadzono z gołą głową i boso przez korytarze. Krzyczałam, wołałam: „Ratunku!”, ale uderzono w dzwon, aby uprzedzić, iż nie wolno opuszczać cel. Wzywałam na pomoc niebo, rzucałam się na ziemię, a one wlokły mnie. Gdy ściągnęły mnie po schodach na sam dół, miałam stopy zakrwawione i potłuczone nogi. byłam w stanie, który wzruszyłby serca z kamienia. Tymczasem otworzono wielkimi kluczami drzwi małego i ciemnego lochu, dokąd wrzucono mnie na rogożę na wpół zgniłą z wilgoci. Tam znalazłam kawał razowca i dzbanek wody oraz naczynia niezbędne, ordynarne. Rogoża zwinięta w jednym końcu stanowiła poduszkę, na ociosanym głazie stała czaszka i drewniany krucyfiks. Pierwszym moim odruchem było skończyć ze sobą; ścisnęłam rękoma gardło, podarłam zębami moją odzież, wydawałam przeraźliwe krzyki, wyłam jak dzikie zwierzę, biłam głową o ściany; cała się pokrwawiłam; usiłowałam odebrać sobie życie, dopóki mi nie zabrakło sił, co niebawem nastąpiło. Spędziłam w tej ciemnicy trzy doby; myślałam, że wtrącono mnie tam na całe życie. Każdego ranka jedna z moich oprawczyń przychodziła i mówiła:

– Bądź posłuszna naszej przełożonej, a wyjdiesz stąd.

– Nic nie zrobiłam, nie wiem, czego ode mnie chcecie. Ach, sostro Klemencjo, jest Bóg!...

Trzeciego dnia około dziewiątej wieczorem otworzono drzwi; były to te same mniszki, które mnie przyprowadziły. Wygłosiły pochwałę naszej przełożonej, a potem oznajmiły mi, że uzyskałam jej przebaczenie i że będę zaraz wypuszczona.

– Za późno – powiedziałam im – zostawcie mnie tutaj, chcę tu umrzeć.

Jednakże podniosły mnie i wyciągnęły siłą; odprowadzono mnie do mojej celi, gdzie zastałam przełożoną.

– Poradziłam się Boga co do twojego losu; wzruszył moje serce: chce, żebym okazała ci litość, i jestem mu posłuszna. Uklęknij i proś Go o przebaczenie.

Uklękłam i powiedziałam:

– Boże, proszę Cię o odpuszczenie mi moich win, jak Ty prosiłeś o to na krzyżu za mnie.

– Co za pycha! —zawołały mniszki – porównywa siebie do Chrystusa, a nas do Żydów, którzy Go ukrzyżowali.

– Nie zajmujcie się mną – powiedziałam im – lecz sobą i osądźcie.

– To nie wszystko – powiedziała przełożona – przysięgnij mi, w imię świętego posłuszeństwa, że nigdy nie będziesz mówiła o tym, co zaszło.

– To, coś, wielbna matko, uczyniła, jest więc bardzo złe, skoro żądasz ode mnie przysięgi, że będę milczała. Nikt nigdy nic nie będzie o tym wiedział prócz twego sumienia, przysięgam ci to.

– Przysięgasz?

– Tak, przysięgam...

Po tych słowach zdjęły ze mnie odzież, którą mi dały, i pozwoliły mi się ubrać w moją.

Przeziębłam się w wilgotnym lochu; stan mego zdrowia był ciężki, całe ciało miałam w sińcach, od kilku dni nie brałam nic do ust poza trochę wody i odrobiną chleba. Sądziłam, że to prześladowanie będzie ostatnie. Przyszłam do siebie bardzo prędko. Był to natychmiastowy skutek owych gwałtownych wstrząsów, które wskazują, jak odporne są młode istoty, i gdy się znów pojawiłam wśród mniszek, całe zgromadzenie było przekonane, że chorowałam. Wróciłam do swych zajęć i do swego miejsca w kościele. Nie zapomniałam o moim piśmie i o młodej siostrze, której je powierzyłam; byłam pewna, że ona nie nadużyła tego depozytu, lecz przechowywała go z niepokojem. W kilka dni po wyjściu z mojego więzienia, w prezbiterium, w takiej samej chwili kiedy wręczyłam jej papier, to znaczy, w chwili kiedy klękamy i pochylone ku sobie, znikamy w stallach, poczułam, że ktoś ciągnie mnie delikatnie za habit; wysunęłam dłoń i dano mi kartkę, zawierającą tylko te słowa: „Jakże niepokoiłam się o ciebie. A z tym okrutnym papierem co mam zrobić?...”. Po przeczytaniu kartki skreśliłam z niej kulkę i połknęłam ją.

Wszystko to działo się w początkach wielkiego postu. Zbliżał się czas, kiedy chęć usłyszenia śpiewów kościelnych ściąga do Longchamp dobre i złe towarzystwo z Paryża. Miałam bardzo piękny głos, zachował jeszcze swe brzmienie. Klasztory są bardzo czułe na najmniej-szy interes materialny, toteż okazano mi trochę względów; cieszyłam się nieco większą swobodą; siostry, które uczyłam śpiewu, mogły obcować ze mną bez złych następstw; jedną z nich była ta, której powierzyłam swój memoriał. W godzinach rekreacji, spędzanych w ogrodzie, brałam ją na stronę i kazałam jej śpiewać, i kiedyś podczas śpiewu powiedziałam jej tak:

– Masz liczne znajomości, ja nie znam nikogo. Nie chciałabym, żebyś się skompromitowała; wolałabym tu umrzeć niż narazić ciebie na podejrzenie, żeś mi oddała przysługę; moja droga, byłabyś zgubiona, wiem o tym, to by mnie nie ocaliło, a nawet gdyby twoja zguba uratowała mnie, nie chciałabym ocalenia za tę cenę.

– Dajmy temu pokój – rzekła – o co chodzi?

– Chodzi o to, aby w sposób pewny przekazać ten dokument jakiemuś zdolnemu adwokatowi tak, żeby nie wiedział, z którego klasztoru to pismo pochodzi, i uzyskać od niego odpowiedź, którą mi oddasz w kościele lub gdzie indziej.

– A propos – powiedziała mi – co zrobiłaś z moją kartką?

– Bądź spokojna, połknęłam ją.

– Bądź spokojna i ty, będę myślała o twojej sprawie...

Niech pan zwróci uwagę, że śpiewałam, podczas gdy ona mówiła, a ona śpiewała podczas moich odpowiedzi, i że nasza rozmowa była przerywana ruladami śpiewu. Ta młoda osoba, proszę pana, jest jeszcze w klasztorze, jej szczęście jest w pańskich rękach; gdyby wykryto, co ona dla mnie zrobiła, nie ma katuszy, na które nie byłaby wystawiona. Nie chciałabym stać się tą, co otworzyła jej drzwi lochu; wolałabym raczej sama tam powrócić. Niech więc pan spali te listy. Jeżeli pan wydzieli z nich zainteresowanie, jakie raczy żywić dla mego losu, nie zawierają one nic, co warto byłoby zachować. To mówiłam panu wówczas; ale niestety! teraz nie ma już jej i zostałam sama.

Nie omieszkała dotrzymać danego słowa i powiadomić mnie w przyjęty przez nas sposób. Nadszedł Wielki Tydzień, napływ słuchaczy na nasze ciemne jutrznie był liczny. Śpiewałam dość dobrze, by wywołać te hałaśliwe gorszące oklaski, jakimi nagradzają aktorów w salach widowisk, a których nie powinno by się nigdy słyszeć w świątyniach Boga, zwłaszcza podczas tych dni solennych i żałobnych, kiedy obchodzi się pamięć Jego syna przybitego na

krzyżu dla odkupienia zbrodni rodzaju ludzkiego. Moje młode uczennice były dobrze przygotowane, niektóre miały ładny głos, prawie wszystkie należytą ekspresję i smak, i wydało mi się, że publiczność słuchała ich z przyjemnością i że klasztor był zadowolony z sukcesu mych starań.

Pan wie, że w Wielki Czwartek przenosi się Najświętszy Sakrament z tabernaculum do specjalnego miejsca na ołtarzu, gdzie pozostaje aż do piątku rano. Ten okres czasu jest wypełniony kolejną adoracją zakonnic, które udają się na to miejsce jedna po drugiej lub po dwie. Na tablicy oznaczona jest godzina adoracji dla każdej z nas; jakże byłam rada, gdy przeczytała: „Siostra Zuzanna i siostra Urszula – od drugiej rano do trzeciej.” Udałam się tam o oznaczonej porze; moja towarzyszka była już na posterunku. Umieściliśmy się obok siebie na stopniach ołtarza, leżeliśmy krzyżem, wielbiłyśmy Boga przez pół godziny. Potem moja młoda przyjaciółka podała mi dłoń i uściśniła moją mówiąc, że być może nigdy nie będziemy miały już okazji porozmawiać tak długo i tak swobodnie.

– Bóg zna przymus, w jakim żyjemy – powiedziała – i przebaczy nam, że dzielimy czas, który winnyśmy Jemu całkowicie. Nie czytałam twego memoriału, ale nietrudno odgadnąć, co zawiera; odpowiedź będę miała bezzwłocznie. A jeżeli ta odpowiedź upoważni cię do wszczęcia kroków o rozwiązanie twych ślubów, czy nie uważasz, że będzie konieczne poradzić się prawników?

– To prawda.

– Że będzie ci potrzebna swoboda ruchów.

– To prawda.

– I jeżeli się na ten krok zdecydujesz, powinnaś skorzystać z twej obecnej pozycji w klasztorze, aby sobie tę swobodę zdobyć.

– Pomyślałam o tym.

– A więc zrobisz to?

– Zobaczę.

– Jest jeszcze inna rzecz: jeżeli twoja sprawa zostanie wszczęta, będziesz tutaj narażona na całą wściekłość zgromadzenia. Czy przewidziałaś oczekujące cię prześladowania?

– Nie będą większe od tych, które przecierpiałam.

– Nie wiem.

– Przepraszam cię. Przede wszystkim nie ośmielą się rozporządzać moją wolnością,

– A dlaczego?

– Bo wtedy będę pod opieką prawa; będę musiała stawać przed sądem, będę, że tak powiem, między światem a klasztorem, będę miała usta otwarte, swobodę skarżenia się, powołałam na świadków was wszystkie, nikt nie ośmieli się wyrządzać mi krzywd, na które mogłabym wnieść skargę; ani przez myśl im nie przejdzie popsuć sobie sprawę. Owszem, chciałabym, żeby się źle ze mną obchodziły, ale one tego nie zrobią – bądź pewna, że będą się zachowywały wręcz przeciwnie. Będą mnie usilnie prosiły, będą mi przedstawiały krzywdę, jaką wyrządzą sobie i klasztorowi; bądź pewna, że posuną się do pogroźek dopiero wtedy, gdy zobaczą, iż łagodnością i przymilaniem się nic nie wskórają, i że wyrzekną się użycia przemocy.

– Ale to jest nie do wiary, abyś miała taki wstręt do stanu, którego obowiązki spełniasz tak łatwo i tak skrupulatnie.

– Czuję ten wstręt, przyniosłam go ze sobą na świat i nie opuści mnie. Koniec końców byłabym złą zakonnicą, należy tę chwilę uprzędzić.

– Ale jeżeli na nieszczęście przegrasz sprawę?

– Jeżeli przegram proces, zażądam zmiany klasztoru albo umrę w tym.

– Długo się cierpi, zanim się umrze. Ach, moja droga, twój krok mnie przeraża: boję się, że twoje śluby będą rozwiązane, i boję się, że nie będą. Jeżeli będą, co się z tobą stanie? co będziesz robiła w świecie? Masz pociągającą powierzchowność, bystry umysł i talent, ale

powiadają, że to nie prowadzi do niczego, gdy się jest cnotliwą, a wiem, że nie wyrzekniesz się tej zalety.

– Oddajesz sprawiedliwość mnie, ale nie oddajesz jej cnotcie; liczę właśnie tylko na nią; im rzadsza jest wśród ludzi, tym więcej winna być tam poważana.

– Ludzie ją chwala, ale nic dla niej nie robią.

– To ona dodaje mi odwagi i podtrzymuje mnie w mym zamiarze. Cokolwiek mi się zarzuca, uszanuje się moje obyczaje; nie powiedzą o mnie, jak o większości innych, że wyrzywa mnie ze stanu zakonnego jakaś występna namiętność: nie widuję nikogo, nie znam nikogo. Chcę być wolna, ponieważ ofiara z mej wolności nie była dobrowolna. Czytałaś mój memoriał?

– Nie; otworzyłam pakiet, który mi dałaś, gdyż był bez adresu i mogłam myśleć, że przeznaczyłaś go dla mnie, ale pierwsze słowa wyprowadziły mnie z błędu i nie czytałam dalej. Jaką miałaś szczęśliwą myśl, dając mi go! chwila później, a znaleziono by to przy tobie... Ale zbliża się koniec naszego czuwania; padnijmy krzyżem: trzeba, żeby te, co nas zlużują, zastały nas w takiej postawie, w jakiej być powinnyśmy. Proś Boga, aby cię oświecił i prowadził, przyłączę swą modlitwę i westchnienia do twoich...

Trochę mi było lżej na duszy. Moja towarzyszka modliła się stojąc, ja leżałam krzyżem, z czołem opartym o ostatni stopień ołtarza, a ramionami rozpostartymi na wyższych stopniach. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek zwracała się do Boga z gorętszą prośbą o pocieszenie i z większą żarliwością; serce biło mi gwałtownie, w jednej chwili zapomniałam o wszystkim, co mnie otaczało. Nie wiem, jak długo trwałam w tej pozycji ani jak długo bym jeszcze tak trwała, ale należy mniemać, że przedstawiałam sobą nader wzruszający widok dla mej towarzyszki i dla dwóch zakonnic, które nadeszły.

Gdy powstałam, myślałam, że jestem sama; myliłam się; wszystkie trzy stały za mną i zalewały się łzami, nie śmiały mi przerwać, czekały, aż sama wyjdę ze stanu uniesienia i serdecznej wylewności uczuć, w jakim mnie widziały. Kiedy obróciłam się w ich stronę, moja twarz miała niewątpliwie wyraz wzniosły sądząc po wrażeniu, jakie wywarła na nich, i po tym, co mi później powiedziały, że byłam wówczas podobna do naszej dawnej przełożonej w chwilach, gdy nas pocieszała, i że mój widok wywołał w nich ten sam wstrząs. Gdybym miała w sobie pewną skłonność do obłudy lub fanatyzmu, gdybym chciała grać jakąś rolę w klasztorze, nie wątpię, że grałabym ją z powodzeniem. Dusza moja zapala się łatwo, unosi się, wzrusza i zacna przełożona sto razy mi mówiła, że nikt nie potrafiłby miłować Boga tak jak ja, że mam serce z ciała, a inne mają serce z kamienia. To pewna, że było mi nadzwyczaj łatwo dzielić jej ekstazę. W czasie modlitw, które odmawiała głośno, zdarzało mi się czasem, że przyłączałam się do niej, podejmowałam wątek jej myśli i jakby pod wpływem natchnienia znajdowałam częściowo te słowa, które ona sama zamierzała wypowiedzieć. Inne mniszki słuchały jej w milczeniu lub powtarzały za nią, ja jej przerywałam lub ją wyprzedzałam, bądź mówiłam wraz z nią. Zachowywałam bardzo długo doznane wrażenie i widocznie udzielało jej się coś z tego, gdyż jeżeli rozpoznawano po innych mniszkach, że rozmawiały z przełożoną, to po niej rozpoznawano, że rozmawiała ze mną. Ale co to wszystko znaczy, gdy nie czuje się w sobie powołania?... Gdy skończyła się nasza godzina czuwania, ustąpiłyśmy miejsca następnej dwójce; uściskałyśmy się bardzo serdecznie, moja młoda towarzyszka i ja, przed rozstaniem.

VII

Scena przed ołtarzem stała się głośna w klasztorze; niech pan do tego doda sukces naszych ciemnych jutrzni wielkopostnych: śpiewałam, grałam na organach, byłam oklaskiwana. O, szalone głowy mniszek! byłam już o krok od pojednania się z całą społecznością klasztoru, zakonnice zbliżyły się do mnie, przełożona pierwsza. Niektóre osoby z wyższego towarzystwa chciały ze mną zawrzeć znajomość; to zbyt dobrze godziło się z moim planem, bym mogła sobie tego odmówić. Poznałam pierwszego prezesa Trybunału, księżnę de Soubise i mnóstwo ludzi ustosunkowanych, mnichów, księży świeckich, wojskowych, dygnitarzy sądowych i administracyjnych, nabożnych dam, kobiet światowych; a wśród tego wszystkiego tych zmanierowanych lekkoduchów, zwanych przez was „czerwonymi obcasami”¹¹, prędko ich pożegnałam. Zachowałam tylko takie znajomości, które nie mogły ściągnąć na mnie żadnych zarzutów; resztę pozostawiłam tym spośród naszych mniszek, co nie były tak wybredne.

Zapomniałam panu powiedzieć, że pierwszą oznaką zmiany stosunku do mnie było oddanie mi z powrotem mojej dawnej celi. Odważyłam się zażądać zwrotu portreciku naszej poprzedniej przełożonej – nie śmiano mi odmówić; powrócił na swoje miejsce na moim sercu, pozostanie tam do końca mego życia. Codziennie rano pierwszym moim odruchem jest wzniesienie duszy do Boga, drugim ucałowanie tej pamiątki; gdy chcę się modlić, a czuję w duszy chłód, zdejmuję ten portrecik z szyi, stawiam go przed sobą, patrzę nań i zsyła mi natchnienie. To wielka szkoda, że nie znaleźmy świętych osób, których wizerunki mają być dla nas przedmiotem czci; inne wywierająby na nas wrażenie; nie bylibyśmy u ich stóp lub patrząc na nie tacy oziębli, jak jesteśmy. Dostałam odpowiedź na mój memoriał od niejakiego adwokata Manouri; nie była ani pomyslna, ani niepomysłna. Przed wypowiedzeniem się w tej sprawie żądał wielu wyjaśnień, których trudno było udzielić nie widząc się z nim; podałam więc swoje nazwisko i poprosiłam adwokata Manouri o przybycie do Longchamp. Ci panowie niechętnie ruszają się z miejsca; jednak przyjechał. Rozmawialiśmy ze sobą bardzo długo, umówiliśmy się co do sposobu korespondowania, tak żeby on mógł pewną drogą przysyłać mi swe pytania, a ja jemu odpowiedzi. Ze swej strony użyłam całego czasu, który adwokat Manouri poświęcił mojej sprawie, aby przychylnie usposobić do siebie umysły, zainteresować moim losem pewne osoby, wyrobić sobie protekcję. Podałam swoje nazwisko, ujawniłam swe zachowanie się w pierwszym klasztorze, gdzie przebywałam, opisałam to, co wycierpiałam w domu, udreki klasztorne u Panny Marii, protest podczas składania ślubów, mój pobyt w Longchamp, obłóczyny, profesję, bezwzględność, z jaką byłam traktowana po złożeniu ślubów. Żalowano mnie, ofiarowano pomoc; okazywaną mi dobrą wolę zachowałam na czas, gdy będę mogła jej potrzebować, nie wdając się na razie w bliższe szczegóły. Nic z tych zabiegów nie przeniknęło do klasztoru; uzyskałam z Rzymu pozwolenie na wszczęcie kroków o unieważnienie moich ślubów; w momencie gdy proces miał być lada chwila wytoczony, w klasztorze nie przeczuwano, co się święci.

Może więc pan sobie wyobrazić, jak była zaskoczona moja przełożona, gdy otrzymała zawiadomienie sądowe o zgłoszonym w imieniu siostry Marii Zuzanny Simonin proteście prze-

¹¹ Czerwone obcasy – dawne popularne przezwisko dawane dworzanom królewskim (nosili czerwone obcasy); potem „być czerwonym obcasem” znaczyło być człowiekiem wyrafinowanym. zmanierowanym.

ciw jej ślubom, z żądaniem umożliwienia jej zdjęcia szat zakonnych i opuszczenia klasztoru, aby mogła rozporządzać sobą, jak uzna za stosowne.

Przewidziałam oczywiście, że spotka się to z różnego rodzaju opozycją: prawa, klasztoru i moich szwagrów i sióstr ogarniętych trwogą – cały majątek rodzinny był w ich rękach; będąc wolna mogłabym odebrać im poważną część tego mienia. Napisałam do moich sióstr, błagałam je, by nie zgłaszały żadnego sprzeciwu co do mojego wyjścia z zakonu; apelowałam do ich sumienia przypominając im, jak znikomy był udział mojej woli przy składaniu ślubów; proponowałam im, iż zrzeknę się aktem prawnym wszelkich roszczeń do spadku po ojcu i po matce, nie szczędziłam niczego, aby je przekonać, że mój krok nie był podyktowany ani interesem materialnym, ani namiętnością.

Nie łudziłam się bynajmniej co do ich uczuć.

Akt, który im proponowałam, sporządzony wtedy, gdy byłam jeszcze związana ślubami, stawał się tym samym nieważny; siostry moje nie były pewne, czy po odzyskaniu wolności potwierdzą go; prócz tego miały wątpliwości, czy przystoi im przyjąć moje propozycje. Pozostawić siostrę bez dachu nad głową i bez środków do życia? Korzystać nadal z jej majątku? Co ludzie na to powiedzą? Jeżeli przyjdzie do nas prosić o chleb, czy będziemy mogły jej odmówić? Jeżeli strzeli jej do głowy wyjść za mąż, kto wie, co to będzie za człowiek ten, którego poślubi? A jeżeli będzie miała dzieci?... Należy sprzeciwić się wszelkimi siłami tej niebezpiecznej dla nas próbie...

Tak sobie pomyślały i tak zrobiły.

Natychmiast po otrzymaniu pozwu sądowego z moim żądaniem przełożona przybiegła do mojej celi.

– Jak to, siostrze Zuzanno, chcesz nas opuścić?

– Tak jest, wielbna matko.

– I chcesz odwołać swoje śluby?

– Tak jest, wielbna matko.

– Czyż nie złożyłaś ich dobrowolnie?

– Nie, wielbna matko.

– A któż ciebie do tego zmusił?

– Wszystko.

– Twój ojciec?

– Mój ojciec.

– Twoja matka?

– Właśnie ona.

– A czemu nie protestowałaś przy ołtarzu?

– Tak mało zdawałam sobie sprawę z tego, co się ze mną działo, że nawet nie pamiętam, żebym była przy tym obecna.

– Jak możesz tak mówić?

– Mówię prawdę.

– Jak to! Nie słyszałaś, jak ksiądz cię pytał; „Siostrze Zuzanno Simonin, czy przyrzekasz Bogu posłuszeństwo, czystość i ubóstwo?”

– Nie pamiętam.

– Nie odpowiedziałaś twierdząco?

– Nie pamiętam.

– I wyobrażasz sobie, że ludzie ci uwierzą?

– Uwierzą mi albo nie uwierzą; niemniej fakt ten będzie prawdziwy.

– Drogie dziecko, gdyby dać posłuch podobnym wykrętom, pomyśl, jakie by wynikły z tego nadużycia.

Uczyliś nierozważny krok, dałaś się unieść uczuciu zemsty; nazbyt wzięłaś sobie do serca kary, które byłam zmuszona ci wymierzyć, myślałaś, że one wystarczą do zerwania twych

ślubów; omyliłaś się, to jest niemożliwe ani wobec ludzi, ani wobec Boga. Pomyśl, że krzywoprzysięstwo jest największą ze wszystkich zbrodni, że już popełniłaś ją w sercu swoim i że chcesz jej dokonać.

– Nie popełnię bynajmniej krzywoprzysięstwa, niczego nie przysięgałam.

– Jeżeli wyrządzono ci jakie krzywdy, czyż nie zostały one naprawione?

– To wcale nie te krzywdy spowodowały moją decyzję.

– A więc co?

– Brak powołania, brak nieprzymuszonej woli w moich ślubach.

– Jeżeli nie byłaś powołana, jeżeli cię przymuszono, czemu mi tego nie powiedziałaś we właściwej porze?

– A co by mi z tego przyszło?

– Czemu nie wykazałaś u nas tej samej stanowczości, jaką miałaś u Panny Marii?

– Czyż stanowczość zależy od nas? Byłam stanowcza za pierwszym razem, za drugim byłam oglupiała.

– Czemuż nie wezwałaś jurysty? Czemu nie protestowałaś? Miałaś dwadzieścia cztery godziny, aby stwierdzić, że żałujesz swego kroku.

– Czyż ja wiedziałam cośkolwiek o tych formalnościach? Gdybym wiedziała, czy byłabym w stanie z nich skorzystać? Gdybym była w stanie z nich skorzystać, czy mogłabym to uczynić? Jak to, wielbna matko, czyś sama nie spostrzegła, że byłam niespełna rozumu? Jeżeli cię wezwą na świadka, czy przysięgniesz, że byłam zdrowa na umyśle?

– Przysięgnę.

– A więc, wielbna matko, to ty, a nie ja, popełnisz krzywoprzysięstwo.

– Moje dziecko, wywołasz niepotrzebny skandal. Uspokój się, zaklinam cię w twoim własnym interesie, w interesie klasztoru; tego rodzaju sprawy nie przebiegają bez gorszących sporów.

– To nie będzie moja wina.

– Ludzie świeccy są źli; powstaną przypuszczenia jak najbardziej niekorzystne dla twego umysłu, twego serca, twej moralności; ludzie pomyślą...

– A niech myślą, co chcą.

– Ale pomów ze mną otwarcie; jeżeli jesteś z czego w skrytości ducha niezadowolona, cokolwiek by to było, jest na to sposób.

– Byłam, jestem i będę całe życie niezadowolona ze swego stanu.

– Czyżby zły duch, co krąży ustawicznie dokoła i usiłuje nas zgubić, skorzystał ze zbyt wielkiej swobody, jakiej ci udzielono od niedawna, aby w tobie wzniecić jakąś zgubną skłonność?

– Nie, wielbna matko, wiesz, że trudno mi przysięgać: Bogiem się świadczę, że serce moje jest niewinne i że nie było w nim nigdy żadnego sromotnego uczucia.

– To jest nie do pojęcia.

– A jednak bardzo łatwo to pojąć. Każdy ma swój charakter i ja mam swój; ty, wielbna matko, lubisz życie klasztorne, a ja go nienawidzę; tyś otrzymała od Boga łaski twego stanu, a mnie brak ich wszystkich; ty zgubiłabyś siebie w świecie, a tutaj zapewniasz sobie zbawienie – ja zgubiłabym siebie tutaj, a spodziewam się znaleźć ocalenie w świecie; jestem i będę złą zakonnica.

– Dlaczego? nikt lepiej od ciebie nie spełnia swych obowiązków?

– Ale z trudem i niechętnie.

– Tym większa twoja zasługa.

– Nikt lepiej ode mnie nie może wiedzieć, co jest moją zasługą; i jestem zmuszona przyznać się przed sobą, że ulegając wszystkiemu, nie mam żadnej zasługi. Dość mam mojej obłądki; spełniając to, co innym zapewnia zbawienie, czuję do siebie wstręt i skazuję się na potępienie wieczne. Słowem, wielbna matko, uważam za prawdziwe zakonnice te tylko, które

zatrzymuje tutaj zamięłowanie do życia z dala od świata i które pozostałyby tutaj, nawet gdyby nie miały dokoła siebie ani kraty, ani murów. Dużo do tego brakuje, abym mogła się do nich zaliczyć: ciało moje jest tutaj, ale mojego serca tu nie ma; jest na zewnątrz – i gdyby trzeba było wybierać między śmiercią a zamknięciem dożywočním, nie wahałabym się umrzeć. Oto moje uczucia.

– Jak to, porzuciłabyś bez wyrzutów sumienia ten welon, ten ubiór, który cię poświęcił Jezusowi Chrystusowi?

– Tak, wielbna matko, ponieważ włożyłam go bez zastanowienia i nie z własnej woli...

Odpowiedziałam jej bardzo powściągliwie, gdyż nie to podsuwało mi serce; ono mówiło mi: „Och, czemuż to jeszcze nie ta chwila, gdy będę mogła podrzeć ten strój i cisnąć go od siebie precz!...”

Jednakże moja odpowiedź ją przybiła; zbladła, chciała jeszcze mówić, ale wargi jej drżały; doprawdy nie wiedziała, co miała mi jeszcze do powiedzenia. Spacerowałam dużymi krokami po mojej celi, a ona zawołała:

– O mój Boże! co powiedzą nasze siostry? O Jezu, rzuć na nią litościwe spojrzenie! Siostrzo Zuzanno!

– Słucham, wielbna matko.

– A więc to rzecz postanowiona? Chcesz nas zniesławić, wydać na złe języki, stać się sama przedmiotem plotek i zgubić siebie.

– Chcę stąd wyjść.

– Jeżeli ci się tylko ten klasztor nie podoba...

– I klasztor, i mój stan, i życie zakonne; nie chcę być zamknięta ani tutaj, ani gdzie indziej.

– Moje dziecko, jesteś opętana przez złego ducha, to on się w tobie miota, przemawia przez ciebie, ponosi cię; nie ma żadnych wątpliwości; popatrz, jak ty wyglądasz.

Rzuciłam okiem na siebie i zobaczyłam, że moja suknia jest istotnie w nieładzie, że mój kornet przekreślił się prawie zupełnie na tył głowy, a welon spadł mi na barki. Znudziło mnie to, co mówiła ta złośliwa przełożona, która rozmawiała ze mną tylko w tonie słodkawym i fałszywym, i powiedziałam jej z gniewem: – Nie, wielbna matko, nie, nie chcę więcej tego stroju, nie chcę... – Jednakże próbowałam uporządkować welon, ręce mi się trzęsły; i im bardziej usiłowałam poprawić go na sobie, tym więcej go zaplątywałam; zniecierpliwiona, chwyciłam go gwałtownie, zerwałam, rzuciłam na ziemię i stałam przed przełożoną z przepaską na czole i z gołą głową. Tymczasem ona, niepewna, czy powinna wyjść, czy zostać, chodziła po celi tam i z powrotem, mówiąc: – O Jezu! ona jest opętana, nie ma żadnej wątpliwości, jest opętana... – i obłudnica, żegnała się krzyżem swego różańca.

Niebawem przyszedłam do siebie; poczułam, jak nieprzystojny był mój wygląd i jak były nieroztropne moje słowa; uporządkowałam swój ubiór, jak mogłam najlepiej, podniosłam welon i nałożyłam go, jak należy; po czym zwracając się do przełożonej, powiedziałam:

– Wielbna matko, nie jestem ani wariatką, ani opętaną; wstydzę się swej porywczoności i proszę o przebaczenie; ale moje zachowanie powinno ci powiedzieć, jak mało mi odpowiada stan zakonny i jak jest słuszne, że staram się z niego wydobyć; jeśli będę mogła...

Ona nie słuchając mnie powtarzała:

– Co ludzie powiedzą? Co powiedzą nasze siostry?

– Wielbna matko – powiedziałam – jeżeli chcesz uniknąć przykrego rozgłosu w mojej sprawie, byłby na to sposób. Nie ubiegam się zgoła o mój klasztorny posąg; domagam się tylko wolności; nie mówię bynajmniej, żebyś mi otworzyła bramy, lecz spraw tylko, by dzisiaj, jutro, pojutrze były źle pilnowane, i spostrzeż moją ucieczkę jak najpóźniej...

– Nieszczęsna! Co śmiesz mi proponować!

– Radę, za którą dobra i mądra przełożona powinna by pójść w stosunku do tych wszystkich, co uważają swój klasztor za więzienie; a klasztor jest dla mnie więzieniem stokroć okropniejszym od tych, gdzie zamykają złoczyńców; muszę albo z niego wyjść, albo w nim

zginąć. Wielebna matko – mówiłam dalej bardzo poważnym tonem, patrząc na nią śmiało – posłuchaj mnie: gdyby prawo, do którego się zwróciłam, zawiodło moje oczekiwania i gdybym, przynaglona uczuciem rozpaczony zbyt dobrze mi znanej... jest tu studnia... są okna w klasztorze... wszędzie dokoła mury... można pokrajać ubranie... zrobić użytek z rąk...

– Przestań, nieszczęsna. Twoje słowa przejmują mnie dreszczem. Jak to, mogłabyś...

– Mogłabym, nie uciekając się do tego wszystkiego, co kończy nagle niedole życia, odmówić przyjmowania pokarmów; człowiek może pić i jeść lub się od tego powstrzymać... Gdyby się zdarzyło po tym, co ci powiedziałam, że zdobyłabym się na odwagę, a wiesz, że mi jej nie brak i że niekiedy trzeba jej więcej, by żyć, niż aby umrzeć, przenieś się myślą na sąd boski i powiedz mi, którą Bóg uważałby za bardziej winną: przełożoną czy jej mniszkę?... Wielebna matko, nie żądam niczego od klasztoru i nie zażądam nigdy; oszczędź mi popełnienia ciężkiego przestępstwa, oszczędź sobie długotrwałych wyrzutów sumienia: ułożmy się...

– Co też przychodzi ci do głowy, siostrzo Zuzanno? że ja uchylę pierwszemu z mych obowiązków, że przyłożę ręki do zbrodni, że wezmę udział w świętokradztwie?

– To ja popełniam co dzień prawdziwe świętokradztwo profanując pogardą poświęcone szaty, które noszę. Zdejmij je ze mnie, nie jestem ich godna; każ poszukać na wsi łachmanów najbiedniejszej chłopki; i żeby furtka klasztorna była uchylona.

– A dokąd pójdziesz, aby ci było lepiej?

– Nie wiem, dokąd pójdę, ale źle jest człowiekowi tylko tam, gdzie Bóg go nie chce; a Bóg nie chce mnie tutaj zgoła.

– Nic nie masz.

– To prawda, ale nie biedy boję się najbardziej.

– Obawiaj się rozwiązłego życia, do którego bieda wciąga.

– Przeszłość ręczy mi za przyszłość; gdybym była chciała słuchać podszeptów zbrodni, byłabym wolna. Ale jeśli wyjdę z tego domu, stanie się to bądź za twoją zgodą, bądź z mocy prawa. Możesz, wielebna matko, wybierać...

Ta rozmowa trwała długo. Przypominając ją sobie rumienię się za rzeczy niedyskretne i śmieszne, które popełniłam i powiedziałam; ale stało się. Przełożona wciąż jeszcze wykrzykiwała swoje: „Co powiedzą ludzie! co powiedzą siostry!”, gdy dzwonnik wzywający na nabożeństwo rozłączył nas. Wychodząc powiedziała mi:

– Siostrzo Zuzanno, idziesz do kościoła, proś Boga, żeby cię wzruszył i przywrócił ci ducha twego stanu; zbadaj swe sumienie i wierz temu, co ono ci powie: nie podobna, aby ci nie czyściło wyrzutów. Zwalniam cię od śpiewu.

Zeszliśmy prawie jednocześnie. Nabożeństwo się skończyło; pod koniec nabożeństwa, gdy wszystkie siostry gotowały się do rozejścia, przełożona uderzyła dłonią po brewiarzu i zatrzymała je.

– Moje siostry – powiedziała – wzywam was, byście padły do stóp ołtarza i błagały Boga o zmiłowanie nad jedną zakonnicą, którą On opuścił, która utraciła ducha życia zakonnego i gotowa jest popełnić czyn świętokradzki w oczach Boga i sromotny w oczach ludzi.

Nie potrafię panu opisać ogólnego zdumienia; w mgnieniu oka każda, nie ruszając się z miejsca, przebiegła wzrokiem twarze towarzyszek, usiłując rozpoznać winną po jej zmieszaniu. Wszystkie legły krzyżem i modliły się w milczeniu. Po dość długim czasie przełożona zaintonowała ścisłym głosem *Veni Creator*; następnie po chwili ponownego milczenia przełożona uderzyła w pulpit i zakonnice wyszły.

VIII

Może pan sobie wystawić, jak całe zgromadzenie zaczęło szeptać: która to jest? a która nie? co ona zrobiła? co chce zrobić?... Te podejrzania nie trwały długo. Moje żądanie zaczynało być głośnie w Paryżu; odwiedziło mnie mnóstwo osób – jedni przychodzili z wyrzutami, inni z radami; jedni pochwalali mój krok, inni mnie ganili. Miałam jeden tylko sposób usprawiedliwienia się w oczach wszystkich: wyjawić im postępowanie moich rodziców; a pojmuję pan, że chciałam zachować dyskrecję w tym względzie; pozostało mi zaledwie kilka osób szczerze oddanych i pan Manouri, który się podjął prowadzenia mojej sprawy i z którym mogłam być zupełnie szczerą. Gdy ogarniało mnie przerażenie na myśl o udrękach, które mi groziły, w mojej wyobraźni jawił się w całej okropności loch, dokąd mnie już raz zawleczono; znałam okrutną zajadłość mniszek.

Zwierzyłam się z mych obaw panu Manouri, powiedział mi:

– Nie może pani unikać wszelkiego rodzaju przykrości; będzie je pani miała, powinna się była pani tego spodziewać; trzeba się uzbroić w cierpliwość i pokrzepić się nadzieją, że przyjdzie ich kres. Co do tego lochu, przyrzekam pani, że nie wrócisz tam nigdy; to już moja sprawa...

Istotnie, w kilka dni potem przyniósł rozkaz dla przełożonej, aby pozwoiliła mi zawsze stawić się osobiście, ilekroć tego od niej zażądają.

Nazajutrz, po nabożeństwie, polecono mnie raz jeszcze publicznym modłom zgromadzenia; modlono się po cichu i odśpiewano półgłosem ten sam hymn co poprzedniego dnia.

Ta sama ceremonia odbyła się na trzeci dzień, z tą różnicą, że kazano mi stanąć pośrodku prezbiterium i odmawiano modlitwy za konających, litanie do wszystkich świętych z refrenem *ora pro ea*¹².

Czwartego dnia urządzono ponure widowisko, które wykazało dobitnie, jak dziwaczny charakter miała przełożona. Po skończonym nabożeństwie kazano mi się położyć do trumny ustawionej pośrodku prezbiterium; po bokach umieszczono lichtarze i kropielnicę; okryto mnie całunem i odprawiono egzekwie, po czym każda mniszka wychodząc skraplała mnie święconą wodą mówiąc: *Requiescat in pace*. Trzeba znać język klasztorny, aby zrozumieć rodzaj groźby zawarty w tych słowach¹³. Dwie mniszki zdjęły całun i pozostawiły mnie w trumnie, zmoczoną do nitki wodą, którą mnie złośliwie polały. Moje ubranie wyschło na mnie – nie miałam w co się przebrać.

Po tym umartwieniu przyszło inne. Całe zgromadzenie zebrało się, uznano mnie za potępioną, mój krok został osądzony jako odszczepieństwo; i pod karą odpowiedzialności za nieposłuszeństwo zabroniono wszystkim zakonnicom rozmawiać ze mną, pomagać mi, zbliżać się do mnie, a nawet dotykać rzeczy, których mogłam używać. Te zarządzenia zostały ściśle wykonane. Nasze korytarze są wąskie, w niektórych miejscach dwie osoby z trudem mogą przejść obok siebie – jeżeli jakaś mniszka szła naprzeciw mnie, to albo zawracała, albo przywierała do ściany przytrzymując swą suknię i welon z obawy, aby nie otarły się o moje ubranie. Jeżeli która musiała wziąć coś ode mnie, stawiałam tę rzecz na ziemi i brano ją przez gał-

¹² Ora pro ea – módl się za nią.

¹³ Prócz zwykłego w modłach za umarłych znaczenia: „niech odpoczywa w spokoju”, słowo „in pace” oznacza również loch, gdzie trzymano i torturowano więźniów Inkwizycji.

ganek; jeżeli miano mi coś dać, rzucono mi to, jeżeli która z mniszek miała nieszczęście dotknąć mnie, uważała siebie za skalaną i szła do przełożonej wypowiadać się z tego i otrzymać od niej rozgrzeszenie.

Powiedział ktoś, że pochlebstwo jest rzeczą podłą i niską, ma ono w sobie jeszcze więcej okrucieństwa i pomysłowości, gdy zamierza przypodobać się przez upokorzenia, jakie wymyśla. Ileż razy przypominałam sobie słowa mej świętej przełożonej de Moni. „Wśród wszystkich tych istot – mówiła – które widzisz dokoła mnie, tak uległych, tak niewinnych, tak łagodnych, nie ma, moje dziecko, prawie ani jednej, tak jest, prawie ani jednej, z której nie mogłabym zrobić dzikiej bestii; dziwna przemiana, do której skłonność jest tym większa, im młodsza jest dziewczyna, co weszła do celi, i im mniej zna życie w świecie. To, co mówię, dziwi cię. Niech cię Bóg chroni, abyś miała na sobie doświadczyć tej prawdy. Siostrzo Zuzanno, dobrą zakonnicą jest ta, która wnosi do klasztoru jakąś wielką winę do odpokutowania.”

Odsunięto mnie od wszelkich zajęć. W kościele pozostawiono puste stalle po obu stronach tej, którą zajmowałam. W refektarzu siedziałam przy stole sama; nie podawano mi tam potraw; musiałam chodzić do kuchni po swoją porcję; za pierwszym razem siostra kucharka krzyknęła na mnie:

– Nie wchodź tutaj, odejdz!...

Uśluchałam.

– Czego chcesz?

– Jeść.

– Jeść! nie jesteś godna żyć...

Czasami wracałam do celi i spędzałam cały dzień nic nie jedząc; czasami nalegałam i stawiano mi na progu jadło, jakie wstyd byłoby podać psu; zabierałam je z płaczem i odchodziłam. Jeżeli czasem przyszłam do drzwi prezbiterium ostatnia, zastawałam je zamknięte; kłękałam pode drzwiami i tam czekałam na koniec modłów; jeżeli modlono się w ogrodzie, wracałam do swej celi.

Jednakże ponieważ siły moje słabły wskutek niedostatecznego i lichego pożywienia, a bardziej jeszcze wskutek cierpień moralnych, jakie mi sprawiało znoszenie tyłu ponawiających się okrucieństw, świadczących o nieludzkim traktowaniu, poczułam, że jeżeli będę w dalszym ciągu cierpieć bez skargi, nie ujrzę nigdy końca mego procesu. Zdecydowałam się więc pomówić z przełożoną; byłam na wpół żywa ze strachu – zapukałam jednak cicho do jej drzwi. Otworzyła. Na mój widok cofnęła się o kilka kroków, wołając:

– Odstępczyni, odsuń się.

Odsunęłam się.

– Jeszcze...

Odsunęłam się jeszcze.

– Czego chcesz?

– Skoro ani Bóg, ani ludzie nie skazali mnie na śmierć, chcę, matko przełożona, byś zarządziła, aby pozwolono mi żyć.

– Żyć! – rzekła mi powtarzając słowa siostry kucharki – czyś tego godna?

– To tylko Bogu wiadome; ale uprzedzam cię, że jeśli odmówicie mi pożywienia, będę zmuszona wnieść skargę na ręce tych, którzy wzięli mnie pod swoją opiekę. Jestem tutaj tylko czasowo, do chwili aż rozstrzygnie się mój los i mój stan.

– Idź – powiedziała mi – nie kalaj mnie swym wzrokiem; zajmę się tym...

Poszłam, a ona zatrzasnęła za mną drzwi. Wydała pozorne zarządzenia, ale nie obchodzono się ze mną zgoła lepiej, poczytywano sobie za zasługę nie słuchać jej, gdy szło o mnie: rzucono mi najordynarniejsze jadło, do tego zanieczyszczone popiołem i wszelkiego rodzaju odpadkami.

Takie oto wiodłam życie, póki trwał mój proces. Korzystanie z rozmównicy nie było mi całkowicie wzbronione; przełożona nie mogła mi zakazać rozmawiania z moimi sędziami ani

z moim adwokatem; mimo to musiał on kilka razy użyć groźby, aby uzyskać widzenie się ze mną. Wówczas jedna z sióstr towarzyszyła mi; skarżyła się, jeżeli mówiłam cicho; niecierpliwiła się, jeżeli pozostawałam tam dłużej; przerywała mi, zadawała mi kłam, oponowała, powtarzała przełożonej moje słowa, przekreślała je, sączyła w nie jad, wmawiała we mnie takie, których nie mówiłam; bo ja wiem co jeszcze?

Doszło do tego, że mnie okradziono, ogołoco mi celę, zabrano krzesła, pościel, materace; nie dawano mi już osobistej bielizny; moje ubranie darło się; byłam prawie bez pończoch i bez trzewików. Miałam trudności z uzyskaniem wody; nieraz musiałam chodzić po nią sama do studni, do tej studni, o której panu mówiłam. Rozbito mi moje naczynia – byłam więc zmuszona pić przy studni wodę, którą wyciągałam, nie mogąc jej ze sobą zabrać. Jeżeli przechodziłam pod oknami, musiałam uciekać lub narazić się na wylanie mi na głowę nieczystości z cel. Kilka sióstr napluło mi w twarz. Stałam się ohydnie brudna. Ponieważ obawiano się skarg, które mogłam wnieść do naszych spowiedników, spowiedź została mi wzbroniona.

W pewne uroczyste święto, zdaje się, że było to Wniebowstąpienie, zatkano mi czymś zamek we drzwiach; nie mogłam iść na mszę; i być może opuściłabym wszystkie inne nabożeństwa w tym dniu, gdyby nie wizyta pana Manouri, któremu z początku powiedziano, że nie wiadomo, co się ze mną stało, że mnie nigdzie się już nie widuje i że nie spełniam żadnych praktyk religijnych. Tymczasem po wielkiej mordędzie wyłamałam zamek i udałam się do drzwi prezbiterium, które zastałam zamknięte, jak to się zawsze zdarzało, gdy nie przyszedłabym jedna z pierwszych. Leżałam na ziemi, oparta głową i plecami o ścianę, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, a reszta mego ciała zagradzała przejście; gdy nabożeństwo się skończyło i pojawiły się zakonnice, żeby wyjść z kościoła, pierwsza zatrzymała się nagle; inne nadeszły za nią i stanęły, przełożona domyśliła się tego, co się stało, i rzekła: „Przejdźcie po niej, to jest tylko trup...”. Niektóre posłuchały i deptały po mnie; inne mniej były niehumanitarne; ale żadna nie ważyła się podać ręki, bym mogła wstać.

Podczas mej nieobecności zabrano z mojej celi klęcznik, portret fundatorki naszego klasztoru, obrazy święte, krucyfiksy; i został mi tylko ten, który nosiłam przy różańcu pozostawionym mi nie na długo.

Mieszkałam wtedy w czterech gołych ścianach, w pokoju bez drzwi, bez krzesła, stojąc lub leżąc na sienniku, pozbawiona najpotrzebniejszych naczyń, zmuszona wychodzić w nocy dla załatwienia naturalnych potrzeb i oskarżana rano o zakłócanie spoczynku w klasztorze, o to, że się szwędam i że zwariowałam. Ponieważ moja cela już się nie zamykała, mniszki wpadały w nocy, krzyczały, ciągnęły moje łóżko, wybijały mi szyby, straszyły mnie w przeróżny sposób. Hałas docierał do piętra nade mną i pode mną; i te, co nie należały do zmywy, mówiły, że w moim pokoju dzieją się niesamowite rzeczy: że słyszały ponure głosy, krzyki, szcęk łańcuchów; że rozmawiałam z upiorami i złymi duchami; że musiałam zawrzeć pakt z diabłem; i że należałoby unikać mego korytarza.

W zgromadzeniach zakonnych są zakute głowy; takich jest nawet większość: wierzyły one temu, co im mówiono, nie śmiały przejść koło moich drzwi, widziały mnie w swej rozstrojonej wyobraźni z błędnymi oczami, z ohydą twarzą, robiły znak krzyża przy spotkaniu ze mną i uciekały z krzykiem: „Szatanie, precz ode mnie! Boże! ratuj mnie!...”. Pewnego dnia jedna z najmłodszych mniszek znajdowała się w głębi korytarza, szłam w jej stronę, w żaden sposób nie mogła uniknąć zetknięcia się ze mną; ogarnął ją szalony strach. Z początku obróciła się twarzą do ściany, bełkocząc drżącym głosem: „Boże mój! Boże! Jezus Maria!...”. Zbliżyłam się tymczasem; a kiedy poczuła, że jestem tuż obok, zasłoniła twarz rękami, w obawie, że mnie zobaczy, rzuciła się w moją stronę, padła mi w objęcia i krzyknęła: „Ratunku! ratunku! litości! jestem zgubiona! Siostró Zuzanno, miej litość nade mną...”. Przy tych słowach runęła na wznak na płyty posadzki, półżywa. Mniszki przybiegły na jej krzyki, wyniosły ją.

Nie potrafię panu powiedzieć, jak ta przygoda została przeinaczona; zrobiono z niej zbrod-

niczą historię: powiedziano, że zawładnął mną demon nieczystości; wmówiono we mnie zamiary, czyny, których nie śmiem nazwać, i dziwaczne pragnienia, którym przypisano widocznie nieład ubrania, w jakim znaleziono młodą mniszkę. Nie jestem mężczyzną i doprawdy nie wiem, co można sobie wyobrazić na temat dwóch kobiet, a jeszcze mniej na temat jednej kobiety. Moje łóżko było bez zasłon, a one wchodziły do mego pokoju o każdej porze; cóż mogłabym panu jeszcze wyjawić? Pomimo całej swej zewnętrznej powściągliwości, skromności spojrzeń, przyzwoitości wyrażań, te kobiety muszą być mocno zepsute; w każdym razie wiedzą one, że popełnia się bezeceństwa będąc samą, ja zaś o tym nie wiem; toteż nigdy dobrze nie zrozumiałam, o co mnie oskarżają; one zaś wyrażały się w sposób tak niejasny, że nigdy nie wiedziałam, co im odpowiedzieć.

Nie skończyłabym, gdybym się chciała rozwodzić nad tym szczegółem prześladowań. Ach, panie, jeżeli pan ma dzieci, niech mój los panu wskaże, jaką przyszłość pan im gotuje zezwalając, by wstąpiły do klasztoru bez oznak powołania o niezwykłej mocy i stanowczości. Jak niesłusznie ludzie postępują w życiu. Pozwala się dziecku rozporządzać swą wolnością w wieku, kiedy mu nie wolno rozporządzać jednym talarem. Niech pan raczej swoją córkę zabije, niżby ją pan miał uwięzić w klasztorze wbrew jej woli; tak, niech ją pan zabije. Ileż razy pragnęłam, żeby moja matka była mnie udusiła przy urodzeniu – byłaby wtedy mniej okrutna. Czy da pan wiarę, że odebrano mi brewiarz i zabroniono się modlić? Oczywiście, nie usłuchałam tego rozkazu. Niestety, to była moja jedyna pociecha; wznosiłam ręce ku niebu, krzyczałam i ośmielałam się spodziewać, że krzyki te były słyszane przez jedyną istotę, która widziała całą moją niedolę. Podśluchiowano pod moimi drzwiami; i pewnego dnia, gdy zwracałam się do Boga w udręce mego zgnębnego serca i wzywałam Go na pomoc, powiedziano mi: „Wzywasz Boga nadaremno, nie ma już Boga dla ciebie; umrzyj w rozpacz i bądź potępiona...”. Inne dodały: „Niech taki los spotka odstępczynię! Amen.”

Ale oto pewien rys, który wyda się panu dziwniejszy od wszystkich innych. Nie wiem, czy to była złośliwość, czy fałszywe wyobrażenie; mimo że nie zrobiłam nic takiego, co świadczyłoby o zamroczeniu mego umysłu, a tym bardziej o opętaniu przez złego ducha, mniszki obradowały nad tym, czy nie należało mnie egzorcyzmować; i doszły do wniosku, większością głosów, że wyrzekłam się namaszczenia olejem świętym i chrztu, że diabeł siedzi we mnie i odpycha mnie od świętych obrządków. Jedna z nich dodała, że w czasie niektórych modlitw zgrzytałam zębami i że drżałam w kościele; że podczas podniesienia załamywałam ręce. Inna, że deptałam krucyfiks i że nie nosiłam już różańca (który mi skradziono); że wypowiadałam bluźnierstwa, których nie śmiem panu powtórzyć. Wszystkie twierdziły, że dzieje się we mnie coś, co nie jest normalne, i że trzeba o tym powiadomić wikariusza generalnego; co też uczyniono.

Wikariuszem generalnym był niejaki ksiądz Hébert, człowiek w poważnym wieku, doświadczony, szorstki, ale sprawiedliwy i świątły. Opowiedziano mu szczegółowo o niepokoju panującym w klasztorze; bez wątpienia niepokój był wielki i jeżeli ja byłam jego przyczyną, była to przyczyna bardzo niewinna.

Z pewnością domyśla się pan, że nie pominięto w posłanym wikariuszowi memoriale moich nocnych wędrówek po klasztorze, wypadków nieobecności w prezbiterium, zgiełku w mojej celi, tego, co jedna widziała, a co inna słyszała, mojej rzekomej odrazy do rzeczy świętych, moich bluźnierstw, plugawych czynów, które mi przypisywano; co do przygody z młodą mniszką, szelmy zrobiły z tego zdarzenia wszystko, co tylko chciały.

Oskarżenia były tak obciążające i tak liczne, że ksiądz Hébert, przy całym swym zdrowym rozsądku, nie mógł się powstrzymać, aby nie dać im częściowo wiary, i przypuszczał, że zawierały sporo prawdy. Sprawa wydała mu się na tyle poważna, że chciał zapoznać się z nią; kazał oznajmić swoją wizytę i rzeczywiście przybył w asyście dwóch młodych księży, przydzielonych mu do pomocy w jego uciążliwych funkcjach.

Na kilka dni przedtem usłyszałam w nocy, że ktoś cicho wszedł do mego pokoju. Nie ode-

zwałam się ani słówkiem, czekałam, aż przemówi; po chwili zawołano na mnie cichym drżącym głosem:

– Siostrzo Zuzanno, czy śpisz?

– Nie, nie śpię. Kto tam?

– To ja.

– Kto?

– Twoja przyjaciółka, ledwo żywa ze strachu, która naraża się na zgubę, byle dać ci radę, być może zbyt cichą. Posłuchaj: jutro lub pojutrze odwiedzi klasztor wikariusz generalny – będziesz oskarżona; przygotuj się do obrony. Do widzenia; odwagi, i niech Pan będzie z tobą...

To powiedziawszy oddaliła się z lekkością cienia. Widzi pan, są wszędzie, nawet w klasztorach, jakies współczujące dusze, którym nic nie potrafi odebrać wrażliwości na ludzką niedolę.

IX

Tymczasem śledzono mój proces z ogromnym przejęciem; mnóstwo osób wszelkiego stanu, płci, wszelkich kondycji, których nie znałam, zajęło się moim losem i wstawiło się za mną. Pan do nich należał – i być może, dzieje mojego procesu są panu lepiej znane niż mnie; pod koniec bowiem nie mogłam porozumiewać się osobiście z panem Manouri. Powiedziano mu, że jestem chora; domyślił się, że go oszukiwano; bał się, żeby mnie nie wrzucono do lochu. Zwrócił się do kurii arcybiskupiej, gdzie nie raczono go wysłuchać; kuria była już uprzedzona, że byłam wariatką lub czymś jeszcze gorszym. Pan Manouri podjął znowu starania u sędziów; nalegał na wykonanie nakazu, który urzędowo otrzymała przełożona, że ma mnie dostawić przed oblicze sędziów, żywą czy umarłą, zawsze gdy tego od niej zażądata. Sędziowie świeccy wzięli w obroty sędziów duchownych; ci uświadomili sobie następstwa, jakie ten wypadek mógł pociągnąć, jeżeli nie będą szli na rękę świeckim władzom sądowym, i to prawdopodobnie przyspieszyło wizytę wikariusza generalnego; bo ci pałaci, zmęczeni wiecznymi kłopotami, jakich przysparzają im klasztory, zazwyczaj nie chcą wtrącać się w te sprawy; wiedzą oni z doświadczenia, że ich autorytet jest zawsze lekceważony i narażony na szwank.

Skorzystałam z ostrzeżenia mojej przyjaciółki, aby wezwać boskiej pomocy, pokrzepić się na duchu i przygotować swoją obronę. Prosiłam Boga tylko o to szczęście, żeby przesłuchano mnie bezstronnie; uzyskałam je, ale zaraz się pan dowie, za jaką cenę. Jeżeli w moim interesie było stanąć przed sędzią jako istota niewinna i rozumna, to w takim samym stopniu zależało mojej przełożonej, aby widziano we mnie istotę złą, opętaną przez diabła, winną i zwariowaną. Toteż kiedy ja modliłam się ze zdwojoną żarliwością, moje otoczenie zdwoiło złośliwości w stosunku do mojej osoby: dawano mi tylko tyle pożywienia, żebym nie umarła z głodu; zameczano mnie umartwieniami; straszono mnie coraz więcej na różne sposoby; pozbawiano mnie całkowicie spoczynku nocnego; puszczano w ruch wszystko, co może zniszczyć zdrowie i zmącić umysł; było to wyrafinowane okrucieństwo, o jakim pan nie ma wyobrażenia.

Proszę zresztą osądzić z takiego faktu:

Pewnego dnia, gdy wychodziłam ze swej celi, żeby iść do kościoła czy gdzie indziej, zobaczyłam szczypczyki leżące na ziemi w poprzek korytarza; schyliłam się by je podnieść i

umieścić w taki sposób, żeby ta, co je zgubiła, znalazła je z łatwością; światło dzienne nie pozwoliło mi dojrzeć, że szczypczyki były prawie czerwone: chwyciłam je, lecz gdy rzuciłam z powrotem na ziemię, zeszła mi prawie cała skóra z wewnętrznej strony dłoni. W nocy umieszczano w miejscach, któredy miałam przejść, przeszkody bądź na poziomie mych nóg, bądź na wysokości głowy; skaleczyłam się ze sto razy; dziw, że się nie zabiłam. Nie miałam czym sobie świecić, byłam zmuszona iść drżąc, po omacku. Rozsypywano na mojej drodze tłuczone szkło. Zdecydowałam się, że opowiem o tym wszystkim, i prawie dotrzymałam słowa. Drzwi wygodki zastawałam zamknięte i byłam zmuszona schodzić z kilku pięter i biec w głąb ogrodu, gdy furka była otwarta – gdy nie była... Ach, panie, co to za złe stworzenia kobiety w klasztorze, kiedy są pewne, że sekunduja nienawiści swej przełożonej, i sądzą, że służą Bogu doprowadzając bliźniego do rozpaczki. Był najwyższy czas, żeby przybył archidiacon; był najwyższy czas, żeby mój proces się skończył.

Oto chwila najstraszliwsza w moim życiu, bo niech pan pomyśli, że absolutnie nie wiedziałam, w jakich barwach odmalowano mnie przed tym księdzem; nie wiedziałam również, czy przybywał on, żeby zobaczyć dziewczynę opętaną czy też taką, która symuluje opętanie. W klasztorze uznano, że jedynie przestrach może sprawić, że ukażę się w pożądanym przez mniszki stanie; i oto jak się zabrano do tego, aby mnie przerazić.

W dzień wizyty wikariusza generalnego, wczesnym rankiem przełożona weszła do mojej celi; towarzyszyły jej trzy siostry; jedna niosła kropielnicę, druga krucyfiks, trzecia sznury. Przełożona powiedziała do mnie twardo, z groźbą w głosie:

– Wstań!... Uklęknij i poleć duszę Bogu!...

– Wielebna matko – powiedziała jej – zanim wypełnię twój rozkaz, czy mogę zapytać, co się ze mną stanie, coś postanowiła o moim losie i o co mam prosić Boga?...

Zimny pot wystąpił mi na całym ciele, trzęsłam się; czułam, że nogi uginają się pode mną; z przerażeniem patrzyłam na jej trzy złowrogie towarzyszki; stały rzędem, twarze miały ponure, usta zaciśnięte i zamknięte oczy. Trwoga sprawiła, że każde słowo pytania, które zadawałam, padało osobno. Po milczeniu, jakie panowało, sądziłam, że nie usłyszano mnie; podjęłam ostatnie słowa tego pytania, gdyż nie miałam sił powtórzyć go w całości: wymówiłam więc gasnącym głosem:

– O jaką łaskę mam prosić Boga?...

Odpowiedziano mi:

– Proś Go o odpuszczenie ci grzechów całego twego życia; mów do Niego tak, jakbyś za chwilę miała stanąć przed Nim...

Na te słowa pomyślałam sobie, że one odbyły naradę i postanowiły pozbyć się mnie. Słyszałam, że czasem praktykowało się to w klasztorach pewnych mnichów: że sądzili, skazywali i zgładzali. Nie przypuszczałam, żeby ten nieludzki wymiar sprawiedliwości stosowano kiedykolwiek w jakimś żeńskim klasztorze; ale było tyle innych rzeczy, które mi nie przyszły do głowy, a które tam się działy. Na myśl o rychłej śmierci chciałam krzyczeć; ale z moich otwartych ust nie dobywał się żaden dźwięk; wyciągnęłam ku przełożonej błagalne ramiona i czułam, że moje mdlejące ciało osuwało się ku tyłowi; runęłam, ale mój upadek był miękki. W chwilach trwogi, gdy siły opuszczają człowieka – członki uginają się powoli, osuwają się, że tak powiem, jedno na drugie; ciało nie mogąc utrzymać równowagi jakby świadomie łagodzi siłę upadku. Straciłam przytomność i czucie, słyszałam tylko dokoła siebie szum niewyraźnych, odległych głosów; nie wiem, czy przełożona rozmawiała z zakonnicami, czy dzwoniło mi w uszach, docierało do mnie nieustanne dzwonienie. Nie wiem, jak długo byłam w tym stanie; wyrwało mnie z niego uczucie nagłego chłodu, które wywołało lekki skurcz i do było ze mnie głębokie westchnienie. Byłam przemoczona; woda ściekała z mego ubrania na podłogę; wylano ją na mnie z dużej kropielnicy. Leżałam na boku w tej wodzie z głową opartą o ścianę, z ustami rozchylonymi, oczy miałam na wpół martwe i zamknięte; usiłowałam je otworzyć i patrzeć; ale wydawało mi się, że otacza mnie gęsta mgła, poprzez którą

dostrzegałam tylko powiewne szaty; chciałam się ich ucześcić, ale nie mogłam. Robiłam wysiłki tym ramieniem, na którym się nie opierałam; chciałam je unieść, ale zbyt mi ciężko; wielkie osłabienie, jakie mnie ogarnęło, zaczęło stopniowo ustępować, dźwignęłam się i oparłam plecami o ścianę; miałam obie ręce w wodzie, głowę zwieszoną na piersi; jęczałam bez słów głosem przerywanym i żalnym. Te kobiety patrzyły na mnie wzrokiem wyrażającym konieczność poddania się ich woli, nieugięte postanowienie, które odbierało mi odwagę błagania ich o cokolwiek. Przełożona powiedziała:

– Postawcie ją na nogi... – Wzięto mnie pod pachy i podniesiono z ziemi. Dodała: – Skoro nie chce polecić się Bogu, tym gorzej dla niej; wiecie, co macie robić, kończcie...

Pomyślałam sobie, że te sznury, które przyniesiono, przeznaczone były na to, żeby mnie udusić, patrzyłam na nie i oczy napędliały mi się łzami. Poprosiłam o krucyfiks do pocałowania, odmówiono mi. Poprosiłam o sznury, żeby je pocałować, podano mi je. Nachyliłam się, wzięłam szkaplerz przełożonej i pocałowałam go:

– Mój Boże, zmiłuj się nade mną! Mój Boże, zmiłuj się nade mną! Drogie siostry, postarajcie się, żeby mnie to bardzo nie bolało...

I podstawiłam szyję. Nie potrafię panu powiedzieć, ani co się ze mną stało, ani co mi zrobiono; jest pewne, że ci, co są prowadzeni na stracenie, a za taką się uważałam, umierają przed dokonaniem egzekucji. Znalazłam się na sienniku, który mi służył za łóżko, z ramionami skrępowanymi na plecach, w postawie siedzącej, z wielkim żelaznym Chrystusem na kolanach... Panie markizie, zdaję sobie sprawę, jaką przykrość panu sprawiam tą opowieścią, ale pan chciał wiedzieć, czy zasługuję trochę na współczucie, którego od pana oczekuję.

Wtedy to odczułam wyższość religii chrześcijańskiej nad wszystkimi religiami świata; jaka głęboka mądrość jest w tym, co ślepa filozofia nazywa Szaleństwem Krzyża. W tym stanie, w jakim się znajdowałam, co by mi przyszło z wizerunku prawodawcy szczęśliwego i okrytego chwałą? Widziałam niewinnego z przebitym bokiem, z koroną cierniową na czole, ręce i nogi miał przebite gwoździemi i konał w męce; i mówiłam sobie: „Oto mój Bóg, i ja śmiem się skarżyć...”. Uchwyciłam się tej myśli i czułam, że pociecha rodzi się na nowo w moim sercu, poznałam marność życia i uważałam za szczęście stracić je, zanim zdążę pomnożyć swe winy. Jednakże liczyłam swoje lata: uświadomiłam sobie, że miałam ich zaledwie dwadzieścia, i wdychałam; byłam zbyt osłabiona, zbyt przybita, aby mój umysł mógł się wznieść ponad strach przed śmiercią; w pełni zdrowia, sądzę, mogłabym się z nią pogodzić z większą odwagą. Tymczasem przełożona powróciła wraz ze swoją asystą – stwierdziły, że przytomność umysłu nie opuściła mnie na tyle, jak się tego spodziewały i pragnęły. Postawiły mnie na nogi; umocowały mi welon i zasłoniły mi twarz; dwie wzięły mnie pod pachy, trzecia popychała mnie z tyłu, przełożona zaś kazała mi iść. Szłam nie wiedząc, dokąd idę, ale myśląc, że idę na kaźń, i mówiłam: „Mój Boże, zmiłuj się nade mną. Mój Boże, podtrzymaj mnie. Mój Boże, nie opuszczaj mnie. Mój Boże, przebacz mi, jeśli Cię obraziłam.”

Przyszłam do kościoła. Wikariusz generalny skończył odprawiać mszę. Całe zgromadzenie zakonne było obecne. Zapomniałam panu powiedzieć, że gdy znalazłam się przy drzwiach, te trzy mniszki, które mnie wiodły, przysunęły się bliżej i zaczęły mnie silnie popychać, udawały, że szamocą się ze mną; jedne ciągnęły mnie za ręce, drugie przytrzymywały z tyłu, jak gdybym się opierała i odczuwała wstręt na myśl o wejściu do kościoła – a nic podobnego nie było. Zaprowadzono mnie przed ołtarz; z trudem trzymałam się na nogach; pociągnięto mnie, ażebym uklękła, tak jakbym się opierała; trzymano mnie, tak jakbym zamierzała uciec. Zaśpiewano *Veni Creator*; wystawiono Najświętszy Sakrament; wikariusz generalny udzielił błogosławieństwa. W chwili błogosławieństwa, gdy pochylamy się na znak czci, te, co trzymały mnie za ręce, zgięły mnie jakby przemocą, a inne naciskały mi barki. Czułam to, co robiły, ale nie mogłam odgadnąć w jakim celu. Wreszcie wszystko się wyjaśniło.

Po błogosławieństwie archidiakon zdjął ornat, nałożył na siebie tylko albę i stułę i zbliżył się do stopni ołtarza, gdzie klęczałam; po bokach miał dwóch młodych księży, był obrócony

tyłem do ołtarza, na którym wystawiono Najświętszy Sakrament, a twarzą w moją stronę. Podszedł do mnie i powiedział:

– Siostrzo Zuzanno, wstań...

Siostry, które mnie trzymały, podniosły mnie brutalnie; inne otaczały mnie i trzymały w pół jak gdyby z obawy, żebym się nie wymknęła. Dodał:

– Niech ją rozwiążą...

Nie posłuchały go, udawały, że pozostawienie mi swobody ruchów jest niewłaściwe, a nawet niebezpieczne; ale powiedziałam panu, że to był człowiek szorstki: powtórzył stanowczo i twardo:

– Niech ją rozwiążą...

Posłuchały.

Jak tylko uwolniono mi ręce, jęknęłam tak boleśnie i przejmująco, że prałat zbladł, a otaczające mnie obłudne mniszki odskoczyły, niby to przerażone. Archidiakon opanował się, siostry powróciły udając przestraszonych; ja trzymałam nieruchoma; zapytał mnie:

– Co ci jest?... – Za całą odpowiedź pokazałam mu swoje ramiona; sznur, którym je skrupowano, wżarł się w ciało; było fioletowe od krwi już nie krążącej w ściśniętych naczyniach. Ksiądz zrozumiał, że mój jęk został wywołany nagłym bólem, gdy krew wznawiała swój obieg. Powiedział:

– Zdjąć jej welon!...

Zeszyto go przedtem w różnych miejscach, czego nie zauważyłam; i spowodowano tym dużo kłopotu i szarpaniny tylko dlatego, że się o to zatroszczono: mniszki życzyły sobie, by ten kapłan widział we mnie opętaną przez diabła lub wariatkę; tymczasem, przy tym szarpaniu, w kilku miejscach pękły nici, mój welon i suknie rozdarły się w innych miejscach, i wreszcie archidiakon mnie zobaczył.

Mam twarz interesującą; głęboki ból zmienił ją na niekorzyść, ale nic nie odjął z jej charakteru; mam głos, który wzrusza; czuje się, że w moich słowach wyraża się prawda. Wszystkie te cechy wywołały głęboką litość w młodych akolitach¹⁴ archidiakona; on sam nie znał tych uczuć; sprawiedliwy, ale prawie zupełnie pozbawiony wrażliwości, należał do ludzi dość niefortunnie zrodzonych, którzy uprawiają cnoty nie odczuwając ich słodyczy; ludzie ci czynią dobro z poczucia ładu, tak jak rozumują. Archidiakon ujął koniec stuły i kładąc mi go na głowę rzekł:

– Siostrzo Zuzanno, czy wierzysz w Boga-ojca, Syna Bożego i w Ducha Świętego?

Odpowiedziałam:

– Wierzę.

– Czy wierzysz w naszą matkę, kościół święty?

– Wierzę.

– Wyrzekasz się szatana i spraw jego?

Zamiast odpowiedzi rzuciłam się nagle naprzód, krzyknęłam przeraźliwie i koniec stuły archidiakona zsunął się z mojej głowy.

Archidiakon zmieszał się, jego towarzysze pobledli; spośród sióstr jedne uciekły, inne siedzące w stallach opuściły je w wielkim popłochu. Archidiakon uczynił znak, aby zapanował spokój; jednak patrzył na mnie – oczekiwał czegoś nadzwyczajnego. Rozproszyłam jego obawy mówiąc:

– Proszę księdza, to nic, to jedna z tych zakonnice ukłuła mnie mocno czymś bardzo ostrym. – I wznosząc ku niebu oczy i ręce dodałam zalewając się łzami: – Skaleczono mnie w chwili, kiedy ksiądz mnie pytał, czy wyrzekam się szatana i jego królestwa, i widzę dobrze, dlaczego to zrobiono...

Wszystkie mniszki zaprotestowały ustami przełożonej, że nikt mnie nie dotknął. Archidiakon położył mi z powrotem koniec stuły na głowie; zakonnice chciały się zbliżyć; ale dał im

¹⁴ Akolita – duchowny niższego stopnia.

znak, żeby się oddaliły, i ponownie zapytał mnie, czy wyrzekam się szatana i spraw jego; odpowiedziałam mu z mocą:

– Wyrzekam się, wyrzekam się...

Kazał sobie przynieść krucyfiks i podał mi go do pocałowania; ucałowałam stopy Chrystusa, Jego ręce i ranę w boku. Rozkazał mi wyrazić mu cześć na głos; położyłam krucyfiks na ziemi i powiedziałam na klęczkach:

– Boże, Zbawicielu mój, któryś umarł na krzyżu za moje grzechy i za wszystkie grzechy rodzaju ludzkiego, wielbię Ciebie; daj mi korzystać z zasługi mąk, które zniosłeś; niech spłynie na mnie jedna kropla krwi przez Ciebie przelanej, abym była oczyszczona. Przebacz mi, Boże, jak ja przebaczam wszystkim moim nieprzyjaciołom...

Potem powiedział mi:

– Uczyń akt wiary...

I uczyniłam go.

– Uczyń akt miłości...

I uczyniłam go.

– Uczyń akt nadziei...

I uczyniłam go. Nie przypominam sobie, w jakich słowach wypowiedziałam te akty; ale myślę, że widocznie były to słowa patetyczne, gdyż z piersi kilku mniszek wyrwało się łkanie, dwaj młodzi księża mieli łzy w oczach, a zdziwiony archidiakon zapytał mnie, skąd wzięłam modlitwy, które przed chwilą wygłosiłam z pamięci. Powiedziałam mu:

– Z głębi mego serca, to są moje myśli i moje uczucia. Świadczę się na to Bogiem, który nas słucha wszędzie i jest obecny na tym ołtarzu. Jestem chrześcijanką, jestem niewinna; jeśli popełniłam jakieś winy, Bogu tylko są one wiadome i tylko On jest mocen żądać ode mnie zdania z nich rachunku i karać je...

Na te słowa archidiakon rzucił groźne spojrzenie na przełożoną.

Reszta tej ceremonii, podczas której majestat Boga został znieważony, najświętsze rzeczy sprofanowane, a sługa kościoła wyszydzony, dobiegła końca; zakonnice wyszły – z wyjątkiem przełożonej i mnie; zostali też młodzi księża.

Archidiakon usiadł i wyciągając z kieszeni memoriał, który mu przeciw mnie przedstawił, odczytał go na głos i zadawał mi pytania co do zawartych w nim punktów.

– Czemu – powiedział mi – nie spowiadasz się?

– Bo mi nie dają się spowiadać.

– Czemu nie przystępujesz do sakramentów?

– Bo mi nie dają przystępować.

– Czemu nie bywasz na mszy ani na innych nabożeństwach?

– Bo mi nie dają bywać.

Przełożona chciała zabrać głos; powiedział jej ostrym tonem:

– Proszę milczeć...

– Dlaczego wychodzisz w nocy ze swej celi?

– Bo pozbawiono mnie wody, dzbanka na wodę i wszystkich naczyń koniecznych do ułatwiania naturalnych potrzeb.

– Dlaczego w nocy słyhać hałas w twojej sypialni i w twojej celi?

– Bo starają się pozbawić mnie spoczynku.

Przełożona znowu chciała zabrać głos; powiedział jej powtórnie:

– Mówiłem już, że wielbna matka ma milczeć; wielbna matka odpowie wtedy, gdy zapytam.

– Co to za historia z zakonnicą, którą wyrwano z twoich rąk i znaleziono przewróconą na ziemi w korytarzu?

– To był skutek strachu przede mną, jaki w nią wpojono.

– Czy to twoja przyjaciółka?

- Nie, proszę księdza.
- Czyś nigdy nie wchodziła do jej celi?
- Nigdy.
- Czyś nigdy nie robiła z nią nic nieskromnego, bądź z nią, bądź z innymi?
- Nigdy.
- Dlaczego cię związano?
- Nie wiem tego.
- Dlaczego twoja cela się nie zamyka?
- Bo wyłamałam we drzwiach zamek.
- Dlaczego to zrobiłaś?
- Żeby otworzyć drzwi i być obecną na nabożeństwie w dzień Wniebowstąpienia.
- Więc tego dnia pokazałaś się w kościele?
- Tak, proszę księdza...

Przełożona powiedziała:

- Księżę archidiakonie, to nieprawda: całe zgromadzenie...

Przerwałam jej:

– ...zaświadczy, że drzwi do prezbiterium były zamknięte, że zakonnice zastały mnie leżącą pod tymi drzwiami i że ty, wielbna matko, kazałaś stąpać po mnie, co niektóre uczyniły; ale przebaczam im i tobie, wielbna matko, żeś wydała taki rozkaz, nie przyszłam, żeby kogokolwiek oskarżać, lecz żeby się bronić.

- Dlaczego nie masz ani różańca, ani krucyfiks?
- Zabrano mi jedno i drugie.
- Gdzie jest twój brewiarz?
- Zabrano mi go.
- Więc jak się modlisz?
- Modłę się z serca i z głowy, choć zabroniono mi się modlić.
- Któż ci tego zabronił?
- Matka przełożona...

Przełożona chciała znów mówić.

– Wielbna matko – powiedział archidiakon – prawda li to czy potwarz, żeś jej zabroniła modlić się? Proszę, powiedz, tak czy nie.

- Sądziłam i miałam podstawę tak sądzić...
- Nie o to idzie; czyś jej zabroniła modlić się, tak czy nie?
- Zabroniłam jej, ale... – chciała mówić dalej.
- ...ale – podjął archidiakon – ale, siostrzo Zuzanno, dlaczego jesteś bosa?
- Bo nie dają mi ani pończoch, ani trzewików.
- Dlaczego twoja bielizna i twoje ubranie są takie znoszone i brudne?
- Bo od trzech z górą miesięcy odmawiają mi bielizny, i jestem zmuszona spać w ubraniu.
- Dlaczego śpisz w ubraniu?
- Bo nie mam ani zasłon, ani materaca, ani kołdry, ani prześcieradła, ani nocnej bielizny.
- Dlaczego tego wszystkiego nie masz?
- Bo mi to zabrano.
- Dają ci pożywienie?
- Domagam się, aby mi je dawano.
- A więc nie dają ci go?

Umilkłam, a on dorzucił:

– Jest nie do wiary, aby postępowano z tobą tak surowo, jeżeli nie popełniłaś jakiejś winy, która by na taką karę zasłużyła.

– Moja wina polega na tym, że zgoła nie jestem powołana do stanu zakonnego i wystąpiłam przeciw ślubom, których nie złożyłam z wolnej woli.

- Jest rzeczą prawa rozstrzygnąć tę sprawę; i bez względu na to, jak się prawo wypowie, trzeba, żebyś tymczasem wypełniała obowiązki życia zakonnego.
 - Nikt, proszę księdza, nie wypełnia ich skrupulatniej ode mnie.
 - Trzeba, żebyś miała takie same warunki jak wszystkie twoje towarzyski.
 - Tego tylko się domagam.
 - Czy na nikogo nie masz powodu się skarżyć?
 - Nie, proszę księdza, powiedziałam już: nie przyszłam, żeby oskarżać, lecz żeby się bronić.
 - Możesz odejść.
 - Dokąd mam iść, proszę księdza?
 - Do swej celi.
- Zrobiłam kilka kroków, potem wróciłam i padłam do nóg przełożonej i archidiakonowi.
- O co chodzi? – zapytał mnie.
- Powiedziałam, pokazując mu w kilku miejscach ślady od uderzeń na mojej głowie, pokrwawione stopy, sine i wychudłe ramiona, brudne i podarte ubranie:
- Widzi ksiądz!

X

Słyszę pana głos, panie markizie, i większość tych, którzy będą czytali ten pamiętnik: „Okropności tak mnogie, tak różnorodne, tak nieustanne... Tyle okrucieństwa tak wyszukanego w duszach religijnych. To nieprawdopodobne” – powiedzą oni – i pan tak powie. I przyznają słusność takiemu wrażeniu; ale to jest prawda i niechaj niebo, którym się świadczę, osądzi mnie z całą swą surowością i skaże na ogień wiekuisty, jeśli pozwoliłam oszczerstwu rzucić najłżejszy cień na jeden choćby wiersz. Aczkolwiek przez długi czas doświadczyłam na sobie, jak dalece odraza, jaką czuła do mnie przełożona, była gwałtownym bodźcem dla jej wrodzonej przewrotności, zwłaszcza gdy mogła poczytywać sobie za zasługę swe zbrodnie, być z nich rada i chlubić się nimi – uraza nie przeszkodzi mi bynajmniej w wydaniu sprawiedliwego sądu. Im więcej się nad tym zastanawiam, tym bardziej nabieram przekonania, że to, co mnie spotyka, nigdy się jeszcze nie zdarzyło i być może nigdy się już nie zdarzy. Raz jeden (i dałby Bóg, aby to był pierwszy i ostatni!) spodobało się Opatrzności, której drogi są nam nieznane, skupić na jednej nieszczęsnej istocie całą masę okrucieństw, rozłożonych mocą nieprzeniknionych boskich wyroków na nieskończone mnóstwo nieszczęśliwych dziewcząt, które ją poprzedziły w klasztorze i miały zająć jej miejsce. Cierpiałam, bardzo cierpiałam, ale los moich prześladowczyń wydaje mi się – i zawsze mi się wydawał – bardziej godny politowania niż mój. Wolałabym teraz i wolałabym była umrzeć niż porzucić moją rolę pod warunkiem objęcia ich roli. Moje udreki skończą się, pańska dobroć pozwala mi się tego spodziewać – im zaś pamięć, wstyd i wyrzuty sumienia po zbrodni pozostaną aż do śmierci. One już się oskarżają, niech pan o tym nie wątpi, będą siebie oskarżały całe życie i lęk zejdzie wraz z nimi do grobu.

Jednakże, panie markizie, moje obecne położenie jest opłakane; życie mi ciąży, jestem kobietą, umysł mam słaby jak istoty mojej płci; Bóg może mnie opuścić; nie czuję w sobie sił ani odwagi, by znosić jeszcze długo to, co znosiłam. Panie markizie, niech pan się lęka, aby

nie powróciła fatalna chwila, nawet gdyby pan wyplakał sobie oczy nad moim losem, gdyby pana szarpały wyrzuty sumienia, ja przez to nie wyjdę już z przepaści, w którą wpadnę; zamknij się ona na zawsze nad desperatką.

– Możesz odejść – powiedział mi archidiakon. Jeden z księży podał mi rękę, żeby mnie podnieść; a archidiakon dorzucił: – Przesłuchałem ciebie, teraz przesłucham twoją przełożoną... i nie wyjdę stąd, póki porządek nie będzie przywrócony...

Oddaliłam się. Cały klasztor był zaalarmowany; wszystkie mniszki stały na progu swych cel; rozmawiały ze sobą poprzez korytarz; skoro tylko się zjawiłam, cofnęły się i rozległ się hałas zatrząskiwanych gwałtownie, jedno po drugim, drzwi. Weszłam do swej celi; uklęknęłam przy ścianie i prosiłam Boga, aby miał wzgląd na umiar, z jakim rozmawiałam z archidiakonem, i dał mu poznać moją niewinność i prawdę.

Modliłam się, gdy archidiakon, jego dwaj towarzysze i przełożona weszli do mojej celi. Mówiłam panu, że nie miałam tam tapet, krzesła, klęcznika, zasłon przy łóżku, materaca, kołdry, prześcieradła, żadnego naczynia, mieszkałam w gołych ścianach, z drzwiami, które się nie zamykały, prawie bez szyb w oknach. Wstałam. Archidiakon stanął jak wryty i zwracając wzrok pełen oburzenia na przełożoną, rzekł do niej:

– Więc to tak, wielbna matko?

Odpowiedziała:

– Nie wiedziałam o tym.

– Nie wiedziałaś, wielbna matko? Kłamiesz! Czy był bodaj jeden dzień, żebyś tu nie wchodziła, czyż nie stąd przyszałaś, kiedy cię wezwałem?... Siostrze Zuzanno, mów: czy matka przełożona nie wchodziła tu dzisiaj?

Nie odpowiedziałam ani słowa, nie nalegał; ale młodzi księża stojący z opuszczonymi rękami, z pochyloną głową i oczami jakby wlepionymi w ziemię dostatecznie zdradzili swe przykre zdumienie.

Wszyscy wyszli i usłyszałam, jak archidiakon mówił do przełożonej w korytarzu: „Wielbna matka jest niegodna swego urzędu; należałoby wielbna matkę usunąć, złożę w tej sprawie skargę do biskupa. Żeby mi cały ten nieporządek był usunięty, zanim stąd wyjdę...”.

Idąc dalej dodał potrząsając głową:

– To jest okropne! Chrześcijanki! zakonnice, istoty ludzkie! to jest okropne!

Od owej chwili o niczym już nie słyszałam; ale miałam bieliznę, ubranie, zasłony przy łóżku, pościel, naczynia, swój brewiarz, swe książki nabożne, różaniec, krucyfiks, szyby, słowem wszystko, co mi przywracało zwykłe warunki życia w zakonie; pozwolono mi również nadal korzystać z rozmównicy, ale tylko w mojej sprawie.

Wyglądała ona niedobrze. Pan Manouri ogłosił pierwszy swój memoriał, który nie zrobił wielkiego wrażenia; za dużo w nim było błyskotliwości, nie dość momentów wzruszających, żadnej motywacji. Nie należy tu zwać całej winy na tego zdolnego adwokata. Absolutnie nie chciałam, aby atakował dobre imię moich rodziców; chciałam, aby oszczędzał stan zakonny, a zwłaszcza klasztor, w którym byłam; nie chciałam, aby malował w zbyt odrażających barwach moich szwagrów i siostry. Miałam na swoją korzyść tylko pierwszy sprzeciw, prawda, że uroczysty, ale wniesiony w innym klasztorze i od tego czasu bynajmniej nie powiany.

Gdy się tak dalece ogranicza swą obronę, a ma się do czynienia ze stroną, która niczym się nie krępuje w swym ataku, która depce to, co słuszne i co niesłuszne, która coś twierdzi; i zaprzecza temu z tą samą bezczelnością i nie cofa się ani przed posądzeniem, ani przed podejrzeniami, ani przed obmową, ani przed oszczerstwem – trudno jest mieć przewagę, zwłaszcza w sądach, gdzie rutyna i znudzenie natłokiem spraw nie pozwalają, aby nawet najpoważniejsze z nich rozpatrywano ze skrupulatnością. Poza tym na spory takiej natury, jak mój, patrzy tam zawsze nieprzychylnym okiem przezorny sędzia, który obawia się, żeby w razie sukcesu

zakonnicy protestującej przeciwko swoim ślubom nie podjęło tych samych kroków mnóstwo innych mniszek. Wyczuwa się w skrytości ducha, iż gdyby pozwolono bramom tych więzień otworzyć się na rzecz jednej nieszczęsnicy, cały tłum mniszek rzuciłby się usiłując je wyłamać.

W sądach starają się zniechęcić nas do tych wysiłków i sprawić, abyśmy pogodziły się z losem straciwszy nadzieję na jego zmianę. Jednakże wydaje mi się, że w dobrze urządzonym państwie powinno być odwrotnie: należałoby utrudniać wstępowanie do klasztoru, a ułatwiać wyjście z niego. I dlaczego nie zaliczyć tej sprawy do tylu innych, gdzie najmniejsze uchylenie formalnościom obraca w niwecz procedurę nawet skądinąd słuszną? Czyż więc klasztor jest rzeczą tak istotną w układzie państwa? Czy Jezus Chrystus ustanowił zakonników i zakonnice? Czy kościół absolutnie nie może się bez nich obejść? Na co potrzeba boskiemu oblubieńcowi tylu zbuntowanych dziewczyc, a rodzajowi ludzkiemu tylu ofiar? Czyż nie zrozumie się nigdy konieczności zwięzienia otworu wiodącego do tych przepaści, gdzie przyszłe pokolenia oczekuje zguba? Czy wszystkie te bezduszne modlitwy tam odmawiane warte są grosza, który współczucie daje biednemu? Czy Bóg, który stworzył człowieka istotą towarzyską, pochwała to, żeby zamykał się on w odosobnieniu? Czyż Bóg, który go stworzył tak zmiennym, tak ułomnym, może uznać jego lekkomyślne śluby? Czyż ktokolwiek może ściśle wypełniać te śluby – tak sprzeczne z naturalnymi skłonnościami ogółu, poza pewnymi istotami upośledzonymi, w których zarodki uczuć, zwiędły i które słuszenie można byłoby zaliczyć do potworów, gdyby nasza wiedza pozwalała nam poznać równie łatwo i równie dobrze wewnętrzną strukturę człowieka, jak jego kształt zewnętrzny?

Czyż wszystkie te ponure ceremonie, które się widzi przy obłóczynach i składaniu ślubów gdy mężczyznę lub kobietę skazuje się na życie zakonne i nieszczęście, wstrzymują funkcje biologiczne? Czy przeciwnie, nie budzą się one w ciszy, skrępowaniu i próżniactwie z siłą nieznaną ludziom żyjącym w świecie, którzy pochłonięci są mnóstwem rozrywek? Gdzie się widuje głowy opętane przez wizje nieczyste, które je prześladowają i niepokoją? Gdzie widuje się tę głęboką apatię, tę bladeść, tę chudość – te wszystkie objawy świadczące, że natura tęskni i wyczerpuje się w daremnym pożądaniu? Gdzie jęki zakłócają noce, dnie są skąpane we łzach wylanych bez widomej przyczyny i poprzedzane melancholią, którą nie wiadomo czemu należy przypisać? Gdzie natura zbuntowana przeciw przymusowi, do którego zgoła nie jest stworzona, łamie stawiane jej przeszkody, wpada w szal, wtrąca życie organiczne w zamęt, na który nie ma już lekarstwa? Gdzie smutek i przygnębienie unicestwiły wszystkie zalety społeczne? Gdzie jest tak, że nie ma ani ojca, ani brata, ani siostry, ani krewnego, ani przyjaciela? Gdzie człowiek, uważając się tylko za istotę przemijającą, traktuje najsłodsze związki na tym świecie, jak wędrowiec napotykaną przedmiot, nie przywiązując się do nich? Gdzie jest siedlisko nienawiści, odrazy i ataków nerwowych? Gdzie się gnieździ niewola i despotyzm? Gdzie są nienawiści nigdy nie wygasające? Gdzie są namiętności dojrzewające w ukryciu? Gdzie mieszka okrucieństwo i ciekawość cierpień bliźniego?...

Nieznane są dzieje tych zakładów, mówił następnie pan Manouri w swej mowie obrończej, nieznane są one.

W innym miejscu dodał: „Złożyć ślub ubóstwa – to zobowiązać się pod przysięgą, że się będzie leniem i złodziejem; złożyć ślub czystości – to przyrzec Bogu, że będzie się stale gwałcić najmądrzejsze i najważniejsze z boskich praw; złożyć ślub posłuszeństwa – to wyrzec się przywileju człowieka, którego sprzedawać nie wolno: wolności. Jeżeli się przestrzega tych ślubów, jest się przestępcą; jeżeli się ich nie przestrzega, jest się krzywoprzysięcą. Życie klasztorne – to życie fanatyka lub obłudnika.”

Pewna dziewczyna prosiła rodziców o pozwolenie wstąpienia do naszego grona. Ojciec powiedział jej, że się zgadza, ale daje jej trzy lata do namysłu. Ten warunek wydał się ciężki młodej osobie pełnej żarliwości; jednakże musiała się nań zgodzić. Ponieważ po upływie tego czasu czuła nadal powołanie, zwróciła się do ojca i powiedziała mu, że trzy lata już minęły.

„To dobrze, moje dziecko – odpowiedział – dałem ci trzy lata, byś siebie wypróbowała; mam nadzieję, że zechcesz dać mi tyleż czasu, bym powziął decyzję...”. To wydało się jej jeszcze cięższe i były z tego powodu łzy; ale ojciec był człowiekiem stanowczym i nie ustąpił.

Po upływie tych sześciu lat dziewczyna wstąpiła do klasztoru, złożyła śluby. To była dobra zakonnica, prosta, nabożna, wypełniająca dokładnie wszystkie swoje obowiązki. Ale zdarzyło się, że spowiednicy nadużyli jej szczerości, aby dowiedzieć się w czasie spowiedzi, co się dzieje w klasztorze. Przełożona domyśliła się tego; dziewczyna została zamknięta w celi i pozbawiona praktyk religijnych; to doprowadziło ją do pomieszenia zmysłów – i jakżeby mogła ona wytrzymać prześladowanie pięćdziesięciu osób zajętych od świtu do nocy znęcaniem się nad nią! Poprzednio zastawiono na jej matkę sidła, które świadczą dobitnie o chciwości klasztorów. Wzbudzone w matce tej samotnicy pragnienie przybycia do klasztoru i zwiedzenia celi swej córki. Zwróciła się więc do wikariuszy generalnych i uzyskała pozwolenie, o które prosiła. Przybyła i co prędzej udała się do celi swego dziecka; ale jakież było jej zdziwienie, gdy ujrzała tam tylko cztery gołe ściany. Zabrano z celi wszystko. Nikt nie wątpił, że ta czuła i wrażliwa matka nie zostawi córki w tym stanie; istotnie, sprawiła jej nowe meble, nowe ubranie i bieliznę; zarazem oświadczyła zakonnicom, że ta ciekawość za drogo ją kosztowała, że nie zdecyduje się na ponowne odwiedzenie córki i że trzy albo cztery wizyty, jak ta, w ciągu roku zrujnowałyby rodzeństwo zakonnic... Właśnie tam, w klasztorze, przez ambicję i żądzę zbytku poświęca się jednego członka rodziny, aby stworzyć tym, co pozostają w świecie, świetniejszy los. Klasztor – to śmietnisko, gdzie wyrzuca się odpadki społeczeństwa. Ileż matek, podobnie jak moja, chce odpokutować swój tajony występki nowym występkiem.

Pan Manouri ogłosił drugi memoriał, który zrobił nieco większe wrażenie. Wszczęto usilne starania w mojej sprawie; raz jeszcze zaproponowałam moim siostram, że pozostawię w ich całkowitym i nienaruszalnym posiadaniu spadek po rodzicach. Był moment, że mój proces przyjął obrót bardzo pomyślny i że spodziewałam się wyzwolenia; tym okrutniejszy spotkał mnie zawód: trybunał rozpatrzył moją sprawę i – przegrałam ją.

Całe zgromadzenie klasztorne zostało o tym powiadomione, ja zaś o niczym nie wiedziałam. Wszczął się ruch, hałas, zapanowała radość – zakonnicie szeptały w sekrecie między sobą, biegały do przełożonej i odwiedzały się wzajemnie. Drżałam cała, nie mogłam usiedzieć w celi ani z niej wyjść. Ani jednej przyjaciółki, by móc się rzucić w jej ramiona. Och, co to za okrutny dzień, gdy się rozstrzyga wielki proces. Chciałam się modlić: nie mogłam; padłam na kolana, skupiałam się, rozpoczynałam jakąś modlitwę, lecz niebawem mimo woli przenosiłam się myślą na salę sądową, widziałam moich sędziów, słyszałam adwokatów, zwracałam się do nich, przerywałam mojemu obrońcy, uważałam, że moja sprawa źle jest broniona. Nie znałam żadnego sędziego, jednakże wyobrażałam ich sobie rozmaicie: jedni byli przychylni, drudzy złowrodzy, jeszcze inni obojętni – byłam niespokojna, pogrążona w zamęcie myśli nie do opisanego.

Hałas ustąpił miejsca głębokiej ciszy, mniszki nie rozmawiały już ze sobą; wydało mi się, że w prezbiterium miały głos czystszy niż zazwyczaj, przynajmniej te, które śpiewały; inne nie śpiewały wcale; po nabożeństwie wyszły w milczeniu. Tłumaczyłam sobie, że oczekiwanie niepokoiło je tyle co mnie: ale po południu znowu rozległ się nagle hałas i bieganina ze wszystkich stron; usłyszałam odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, kręcenie się mniszek po korytarzach, szmer cichych rozmów. Przyłożyłam ucho do zamka we drzwiach, ale wydało mi się, że przechodzące koło nich osoby milkną i chodzą na palcach. Przeczulałam, że przegrałam swój proces; nie wątpiłam o tym ani przez chwilę. Zaczęłam krążyć po swej celi bez słowa: dusiłam się, nie byłam zdolna wydać jęku, chwytałam się za głowę, opierałam czoło to o jedną ścianę, to o drugą; chciałam poleżeć na łóżku, ale przeszkadzało mi bicie serca; istotnie słyszałam, jak biło mi serce, i czułam, jak podnosi mi suknię na piersiach.

Byłam w takim stanie, gdy zawiadomiono mnie, że ktoś chce się ze mną widzieć. Zesłam

na dół nie śmiejąc iść dalej. Ta, która zawiadomiła mnie o wizycie, była taka wesoła, że pomyślałam, iż przyniesiona mi wiadomość może być dla mnie tylko bardzo smutna – poszłam jednak dalej. Po dojściu do drzwi rozmównicy zatrzymałam się i wtuliłam w załom między dwiema ścianami, nie mogłam się utrzymać na nogach: jednakże weszłam. W rozmównicy nie było nikogo, czekałam; temu, kto mnie wezwał, nie pozwolono zjawić się przed moim przybyciem; domyślano się oczywiście, że to był wysłaniec mojego adwokata; chciano wiedzieć, co zajdzie między nami; zgromadzono się, żeby słuchać. Gdy wszedł, siedziałam z głową pochyloną na rękach, opartych o pręty kraty.

– Przychodzę z polecenia pana Manouri – powiedział mi.

– Zawiadomić mnie – odparłam – że przegrałam proces.

– Nic nie wiem, proszę pani, dał mi ten list, miał minę strapioną, gdy mi go wręczał, i przybyłem tu co koń wyskoczy, jak mi polecił.

– Proszę dać...

Podał mi list, wzięłam go nie ruszając się z miejsca i nie patrząc na posłańca; położyłam list na kolanach i trwałam w poprzedniej pozycji. Ten człowiek zapytał mnie:

– Czy nie będzie odpowiedzi?

– Nie – odrzekłam – proszę iść...

Poszedł, a ja siedziałam na tym samym miejscu, nie mogąc się ruszyć ani zdecydować na wyjście.

XI

W klasztorze nie wolno ani pisać, ani otrzymywać listów bez pozwolenia przełożonej; odaje się jej i te, które się otrzymuje, i te, które się pisze: musiałam więc zanieść jej mój list. Ruszyłam w drogę w tym celu, myślałam, że nigdy nie dojdę – więzień wychodzący z ciemnicy, aby wysłuchać wyroku, ani nie idzie wolniej, ani nie jest bardziej ode mnie przybity. Ale oto znalazłam się przy drzwiach celi przełożonej. Mniszki obserwowały mnie z daleka: nie chciały nic stracić z widoku mojego bólu i mego upokorzenia. Zapukałam, otworzono mi. Przełożona była w towarzystwie kilku innych zakonnicy; zorientowałam się w tym widząc dół ich sukien, gdyż nie śmiałam podnieść oczu; podałam jej list drżącą ręką; wzięła go, przeczytała i oddała mi z powrotem. Wróciłam do swej celi, rzuciłam się na łóżko; list leżał obok mnie; nie czytałam go, nie wstawałam na obiad, trwałam w bezruchu aż do godziny nieszpórów. O wpół do czwartej dzwon uprzedził mnie o konieczności zejścia do kościoła. Kilka zakonnicy już tam przybyło. Przełożona przy wejściu do prezbiterium zatrzymała mnie i kazała uklęknąć na zewnątrz; reszta zgromadzenia weszła do kościoła i drzwi się zamknęły. Po nabożeństwie wszystkie zakonnice wyszły, przepuściłam je, podniosłam się z kolan, by iść za nimi ostatnia.

Od tej chwili zdecydowałam się poddać wszystkiemu, czego tylko ode mnie zażądają: wzbroniono mi wstępu do kościoła, wzbroniliam sobie z własnej woli wstępu do refektarza i korzystania z rekreacji. Rozważałam swoje położenie ze wszystkich stron i widziałam ratunek tylko w mojej uległości i w tym, że klasztorowi potrzebne są moje talenty. Byłabym się zadowolona swego rodzaju zapomnieniem, w jakim mnie pozostawiono przez kilka dni.

Miałam kilka wizyt, ale wizyta pana Manouri była jedyną, którą mi pozwolono przyjąć. Wchodząc do rozmównicy zastałam go dokładnie w takiej samej pozie, w jakiej widział mnie jego wysłannik: z głową pochyloną na rękach, opartego o kraty. Poznałam go, ale nie odezwałam się doń ani słowem. On nie śmiał ani patrzeć na mnie, ani do mnie przemówić.

– Proszę pani – powiedział wreszcie nie ruszając się z miejsca – napisałem do pani, czytała pani mój list?

– Otrzymałam go, ale nie czytałam.

– A więc pani nie wie...

– Nie, proszę pana, wiem wszystko, odgadłam swój los i poddałam mu się z rezygnacją.

– Jak teraz panią traktują?

– Nie myślą jeszcze o mnie, ale przeszłość poucza mnie o tym, co mi gotuje przyszłość. Mam tylko jedną pociechę: jest niemożliwe, abym pozbawiona nadziei, która mnie podtrzymywała, cierpiała tak, jak już cierpiałam – umrę. W życiu zakonnym nie przebacza się winy, którą popełniłam. Nie proszę bynajmniej Boga, aby zmiękcył serce tych osób, którym podobało Mu się wydać mnie na łaskę; lecz proszę o użyczenie mi sił do cierpienia, o uratowanie mnie przed rozpaczą, o rychłe powołanie mnie do siebie.

– Pani – powiedział ze łzami – gdybyś była moją rodzoną siostrą, nie byłbym więcej dołożył starań... – Ten człowiek ma czułe serce. – Jeżeli mogę być pani – dodał – w czymkolwiek użyteczny, proszę mną dysponować. Zobaczę się z pierwszym prezesem sądu, który mnie bardzo ceni, z wikariuszem generalnym, z arcybiskupem.

– Niech pan nie zwraca się do nikogo, wszystko skończone.

– Ale gdyby można było przenieść panią do innego klasztoru?

– Zbyt wiele jest przeszkód.

– Jakież to przeszkody?

– Trudności przy uzyskaniu pozwolenia, konieczność wniesienia nowego posagu lub wycofania dawnego z tego klasztoru, w którym się jest; a zresztą, co znajdę w nowym klasztorze? Swoje nieugięte serce, bezlitosne przełożone, zakonnice nie lepsze niż tutaj, te same obowiązki, te same kary. Lepiej tu zakończę swoje dni: tutaj będą krótsze.

– Ale pani los zainteresował wiele zacnych osób, większość z nich to ludzie bogaci; nie zatrzyma pani tutaj zwierzchność klasztoru, gdy wyjdzie pani nic z sobą nie zabierając.

– Tak sądzę.

– Zakonnica, która opuszcza klasztor lub umiera, powiększa dobrobyt tych, co zostają.

– Ale ci zacni ludzie, ci ludzie bogaci nie myślą już o mnie i przyjmą pana bardzo zimno, gdy będzie chodziło o wyposażenie mnie na ich koszt. Dlaczego pan sądzi, że łatwiej jest osobom wiodącym życie światowe wydobyć z klasztoru mniszkę bez powołania niż osobom pobożnym wprowadzić tam kandydatkę z wyraźnym powołaniem do stanu zakonnego? A czy takie łatwo się wyposaża? Ech, panie, wszyscy się wycofali z chwilą przegrania mego procesu; nie widuję więcej nikogo.

– Niech mi tylko pani powierzy tę sprawę; będę bardzo szczęśliwy.

– O nic nie proszę, niczego się nie spodziewam, niczemu się nie przeciwstawiam, jedyne uczucie, które mnie podtrzymywało, wygasło. Gdybym choć mogła spodziewać się, że Bóg mnie zmieni, i że odbierając mi nadzieję porzucenia stanu zakonnego obdarzy mnie cnotami właściwymi temu stanowi... Ale to niemożliwe; te suknie przywarły do mojej skóry, do moich kości i krępują mnie coraz bardziej. Ach, co za dola: pozostać na zawsze zakonnica i czuć, że będzie się zawsze tylko złą zakonnica, spędzać całe życie na biciu głową o kraty swego więzienia. – W tym momencie zaczęłam krzyczeć, chciałam stłumić swój krzyk, ale nie mogłam. Pan Manouri, zaskoczony tym wybuchem, powiedział:

– Czy wolno mi zadać pani pewne pytanie?

– Proszę pana.

– Czy ból tak gwałtowny nie ma jakiejś tajnej przyczyny?

– Nie, panie. Nienawidzę życia z dala od ludzi, czuję tu, że go nienawidzę, czuję, że będę go zawsze nienawidziła. Nie potrafię spełniać z uległością wszystkich bzdurnych spraw wypełniających dzień mniszki: to stek niedorzeczności, którymi gardzę, przyzwyczaiałabym się do nich, gdybym mogła się przyzwyczaić, sto razy próbowałam narzucić je sobie, przełamać siebie: nie potrafię. Zazdrościłam moim towarzyszkom, prosiłam Boga o ich błogą głupotę; nie wysłuchał mnie, nie udzielił mi jej. Wszystko robię źle, wszystko mówię na opak, brak powołania przebija ze wszystkich moich czynności i to jest widoczne; obrażam co chwila życie mnisze, moją nieudolność nazywają pychą, starają się mnie upokorzyć, winy i kary syją się bez końca i dnie schodzą mi na mierzeniu wzrokiem wysokości murów.

– Pani, nie potrafię ich zburzyć, ale mogę zrobić co innego.

– Niech pan nie robi żadnych prób.

– Trzeba zmienić klasztor; zajmę się tym. Przyjdę się z panią znowu zobaczyć, spodziewam się, że pani nie ukryją, będzie pani miała nieustanne wiadomości ode mnie. Proszę mieć pewność, że jeśli się pani zgodzi, uda mi się stąd panią wydobyć. W razie zbyt surowego obchodzenia się z panią, proszę mnie o tym powiadomić.

Było późno, gdy pan Manouri poszedł. Wróciłam do swej celi. Niebawem zadzwoniono na nieszpory. Przyszłam do kościoła jedna z pierwszych, przepuściłam zakonnice i nie trzeba mi było dwa razy mówić, że mam zostać pode drzwiami; istotnie, przełożona zamknęła mi je przed nosem.

Wieczorem, w porze wieczerzy, wchodząc, gestem kazała mi usiąść na podłodze pośrodku refektarza; Usłuchałam i podano mi tylko chleb i wodę; zjadłam kawałek skraplając go łzami.

Nazajutrz odbyła się narada; wezwano całe zgromadzenie, aby wydać na mnie sąd. Skazano mnie na pozbawienie rekreacji, na słuchanie przez miesiąc nabożeństw pod drzwiami prezbiterium, na jedzenie na ziemi pośrodku refektarza, na odprawianie pokuty kościelnej przez trzy dni z rzędu, na wznowienie moich obłóczyn i ponowne złożenie ślubów, na wdzianie włosiennicy, na post co drugi dzień i na biczowanie się po nieszporach co piątek. Klęczałam z opuszczonym welonem podczas ogłaszania tego wyroku.

Zaraz nazajutrz przełożona przyszła do mojej celi z zakonnica, która niosła na ręku włosiennicę i tę suknię parcianą, raczej worek, w który mnie odziano, kiedy byłam prowadzona do lochu. Zrozumiałam, co to oznaczało, rozebrałam się lub raczej zerwano ze mnie welon, obnażono i włożyłam tę suknię. Miałam gołą głowę, gołe stopy, moje długie włosy spadały mi na ramiona i cała moja odzież sprowadzała się do tej włosiennicy, którą mi dano, do koszuli bardzo szorstkiej i tej długiej sukni, która sięgała mi pod samą szyję i opadała aż do bosych stóp. Tak byłam ubrana w ciągu dnia i tak stawiałam się do wszystkich ćwiczeń.

Wieczorem, gdy usunęłam się do swojej celi, usłyszałam, że zbliża się jakiś pochód śpiewając litanie; były to wszystkie zakonnice uszykowane w dwa szeregi.

Weszły, ja wstałam, zarzucono mi na szyję powróż, w jedną rękę włożono zapaloną pochodnię, w drugą dyscyplinę. Jedna z mniszek ujęła koniec powroza, pociągnęła mnie między dwa szeregi i procesja ruszyła ku wewnętrznej kaplicy poświęconej Matce Boskiej. Mniszki szły śpiewając półgłosem, wracały w milczeniu. Gdy dotarłam do owej kaplicy, oświetlonej dwiema świecami, rozkazano mi błagać o przebaczenie Boga i całe zgromadzenie klasztorne za zgorzenie, jakiego się dopuściłam; mniszka, która mnie wiodła na powrozie, mówiła mi szeptem to, co powinnam powtarzać, i powtarzałam to słowo w słowo. Potem zdjęto mi powróż, obnażono aż do pasa, zwinięto rozsypane na ramionach włosy i odrzucono na jedną stronę szyi, dano mi w prawą rękę dyscyplinę, którą miałam w lewej ręce, i rozpoczęto śpiewanie *Miserere*. Zrozumiałam, czego ode mnie oczekują, i wykonałam to. Po skończonym *Miserere* przełożona wygłosiła do mnie krótkie upomnienie; zgaszono światła, mniszki się rozeszły i ubrałam się.

Gdy wróciłam do swojej celi, poczułam dotkliwy ból w stopach; obejrzałam je, były zakrwawione od okruchów szkła, które złośliwie rozsypano na mej drodze.

Odprawiałam pokutę kościelną w ten sam sposób w ciągu dwóch dni następnych, z tą tylko różnicą, że do *Miserere* dodano psalm pokutny.

Czwartego dnia zwrócono mi habit zakonnicy, mniej więcej z takim samym ceremoniałem, z jakim go się wkłada podczas publicznej uroczystości obłóczyn.

Piątego dnia odnowiłam swe śluby. W ciągu miesiąca odbyłam resztę wyznaczonej pokuty, po czym powróciłam mniej więcej do zwykłego trybu życia zgromadzenia: zajęłam z powrotem swoje miejsce w prezbiterium i w refektarzu i spełniałam, kiedy wypadła na mnie kolej, różne czynności w klasztorze. Ale jakież było moje zdziwienie, gdy wzrok mój padł na młodą przyjaciółkę, która interesowała się moim losem. Wydała mi się niemal tak zmieniona jak ja; była przerażająco chuda, twarz miała śmiertelnie bladą, wargi zbielełe i oczy prawie zagasłe.

– Siostrzo Urszulo – powiedziałam jej szeptem – co ci jest?

– Co mi jest? – odpowiedziała mi – kocham cię i ty mnie o to pytasz. Był czas, żeby twoja męka się skończyła, i gdyby to dłużej trwało, nie przeżyłabym tego.

To, że podczas dwóch ostatnich dni mojej pokuty kościelnej nie miałam pokaleczonych stóp, zawdzięczałam jej, bo ona po kryjomu zamiotła korytarze i odrzuciła pod ściany kawałki szkła. W dni kiedy byłam skazana na chleb i wodę, pozbawiała się części swojej porcji i zawiniętą w serwetkę wrzucała mi ukradkiem do mojej celi. Losowano, która mniszka poprowadzi mnie na powrozie, i los padł na nią, miała tyle hartu, że poszła do przełożonej i zapewniła ją, iż raczej gotowa jest umrzeć niż wykonać tę haniebną i okrutną funkcję. Na szczęście ta młoda dziewczyna pochodziła ze znanej i zamożnej rodziny, otrzymywała z domu okazałą pensję, którą rozporządzała według woli przełożonej, i znalazła za kilka funtów cukru i kawy mniszkę, która ją wyręczyła. Nie śmiałabym myśleć, że ręka boska ciężko pokarze tę szelmę: zwariowała i jest pod kluczem, ale przełożona żyje, rządzi, dręczy i jest zdrowa.

Było niemożliwe, aby moje zdrowie wytrzymało tak długie i tak ciężkie próby: zachorowałam. Wtedy to siostra Urszula wykazała całą przyjaźń, jaką miała dla mnie, jej zawdzięczam życie. Nie było to dobrodziejstwem, że mnie zachowała przy życiu. Sama mi kilka razy o tym mówiła, a jednak nie było usługi, której by przy mnie nie spełniła w tych dniach, gdy miała dyzur w infirmerii; kiedy indziej nie byłam zaniedbywana dzięki jej stałej pieczy nade mną i drobnym wynagrodzeniom, które dawała tym, co czuwały przy mnie, zależnie od tego, w jakiej mierze byłam z ich opieki zadowolona. Chciała pilnować mnie w nocy, lecz przełożona odmówiła jej tego pod pozorem, że jest zbyt delikatna, by się tak męczyć: sprawiło jej to prawdziwe zmartwienie. Wszystkie jej starania nie powstrzymały postępów choroby; było ze mną już bardzo źle, opatrzone mnie ostatnimi sakramentami. Na kilka chwil przedtem wyraziłam prośbę, aby pozwolono mi zobaczyć całe zgromadzenie, na co uzyskałam zgodę. Zakonnice otoczyły moje łóżko, przełożona znajdowała się wśród nich; moja młoda przyjaciółka stała u wezglowia, trzymała mnie za rękę i oblewała ją łzami. Przypuszczano, że mam coś do powiedzenia, uniesiono mnie i podtrzymano na pościeli za pomocą dwóch poduszek. Wówczas, zwracając się do przełożonej, poprosiłam ją, aby udzieliła mi swego błogosławieństwa i zapomniała o winach, jakie popełniłam; poprosiłam wszystkie moje towarzyszkę o przebaczenie mi zgorzenia, którego się wobec nich dopuściłam. Kazałam przynieść sobie na łóżko mnóstwo drobiazgów, bądź zdobiących moją celę, bądź służących do mego osobistego użytku, i poprosiłam przełożoną o pozwolenie rozporządzenia nimi; zgodziła się na to i rozdałam je tym, które stanowiły jej asystę, w chwili kiedy wtrącano mnie do lochu. Kazałam podejść tej mniszce, która prowadziła mnie na powrozie w dniach mojej pokuty kościelnej, i powiedziałam całując ją i podając jej mój różaniec i mój krucyfiks:

– Droga siostrzo, pamiętaj o mnie w swych modlitwach i bądź pewna, że nie zapomnę o tobie, gdy stanę przed Bogiem...

I czemu Bóg nie zabrał mnie w owej chwili? Szłam do Niego bez obaw. To takie wielkie szczęście! i któż może je sobie obiecywać dwa razy? Kto wie, czym będę w ostatniej chwili

życia? A jednak nie uda mi się jej uniknąć. Oby Bóg wznowił jeszcze moje cierpienia i dał mi w chwili śmierci taki spokój, jaki wtedy miałam. Widziałam rozwarte niebiosy i niezawodnie tak było, bo w takim momencie świadomość nie zawodzi, a obiecywała mi szczęśliwość wiekiustą.

Po dysponowaniu mnie na śmierć wpadłam w rodzaj letargu; przez całą noc wątpiono, czy będę żyła. Od czasu do czasu ktoś wchodził zbadać mi puls, czułam ręce przesuwające się po mojej twarzy i słyszałam różne głosy mówiące jakby z oddali:

- Puls coraz szybszy...
- Nos ma zimny...
- Nie dożyje jutra...
- Różaniec i krucyfiks będą twoje...

A inny głos, gniewny, mówił:

- Odejdźcie, odejdźcie, dajcie jej umrzeć w spokoju, czyście ją nie dość namęczyły?

Była to chwila bardzo słodka, kiedy wyszedłszy z tego przesilenia i otworzywszy oczy znalazłam się w ramionach mojej przyjaciółki. Nie opuściła mnie, spędziła noc na niesieniu mi pomocy, odmawiała modlitwy za konających, dawała mi Chrystusa do ucałowania i przyciskała krucyfiks do swych ust po odjęciu go od moich. Widząc, że otwieram szeroko oczy, i słysząc moje głębokie westchnienie, pomyślała, iż to jest ostatnie, i zaczęła lamentować, nazywać mnie swą najdroższą przyjaciółką, mówić: „Boże, zmiłuj się nad nią i nade mną. Boże, przyjmij jej duszę. Droga moja, kiedy staniesz przed Bogiem, przypomnij sobie siostrę Urszulę...”. Patrzyłam na nią ze smutnym uśmiechem, łza toczyła mi się po twarzy, ścisłałam jej dłoń.

W owej chwili wszedł pan Bouvard, lekarz klasztorny, człowiek, jak mówią, biegły w swoim zawodzie, ale despotyczny, wyniosły i twardy. Szorstko odsunął moją przyjaciółkę, zbadał mi puls i dotknął ciała; towarzyszyły mu przełożona i jej faworytki. Zadał monosylabami kilka pytań dotyczących tego, co się stało; po otrzymaniu odpowiedzi rzekł:

– Ona wyjdzie z tego... – I patrząc na przełożoną, której te słowa nie poszły w smak: – Tak, wielbna matko – powtórzył – ona wyjdzie z tego, ciało ma dobrą temperaturę, gorączka spada i życie zaczyna świtać w oczach...

W miarę tych słów radość rozlewała się na twarzy mojej przyjaciółki; zaś na twarzach przełożonej i jej towarzyszek jakieś strapienie, źle maskowane skrępowaniem.

- Proszę pana – powiedziałam mu – ja nie chcę żyć.
- Szkoda – odparł. Potem coś zaordynował i wyszedł.

Mówiono mi, że podczas mego letargu powiedziałam kilka razy: „Droga matko, więc spotkam się z tobą, powiem ci wszystko...”. Widocznie zwracałam się do mojej dawnej przełożonej, nie wątpię o tym. Jej wizerunku nie dałam nikomu, pragnęłam zabrać go ze sobą do grobu.

XII

Prognoza pana Bouvard sprawdziła się; gorączka spadła, obfite poty ostatecznie ją usunęły i nikt już nie wątpił, że wyzdrowieję, ale przychodziłam do zdrowia bardzo powoli. Było mi sądzone, że w tym klasztorze zniosła wszelkie udreki, jakich można doznać. Moja choroba miała w sobie coś złośliwego, a siostra Urszula prawie ani na chwilę nie odstępowała mnie. Kiedy zaczęłam wracać do sił, jej siły się wyczerpały, zaczęła odczuwać dolegliwości żołądkowe, po południu miewała omdlenia, które czasami trwały kwadrans; w tym stanie, a była wówczas jak nieżywa, wzrok jej gasł, zimny pot pokrywał czoło i zbierał się w krople ściekające po policzkach; ręce bezwładnie zwisały jej po bokach. Pewną ulgę przynosiło jej tylko rozpuszczenie sznurówki i rozluźnienie ubrania. Gdy wracała do siebie po takim omdleniu, pierwszą jej myślą było szukać mnie przy sobie i zawsze mnie tam znajdowała; czasami nawet, gdy pozostawało jej trochę czucia i przytomności, wodziła ręką dokoła siebie nie otwierając oczu.

Ten ruch był tak wymowny, że gdy któraś z mniszek pochyliła się ku tej ręce błędzącej po omacku, a ręka opadała bezwładnie nie rozpoznając szukanej osoby, przywoływano mnie: „Siostrzo Zuzanno, ona ciebie chce, zbliż się...”. Przypadałam do jej kolan, przyciągałam jej rękę do swego czoła i trzymałam tam aż do końca zemdlenia. Gdy odzyskała przytomność, mówiła do mnie:

– A więc, siostrzo Zuzanno, to ja odejdę, a ty zostaniesz. To ja zobaczę ją pierwsza, opowiem jej o tobie, nie będzie mogła mnie słuchać bez łez (jeżeli są gorzkie łzy, są też bardzo słodkie); jeżeli tam w górze kochają, czemuż by nie mieli płakać? – Zwiesiwszy głowę na moją szyję zalewała się łzami i dodawała: – Żegnaj, siostrzo Zuzanno, żegnaj, droga moja, kto będzie dzielił twe zgryzoty, gdy mnie zabraknie?... Ach, droga przyjaciółko, jak mi ciebie żal. Odchodzę, czuję to, odchodzę. Gdybyś była szczęśliwa, jakże żałowałabym życia.

Jej stan przerażał mnie. Mówiłam z przełożoną. Chciałam, żeby ją umieszczono w infirmerii, żeby ją zwolniono z nabożeństw i innych uciążliwych ćwiczeń klasztornych, żeby wezwano lekarza, ale zawsze mi opowiadano, że to nic, że te omdlenia miną same, a droga siostra Urszula pragnie jak najgoręcej spełniać swe obowiązki i stosować się do reguł obowiązujących całe zgromadzenie. Pewnego dnia po jutrzni, w której wzięła udział, nie zjawiała się więcej. Pomyślałam, że jest z nią bardzo źle; gdy skończyła się msza poranna, pobiegłam na górę, znalazłam ją na łóżku całkowicie ubraną, powiedziała mi:

– Jesteś, moja droga? Domyślałam się, że nie omieszkas, przyjść, i czekałam na ciebie. Posłuchaj mnie, z jakąż niecierpliwością oczekiwałam twego przyjścia! Moje dzisiejsze omdlenie było tak silne i tak długie, że myślałam, iż już z niego nie wyjdę i nie zobaczę cię więcej. Masz oto klucz do mojej kapliczki domowej, otworzysz szafkę, która się w niej znajduje, wyjmiesz deseczkę dzielącą na dwie części dolną szufladę; znajdziesz za tą deseczką plik papierów; nigdy nie mogłam się zdecydować na rozstanie się z nimi, mimo niebezpieczeństwa, na jakie się narażałam przechowując je u siebie, i mimo bólu, jakiego doznawałam odczytując je; niestety! są prawie zatarte od moich łez i gdy mnie już nie będzie, spalisz je...

Była tak słaba i do tego stopnia męczyły ją duszności, że nie mogła wymówić jednym ciągiem dwóch słów swego polecenia, zatrzymywała się prawie przy każdej sylabie, a przy tym mówiła tak cicho, że z trudem ją słyszałam, chociaż moje ucho dotykało niemal jej ust. Wzięłam klucz, pokazałam jej palcem kapliczkę, skinęła głową; potem, przeczuwając, że niebawem ją stracę, i przekonana, że jej choroba była bądź następstwem mojej choroby, bądź

zmartwienia, jakie z tego powodu przeżyła, bądź wreszcie – trudów przy pielęgnowaniu mnie, zaczęłam płakać i lamentować. Całowałam jej czoło, oczy, twarz, ręce, prosiłam ją o przebaczenie, ale ona była jakaś roztargniona, nie słuchała, co mówię, jedna jej ręka spoczywała na mojej twarzy i gładziła ją; myślę, że już mnie nie widziała, może nawet sądziła, że wyszłam, bo zawołała na mnie:

– Siostrzo Zuzanno?

Powiedziałam:

– Jestem tutaj.

– Która godzina?

– Wpół do dwunastej.

– Wpół do dwunastej. Idź na obiad, idź, zaraz wrócisz...

Rozległ się dzwon na obiad, trzeba było się z nią rozstać. Gdy znalazłam się przy drzwiach, przywołała mnie, wróciłam, zrobiła wysiłek, żeby mi nadstawić policzki do pocałowania, ucałowałam ją, wzięła mnie za rękę i trzymała ją ściśniętą, wydawało się, że nie chciała, że nie mogła rozstać się ze mną.

– Jednak trzeba – powiedziała puszczając mnie – Bóg tak chce; żegnaj, siostrzo Zuzanno. Daj mi mój krucyfiks...

Włożyłam go w jej dłonie i wyszłam. Za chwilę miałyśmy wstać od stołu. Zwróciłam się do przełożonej, powiedziałam jej w obecności wszystkich zakonnicek, w jakim groźnym stanie jest siostra Urszula, nalegałam, aby sama się o tym przekonała.

– A więc – rzekła – trzeba ją odwiedzić.

Udała się do niej w towarzystwie kilku siostr, ja za nimi; weszły do celi. Biedna siostra Urszula już nie żyła; leżała na łóżku, całkowicie ubrana, z głową przechyloną na poduszkę, z rozchylonymi ustami, z zamkniętymi oczami, z krzyżem w dłoniach. Przełożona popatrzyła na nią zimno i powiedziała:

– Umarła. Kto by pomyślał, że była tak bliska śmierci? To była zacna dziewczyna: idźcie zadzwonić po niej i pochowajcie ją.

Zostałam przy jej wezgłowie sama. Nie potrafię panu opisać swej boleści; cierpiałam i wraz zazdrościłam jej losu, jaki ją spotkał. Podeszłam do niej, ofiarowałam jej moje łzy, pocałowałam kilka razy i przykryłam prześcieradłem twarz, której rysy już się zaczęły zmieniać; potem pomyślałam o wykonaniu tego, co mi poleciła. Żeby mi w tym zajęciu nie przeszkadzono, poczekałam, aż wszyscy będą na nabożeństwie: otworzyłam oratorium, usunęłam deseczkę i znalazłam spory zwój papierów, który spaliłam zaraz wieczorem. Ta młoda dziewczyna była zawsze melancholijna i nie pamiętam, żebym widziała u niej uśmiech, z wyjątkiem jednego razu podczas jej choroby.

Otóż więc jestem sama w tym klasztorze, sama na świecie; nie znałam bowiem ani jednej istoty, która by się mną interesowała. Teraz nic już nie słyszałam o adwokacie Manouri, mniemałam, że albo trudności go odstręczyły, albo że w wirze pochłaniających go zajęć lub rozrywek propozycja przyjscia mi z pomocą, jaką mi złożył, uleciała z jego pamięci; nie miałam mu tego bardzo za złe: charakter mój skłaniał mnie do wyrozumiałości; mogę wszystko ludziom wybaczyć prócz niesprawiedliwości, niewdzięczności i okrucieństwa. Usprawiedliwiałam więc adwokata Manouri, jak tylko mogłam, zarówno jak i te osoby z towarzystwa, które okazały tyle żywego zainteresowania w toku mojego procesu, a dla których dziś już nie istniałam, usprawiedliwiałam nawet pana, panie markizie, gdy oto całkiem niespodzianie nasi zwierzchnicy kościelni odwiedzili klasztor.

Weszli, przebiegli cele, przesłuchali mniszki, kazali sobie przedstawić sprawozdania z gospodarki klasztoru w dziedzinie materialnej i duchowej i zaleźnie od tego, z jakim nastawieniem spełniali swe czynności, naprawili lub spotęgowali nieporządki. Ujrzałam więc znowu uczciwego i bezwzględniego księdza Héberta i jego młodych i litościwych akolitów. Widocznie młodzi księża przypomnieli sobie oplakany stan, w jakim niegdyś pojawiłam się przed

nimi; oczy im zwilgotniały i zauważyłam na ich twarzach rozrzewnienie i radość. Ksiądz Hébert usiadł i kazał mi usiąść naprzeciw siebie; jego dwaj pomocnicy stali za krzesłem archidiacona, wlepiając we mnie oczy.

Archidiakon zwrócił się do mnie z pytaniem:

– A więc, siostró Zuzanno, jak się z tobą teraz obchodzą?

Odpowiedziałam:

– Proszę księdza, zapominają o mnie.

– Tym lepiej.

– I ja też tego tylko pragnę, ale chciałabym prosić o wyświadczenie mi wielkiej łaski: idzie mi o wezwanie tutaj matki przełożonej.

– A po co?

– Bo jeżeli się zdarzy, że ktoś złoży księdzu jakąś skargę na nią, ona nie omieszka mnie o to obwinić.

– Rozumiem, ale mimo to powiedz, co wiesz o niej.

– Błagam księdza o wezwanie jej, aby sama słyszała pytania, jakie mi ksiądz zadaje, i moje odpowiedzi.

– A jednak mów, nie licząc się z niczym.

– Ksiądz mnie zgubi.

– Nie, niczego się nie obawiaj: od dzisiejszego dnia nie jesteś więcej pod jej władzą; jeszcze w tym tygodniu zostaniesz przeniesiona do klasztoru Świętej Eutropy pod Arpajon. Masz oddanego przyjaciela.

– Oddanego przyjaciela, proszę księdza? Nie znam nikogo takiego.

– To twój adwokat.

– Pan Manouri?

– Właśnie on.

– Nie sądziłam, że jeszcze o mnie pamięta.

– Widział się z twoimi siostrami; widział się z jego ekscelencją arcybiskupem, z pierwszym prezesem sądu, ze wszystkimi osobami znanymi ze swej pobożności, zebrał dla ciebie posag do klasztoru, który przed chwilą wymieniłem, i już tylko chwilę pozostaniesz tutaj. Tedy, jeżeli wiesz o jakichś nieporządkach, możesz mnie o tym powiadomić nie narażając się, i nakazuję ci to w imię świętego posłuszeństwa.

– Nie wiem o żadnych nieporządkach.

– Jak to!... czyżby zachowano pewien umiar w traktowaniu ciebie po przegraniu twego procesu?

– Uważano i musiano tak uważać, że popełniłam winę występując przeciw moim ślubom, i kazano mi prosić Boga o przebaczenie.

– Ale ja chciałabym wiedzieć, w jakich okolicznościach odbywało się to przebłaganie Boga...

Przy tych słowach potrząsał głową i ściągał brwi; pojęłam, że tylko ode mnie zależało, bym oddała przełożonej część razów dyscypliną, które na jej rozkaz musiałam sobie wymierzyć; ale to nie było moim zamiarem. Archidiakon dobrze wiedział, że nie dowie się ode mnie niczego, i wyszedł zalecając mi, abym zachowała dla siebie to, co mi powiedział w zaufaniu o moim przeniesieniu do Świętej Eutropy pod Arpajon.

Gdy zacny ksiądz Hébert szedł przez korytarz, dwaj jego towarzysze odwrócili się i złożyli mi ukłon w sposób niezwykle serdeczny i miły. Nie wiem, co to za ludzie, ale oby Bóg pozwolił im zachować ten czuły i miłosierny charakter, tak rzadki w ich stanie, a który tak przystoi depozytariuszom ludzkich słabości i orędownikom boskiego miłosierdzia.

Myślałam, że archidiakon zajęty jest pocieszaniem, badaniem lub strofowaniem jakiejś innej zakonnicy, gdy oto wszedł do mej celi. Zapytał mnie:

– Skąd znasz pana Manouri?

– Z mego procesu.
 – Kto ci go wskazał?
 – Pani prezesowa.
 – Musiałaś często konferować z nim w toku twego procesu?
 – Nie, proszę księdza, rzadko go widywałam.
 – W jaki sposób poinformowałaś go?
 – Za pomocą kilku urywków z pamiętnika, napisanych własnoręcznie.
 – Czy masz odpisy tych urywków?
 – Nie mam, proszę księdza.
 – Kto mu doręczył ten pamiętnik?
 – Małżonka prezesa sądu.
 – A skąd ją znałaś?
 – Znałam ją przez siostrę Urszulę, moją przyjaciółkę, a jej krewną.
 – Widziałaś się z panem Manouri po przegraniu twego procesu?
 – Raz jeden.
 – To bardzo mało. Nie pisywał do ciebie wcale?
 – Nie, proszę księdza.
 – Tyś do niego wcale nie pisała?
 – Nie, proszę księdza.
 – Niezawodnie zawiadomi cię o tym, co zrobił dla ciebie. Nakazuję ci nie widzieć się z nim w rozmównicy; gdyby do ciebie napisał, bezpośrednio czy pośrednio, przyślesz mi jego list nie otwierając go; rozumiesz, nie otwierając go.

– Tak jest, proszę księdza; będę posłuszna. Niezależnie od tego, czy nieufność księdza Héberta dotyczyła mnie, czy mojego dobroczyńcy, byłam nią dotknięta.

Pan Manouri przybył do Longchamp jeszcze tegoż wieczoru – dotrzymałam słowa danego archidiakonowi: nie zgodziłam się na rozmowę z nim. Nazajutrz przysłał mi list przez swego wysłańca; otrzymałam to pismo i posłałam je, nie otwierając, księdzu Hébertowi.

Było to, o ile sobie przypominam, we wtorek. Wciąż oczekiwałam z niecierpliwością skutku obietnicy archidiakona i zabiegów pana Manouri. Środa, czwartek, piątek minęły bez żadnych wieści. Jakże długie wydały mi się te dni! Drżałam, aby jakaś nagła przeszkoda nie popsuła wszystkiego. Nie odzyskiwałam wolności, ale zmieniałam więzienie, a to też jest coś. Pierwsze pomyślne wydarzenie rodzi w nas nadzieję drugiego i stąd może wywodzi się przysłowie, że „szczęście nie chadza w pojedynkę”.

Znałam towarzyski, które porzucałam, i nietrudno mi było przypuszczać, że coś zyskam obcując z innymi więźniarkami; jakiegokolwiek byłyby, nie mogły być ani bardziej złe, ani bardziej nieżyczliwe.

W sobotę rano, około dziewiątej, w klasztorze wszczął się wielki ruch; bardzo niewiele potrzeba, żeby wywołać zamieszanie wśród mniszek. Biegały we wszystkie strony, mówiły do siebie szeptem, drzwi sypialni otwierały się i zamykały; jak mógł pan dotychczas zauważyć, to znak, że w klasztorze zaszło coś ważnego. Byłam sama w swej celi, serce mi biło. Nasłuchiwałam przy drzwiach, wyglądałam przez okno, miotałam się nie wiedząc, co robię; mówiłam sobie drżąc z radości:

„To po mnie przyszli, za chwilę już mnie tu nie będzie...” I nie myliłam się.

Dwie nieznanne postacie zjawiły się u mnie; były to zakonnica i furtianka z Arpajon: w dwóch słowach powiadomiły mnie o celu swego przybycia. Wzięłam pośpiesznie należące do mnie manatki; wrzuciłam je – groch z kapustą – do fartucha furtianki, która porobiła z nich pakunki. Nie pragnęłam wcale widzieć się z przełożoną; siostry Urszuli już nie było, nie zostawiałam tu nikogo. Zeszłam, otworzono mi furtę; po zrewidowaniu tego, co zabieram ze sobą, siadłam do karety i udałam się w drogę.

Archidiakon i dwaj młodzi księża, pani prezesowa X i pan Manouri byli zebrani u przeło-

żonej, gdzie ich uprzedzono, że opuszczam klasztor w Longchamp. W drodze zakonnica z Arpajon udzieliła mi informacji o swym klasztorze wychwalając go, a furtianka dodawała jako refren do każdego zdania: „To czysta prawda...”. Była szczęśliwa, że ją właśnie wybrano, aby mnie przywiozła, i chciała się ze mną zaprzyjaźnić; zwierzyła mi się więc z kilku tajemnic klasztornych i dała mi kilka rad co do mego zachowania się; te rady prawdopodobnie służyły jej do własnego użytku, ale mnie nie mogły przydać się na nic.

Nie wiem, czy pan widział kiedy klasztor w Arpajon; to jest czworobok, którego jedna fasada wychodzi na gościniec, a druga na wieś i na ogrody. W każdym oknie pierwszej fasady była jedna, dwie lub trzy mniszki; ta okoliczność powiedziała mi więcej o porządkach panujących w tym klasztorze niż wszystko, co mi o tym mówiły w drodze zakonnica i jej towarzysza. Widocznie znano pojazd, w którym jechałyśmy, gdyż w mgnieniu oka te wszystkie głowy w welonach zniknęły; przybyłam do bramy mojego nowego więzienia. Przełożona wyszła na moje spotkanie z otwartymi ramionami, uściskała mnie, wzięła za rękę i zaprowadziła do sali zgromadzenia, gdzie już znajdowało się kilka mniszek, a reszta wkrótce nadbiegła.

XIII

Przełożona w Arpajon nazywa się pani X. Nie mogę odmówić sobie chętki opisanie jej panu, zanim zacznę opowiadać dalej. Jest to kobieta niewielkiego wzrostu, okrągła jak kula, a mimo to prędką i żwawą w ruchach; nieustannie kręci głowę; w jej ubraniu jest zawsze jakiś nieporządek; twarz ma raczej ładną; oczy, z których prawe jest wyżej umieszczone i większe od lewego, są pełne ognia i rozbiegane; idąc wymachuje rękami. Gdy chce mówić, otwiera usta, zanim uporządkuje myśli; toteż trochę się jąka. Siedząc kręci się na fotelu, jakby jej coś przeszkadzało; zapomina o wszelkiej przyzwoitości: zdejmuje kwef, żeby się podrapać, zakłada nogę na nogę; zadaje ci pytanie, odpowiadasz jej, a ona cię nie słucha, mówi do ciebie, gubi się, zatrzymuje nagle, nie wie, na czym stanęła, i nazywa cię gapą, idiotką, jeżeli jej nie naprowadzisz na przerwany wątek; jest bądź poufała aż do tykania, bądź rozkazująca i wyniosła aż do lekceważenia; chwile, gdy zachowuje godność, trwają krótko: jest na przemian pełna współczucia i bezwzględna; w jej nieco rozlanej twarzy maluje się chaotyczność umysłu i nierówność charakteru; toteż w klasztorze ład i nieład następowały kolejno po sobie; bywały dnie, kiedy wszystko było pomieszane: pensjonarki z nowicjuszkami, nowicjuszki z zakonnicami; odwiedzano się wzajemnie w pokojach; pito razem herbatę, kawę, czekoladę, słodkie wina; nabożeństwo odprawiano z pośpiechem zgoła nieprzyzwoitym – pośród tego zamętu twarz przełożonej nagle się zmienia, bije dzwon; wszystkie mniszki rozchodzą się, zamykają się w celach, najgłębsza cisza nastaje po hałasie, krzykach i rozgardiaszu; myślałby kto, że wszystko raptem umarło.

Ale niech wówczas jakaś mniszka dopuści się najmniejszego przewinienia! przełożona sprowadza ją do swej celi, traktuje ostro, każe się jej rozebrać i wymierzyć sobie dwadzieścia razy dyscypliną; mniszka wypełnia rozkaz, rozbiera się, bierze dyscyplinę; lecz zaledwie zaczęła się chłostać, przełożona, stając się nagle litościwą, wyrywa jej z ręki narzędzie pokuty, wybuchając płaczem, mówi, że jest bardzo nieszczęśliwa, iż musi karać, całuje ją w czoło, w oczy, w usta i ramiona; pieści ją, chwali. – Ach, jaką ona ma białą i gładką skórę! co za pięk-

ne pełne ciało, jaka piękna szyja! jakie piękne włosy!... Siostrzo Augustyno, zwariowałaś z tą wstydlivością! zrzucić koszulę, jestem kobietą i twoją przełożoną. Ach, co za piękne piersi! jakie jędrne! i ja bym zniosła, żeby to darła dyscyplina? Nie, nie, nic z tego nie będzie!... – Jeszcze ją całuje, podnosi z kłęczek, sama ubiera, mówi jej słodkie słówka, zwalnia z nabożeństw i odsyła do celi.

Bardzo jest nieprzyjemnie mieć do czynienia z takimi kobietami; nigdy nie wiadomo, co im się będzie podobało lub nie podobało, czego należy unikać, a co robić; nic nie jest uregulowane: albo karmią do przesyty, albo morzą głodem; gospodarka klasztorna kuleje, uwagi są bądź źle przyjmowane, bądź lekceważone, jest się zawsze zbyt blisko lub zbyt daleko z przeoryszami o takim charakterze; nie ma ani właściwego dystansu, ani miary; przechodzi się od niełaski do łaski – i od łaski do niełaski, nie wiadomo z jakiego powodu. Chce pan, żebym panu dała, na drobnej rzeczy, typowy przykład jej klasztornych rządów? Dwa razy do roku biegła od celi do celi i kazała wyrzucać przez okna wszystkie znalezione tam butelki z lekami; a po czterech dniach sama odsyłała je z powrotem większości mniszek. Oto kobieta, której złożyłam solenny ślub posłuszeństwa; bowiem my przenosimy nasze śluby z jednego klasztoru do drugiego.

Weszłam z przełożoną, prowadziła mnie trzymając w pól. Podano podwieczorek złożony z owoców, marcepanów i konfitur. Poważny archidiakon zaczął wygłaszać pochwałę mojej osoby, którą mu przerwała słowami: „Nie miały racji, nie miały racji, wiem...”. Poważny archidiakon chciał mówić dalej, a przełożona znowu mu przerwała mówiąc: „Jak one mogły się jej pozbyć? To wcielona skromność i łagodność; powiadają, że jest bardzo utalentowana...”. Poważny archidiakon chciał nawiązać do swych ostatnich słów; przełożona raz jeszcze mu przerwała szepcząc mi na ucho: „Kocham cię szalenie i kiedy ci pedanci wyjdą, sprowadzę nasze siostry i zaśpiewasz nam jakąś piosenkę, prawda?...”. Miałam ochotę się roześmiać.

Poważny ksiądz Hébert był nieco zbity z tropu; dwaj młodzi towarzysze archidiakona uśmiechali się widząc jego zakłopotanie i moje. Po chwili archidiakon odzyskał swój zwykły sposób bycia, szorstko nakazał przełożonej usiąść i nie odzywać się ani słowem. Usiadła, ale czuła się nieswojo, kręciła się na swym miejscu, drapała się w głowę, poprawiała suknię tam, gdzie wszystko było w porządku, ziewała. Tymczasem archidiakon perorował rozsądnie o klasztorze, który opuściłam, o przykrościach doznanych tam przeze mnie, o klasztorze, do którego wstępowałam, o zobowiązaniach, jakie zaciągnęłam wobec osób, które mi oddały przysługę.

W tym miejscu przemowy spojrzałam na pana Manouri: spuścił oczy. Wówczas rozmowa stała się ogólniejsza; przełożona przerwała uciążliwe milczenie narzucone sobie. Podeszłam do pana Manouri, podziękowałam mu za przysługi, które mi wyświadczył, drżałam, bąkałam nieskładnie, nie wiedziałam, jak zapewnić go o mojej wdzięczności. Moje zmieszanie, moje zakłopotanie, rozrzewnienie, mieszanina łez i radości, całe moje zachowanie było wymowniejsze od słów. Jego odpowiedź nie była bardziej składna niż moja; był równie wzruszony jak ja. Nie wiem, co mi mówił, ale rozumiałam, że będzie nad miarę wynagrodzony, jeśli złagodził srogość mojej doli, że będzie wspominał to, co zrobił, z jeszcze większą przyjemnością niż ja, że bardzo mu przykro, iż jego zajęcia, wiążące go z Pałacem Sprawiedliwości w Paryżu, nie pozwolą mu na częste odwiedzanie klasztoru w Arpajon, ale że spodziewa się, iż wielbny archidiakon i matka przełożona pozwolą mu dowiadywać się o moje zdrowie i położenie.

Archidiakon puścił to mimo uszu, ale przełożona odparła: „Ile razy pan zechce; ona będzie tu robiła, co jej się żywnie spodoba; postaramy się rozpedzić zgryzoty, jakich tam zaznała...”. A potem cicho do mnie: „Moje dziecko, tyś więc bardzo cierpiała? Ale jak te jędze z Longchamp miały odwagę maltretować cię? Znałam twoją przełożoną; byliśmy razem na pensji w

Port-Royal¹⁵, to była antypatia koleżanek. Będziemy miały czas widywać się: wszystko mi opowiesz...”. Mówiąc te słowa wzięła moją rękę i poklepywała ją swoją dłonią. Młodzi księża też wieszali mi. Było późno; pan Manouri pożegnał się z nami; archidiakon i jego towarzysze udali się do pana X, właściciela dóbr w Arpajon, gdzie byli zaproszeni, i pozostałam sama z przełożoną.

Ale nie na długo; wszystkie zakonnice, wszystkie nowicjuszki, wszystkie pensjonarki nadbiegły hurmem; w jednej chwili ujrzałam siebie wśród stu chyba osób. Nie wiedziałam, kogo słuchać i komu odpowiadać; widziałam najróżnorodniejsze twarze i słyszałam najprzeróżniejsze słowa; jednakże stwierdziłam, że i moje odpowiedzi, i moja osoba zrobiły dodatnie wrażenie.

Ta natrętna indagacja trwała pewien czas i kiedy pierwsza ciekawość została zaspokojona, ciżba się zmniejszyła, przełożona usunęła resztę i sama wprowadziła mnie do mojej celi. Robiła honory domu na swoją modłę: pokazywała mi oratorium i mówiła: „Tutaj, moje kochanie, będziesz się modliła do Boga, każę położyć poduszkę na tym stopniu, żeby twoim kolankom nie było twardo. Nie ma wody święconej w tej kropielnicy, ta siostra Dorota zawsze czegoś zapomni. Siądź na tym fotelu, zobacz, czy będzie ci na nim wygodnie...”. Mówiąc to posadziła mnie, oparła mi głowę o grzbiet fotela i pocałowała mnie w czoło. Potem podeszła do okna upewnić się, czy z łatwością podnosi się i opuszcza; do mego łóżka, gdzie rozsunęła i zsunęła zasłony, aby zobaczyć, czy dobrze się schodzą. Zbadała kołdrę: jest dobra. Wzięła poduszkę i wstrząsając ją mówiła: „Kochanej głowie będzie tu bardzo miękko, prześcieradła nie są cienkie, ale takie mamy w całym klasztorze; materace są dobre...”. Po tej lustracji podeszła do mnie, uściśniła mnie i wyszła. Podczas tej sceny myślałam sobie: „Cóż to za narwana osoba!” I spodziewałam się tutaj i dobrych, i złych dni.

Urządziłam się w swej celi; wzięłam udział w wieczornym nabożeństwie, w wieczery i w rekreacji, która potem nastąpiła. Kilka zakonnice zbliżyło się do mnie, inne odsunęły się; tamte liczyły na moją protekcję u przełożonej; te były już zaniepokojone szczególną sympatią, jaką mi okazywała.

Pierwsze chwile zeszły na wzajemnych komplementach, na pytaniach dotyczących klasztoru, który opuściłam, na badaniu mego charakteru, skłonności, gustów, mego umysłu; zostałam poddana wszelkiego rodzaju próbom; jest to szereg drobnych zasadzek, w które cię wpuścują, żeby z twego zachowania wyciągnąć właściwe wnioski. Na przykład, któraś rzuci oszczercze słówko i spogląda na ciebie, jak zareagujesz; inna zaczyna opowiadać jakąś historię i czeka, czy poprosisz o dalszy ciąg, czy też nie okażesz zainteresowania; jeżeli powiesz coś banalnego, uważa się to za bardzo miłe, chociaż dobrze wiadomo, że tak nie jest; chwałą cię lub ganią umyślnie, usiłują poznać twe najtajniejsze myśli, badają, co czytasz; proponują ci książki religijne i świeckie; zwracają baczną uwagę na twój wybór; namawiają cię do lekkich przekroczeń reguły klasztornej; robią ci zwierzenia, szepczą słówka o dziwactwach przełożonej; wszystko to jest skrętnie zbierane i powtarzane; to zostawiają cię w spokoju, to znowu zajmują się tobą, sondują twe opinie o obyczajach, o pobożności, o świecie, o religii, o życiu klasztornym, o wszystkim. Wynikiem tych ponawianych doświadczeń jest epitet, który ciebie charakteryzuje i który się dołącza jako przydomek do imienia, jakie nosisz; w ten sposób zostałam przezwana Zuzanną Powściągliwą.

Pierwszego wieczora odwiedziła mnie przełożona; przyszła, gdy się rozbierała przed spaniem; sama zdjęła mi kwef i welon i włożyła nocny czepeczek; sama mnie rozebrała. Obsypała mnie czułymi słówkami i pieszczotami, które mnie wprawiły w pewne zakłopotanie; nie wiem dlaczego, gdyż nic złego w tym nie widziałam, a ona również – nawet teraz, gdy się nad tym zastanawiam, nie wiem, co mogło być w tym nagannego? Jednakże powiedziałam to swemu spowiednikowi, a on potraktował te poufałości, które wydały mi się niewinne, i wydają mi się takie jeszcze teraz, w sposób bardzo poważny i zabronił mi surowo poddawać się

¹⁵ Port-Royal – klasztor żeński; w XVII i XVIII wieku był bazą jansenistów.

im nadal. Przełożona pocałowała mnie w szyję, w barki, w ramiona; pochwaliła moją kibić i pełne ciało i położyła mnie do łóżka; z obu stron otuliła kołdrą, pocałowała w oczy, zasunęła zasłony i odeszła. Zapomniałam panu powiedzieć, że przypuszczając, iż jestem zmęczona, pozwoliła mi leżeć w łóżku tak długo, jak będę chciała.

Skorzystałam z jej pozwolenia; to była, sądzą, jedyna dobra noc, jaką spędziłam w klasztorze; a przecież prawie nigdy go nie opuszczałam.

Nazajutrz, około dziewiątej usłyszałam ciche pukanie do drzwi; jeszcze leżałam w łóżku; odezwał się, ktoś wszedł. Była to zakonnica, która mi oświadczyła, z dość kwaśną miną, że jest późno i że matka przełożona wzywa mnie; wstałam, ubrałam się pośpiesznie i poszłam do niej. „Dzień dobry, moje dziecko – powiedziała mi. – Czyś dobrze spała? Oto kawa czeka na ciebie od godziny; myślę, że będzie dobra, pośpiesz się, a potem porozmawiamy...”. Mówiąc to rozpościerała na stole serwetkę, drugą założyła mnie, nalewała kawę i słodziła ją. Inne zakonnice robiły to samo odwiedzając się w celach. Podczas śniadania rozmawiała ze mną o moich nowych towarzyszkach, malowała mi je w kolorach zależnych od jej antypatii lub sympatii, była nader serdeczna, zadała mi setki pytań dotyczących klasztoru, który opuściłam, moich rodziców, przykrości jakich doznałam; chwaliła, ganiła według swego widzimisie, nie wysłuchiwała nigdy mojej odpowiedzi do końca. Nie oponowałam jej – moja umysłowość, moje sądy i moja dyskrecja przypadły jej do gustu.

Tymczasem weszła jedna zakonnica, potem druga, potem trzecia, czwarta, piąta; rozmawiano o ptakach matki przełożonej, któraś z zakonnice zaczęła mówić o nałogach jednej z sióstr, inna o śmiesznościach nieobecnych towarzyszek; zapanowała wesołość.

W kącie celi był szpinet; dotknęłam klawiatury dla rozrywki, gdyż mnie, nowoprzybyłej, nieznającej tych osób, z których sobie pokpiwano, te żarty nie bawiły zgoła, a nawet gdybym była bardziej wtajemniczona, nie bawiłoby mnie to więcej. Trzeba mieć wiele dowcipu, aby umiejętnie żartować, a przy tym któż nie ma jakiejś śmieszności? Wokoło rozlegały się śmiechy; ja brałam akordy i stopniowo ściągnęłam na siebie uwagę. Przełożona zbliżyła się do mnie i leciutko uderzając mnie po ramieniu powiedziała:

– No, siostrzo Zuzanno, baw nas; naprzód graj, a potem zaśpiewasz. – Zrobiłam to, co mi poleciła, zagrałam kilka kawałków, które umiałam na pamięć, potem improwizowałam trochę, a następnie zaśpiewałam kilka wersetów z psalmów Mondonville’a.

– To jest bardzo ładne – powiedziała przełożona – ale mamy świętości w kościele, ile nam się podoba; jesteśmy same, to są moje przyjaciółki i będą również twoimi, zaśpiewaj nam coś weselszego.

– Ale może ona niczego innego nie umie – wtrąciło się kilka zakonnice – jest zmęczona podróżą; trzeba ją oszczędzać; na pierwszy raz to będzie dosyć.

– Nie, nie – rzekła przełożona – ona akompaniuje sobie świetnie, ma najpiękniejszy głos na świecie (i rzeczywiście mam niebrzydki głos; jednak więcej w nim precyzji, słodczy i giętkości niż siły i skali), nie zwolnię jej, póki nie zaśpiewa nam czegoś innego.

Byłam nieco urażona słowami mniszek; odpowiedziałam przełożonej, że mój śpiew nie bawi już sióstr.

– Ale mnie jeszcze bawi.

Spodziewałam się tej odpowiedzi. Zaśpiewałam więc jedną piosenkę dość subtelną i wszystkie zakonnice klaskały, chwaliły mnie, ścisnęły, zasypywały pieścizotami, prosiły o drugą; nędzne, fałszywe wdzięczenie się podyktowane odpowiedzią przełożonej; nie było tu bodaj ani jednej, która nie pozbawiłaby mnie głosu i nie połamała palców, gdyby tylko mogła.

Te, które, być może, nigdy w życiu nie słyszały muzyki, ośmieliły się wydać o moim śpiewie sąd równie śmieszny jak nieprzyjemny, co nie podobało się przełożonej.

– Siedźcie cicho – powiedziała im – ona gra i śpiewa jak anioł i życzę sobie, żeby przy-

chodziła tu codziennie; kiedyś grałam trochę na klawesynie i chcę przy jej pomocy przypomnieć sobie to, co umiałam.

- O, proszę wielbnej matki – zawołałam – jeżeli się kiedyś umiało grać, nie zapomina się wszystkiego...

- Bardzo chętnie spróbuję, ustąp mi swego miejsca...

Zaczęła od przygrywek i zagrała rzeczy wariackie, dziwaczne, bezładne jak jej myśli, ale mimo wszystkich błędów wykonania zauważyłam, że ma rękę bez porównania lżejszą od mojej. Powiedziałam jej to, bo lubię chwalić i rzadko w życiu pominęłam okazję wyrażenia pochwały, gdy naprawdę było za co: to tak przyjemnie!

Mniszki ulotniły się jedna po drugiej i zostałam prawie sama z przełożoną. Rozmawiałyśmy o muzyce. Ona siedziała, ja stałam; ujmowała mnie za rękę i mówiła ściskając je:

- Ale prócz tego, że dobrze gra, ona ma najładniejsze w świecie dłonie; popatrz, siostrzo Tereso...

Siostra Teresa spuściła oczy, rumieniła się i coś bąkała; a przecie, czy miałam ładne palce, czy nie – czy przełożona miała rację, czy jej nie miała takie robiąc spostrzeżenie, co to mogło obchodzić tę siostrę? Przełożona objęła mnie w pół i powiedziała, że mam prześliczną kibić. Przyciągnęła mnie i posadziła sobie na kolanach, podnosiła mi głowę rękami i prosiła, żebym na nią patrzyła; chwaliła moje oczy, usta, policzki, cerę, nic nie odpowiadałam, oczy miałam spuszczone i przyzwalałam na te wszystkie karesy jak idiotka. Siostra Teresa była roztargniona, niespokojna, chodziła z kąta w kąt, dotykała bez żadnej potrzeby różnych przedmiotów, nie wiedziała, co z sobą robić, wyglądała przez okno, zdawało jej się, że ktoś puka do drzwi; przełożona powiedziała jej:

- Tereso, możesz wyjść, jeżeli się nudzisz.

- Nie nudzę się, wielbna matko.

- Ale ja chcę wypytać to dziecko o masę rzeczy.

- Wierzę.

- Chcę poznać całą jej historię; jakże mogę naprawić krzywdy, które jej wyrządzono, jeżeli są mi nie znane? Chcę, żeby mi o nich opowiedziała nic nie pomijając; jestem pewna, że będę miała serce rozdarte i będę płakała, ale mniejsza o to; Zuzanno, kiedy dowiem się wszystkiego?

- Kiedy wielbna matka rozkaże.

- Prosiłabym cię o to zaraz, jeśli czas pozwoli. Która godzina?

Siostra Teresa odpowiedziała:

- Proszę wielbnej matki, jest piąta i wnet zadzwonią na nieszpory.

- Mimo to niech jednak zacznie.

- Ale, wielbna matko, obiecałaś mi chwilę pocieszenia przed nieszporami. Mam myśli, które mnie niepokoją; pragnę otworzyć swe serce przed mamą. Jeżeli pójdę na nabożeństwo bez tej pociechy, nie będę się mogła modlić, będę roztargniona.

- Nie, nie – rzekła przełożona – zwariowałaś z tymi twoimi myślami. Założę się, że wiem, o co chodzi; pogadamy o tym jutro.

- Ach, droga matko! – zawołała siostra Teresa rzucając się do nóg przełożonej i zalewając się łzami – niech to będzie zaraz.

- Wielbna matko – rzekłam do przełożonej wstając z jej kolan, gdzie wciąż pozostawałam – udziel mojej siostrze tego, o co cię prosi; skróć jej cierpienia, ja wyjdę; będę miała zawsze czas zaspokoić zainteresowanie, które mi łaskawie okazujesz; a gdy wysłuchasz siostry Teresy, nie będzie dręczyła się więcej... – Zrobiłam ruch w kierunku drzwi, żeby wyjść; przełożona zatrzymała mnie jedną ręką, siostra Teresa, na klęczkach, pochwyciła jej drugą rękę, całowała ją i płakała, a przełożona mówiła:

- Doprawdy, Tereso, jesteś nieznośna z twymi niepokojami; powiedziałam ci już, to mi się nie podoba, to mnie krępuje; nie chcę się krępować.

– Wiem, ale nie panuję nad swymi uczuciami; chciałabym, lecz nie potrafię...

Jednak wyszłam i zostawiłam z przełożoną młodą siostrę. Nie mogłam się powstrzymać od patrzenia na nią w kościele; jej twarz nosiła jeszcze ślady przygnębienia i smutku; oczy nasze spotkały się kilka razy i wydało mi się, że z trudem wytrzymywała mój wzrok. Co do przełożonej, ta zdrzemnęła się w swej stalli.

XIV

Z nabożeństwem załatwiono się w mgnieniu oka: prezbiterium nie było w tym klasztorze – takie odniosłam wrażenie – miejscem, gdzie najchętniej przebywano. Zakonnice wyszły stamtąd z szybkością i szczebiotem stada ptaków wylatującego z ptaszarni; rozproszyły się grupami, biegnąc, śmiejąc się i paplając; przełożona zamknęła się w celi, a siostra Teresa zatrzymała się przy swoich drzwiach śledząc mnie, jakby ciekawa, dokąd pójde. Wróciłam do siebie, a drzwi celi siostry Teresy zamknęły się dopiero po pewnym czasie i zamknęły się cicho. Przyszło mi na myśl, że ta młoda dziewczyna jest zazdrosna o mnie i że boi się, bym jej nie wydarła miejsca, jakie zajmowała, dzięki zażyłym stosunkom, w sercu przełożonej. Obserwowałam ją przez kilka dni z rzędu i kiedy dostatecznie się upewniłam w moich podejrzeniach widząc jej dąsy, niedorzeczne obawy, uporczywość, z jaką starała się tropić moje kroki, badać mnie nieustannie, wkręcać się między przełożoną a mnie, przeszkadzać nam w rozmowach, obniżać moje zalety i podkreślać wady, a bardziej jeszcze widząc jej bladość, ból, łzy, zakłócenie równowagi fizycznej, a nawet umysłowej, poszłam do mej i zapytałam ją:

– Moja droga, co ci jest?

Nie odpowiedziała; moje odwiedziny zaskoczyły ją i wprawiły w zakłopotanie; nie wiedziała ani co mówić, ani co robić.

– Nie oddajesz mi w należytej mierze sprawiedliwości, mów ze mną szczerze, obawiasz się, żebym nie nadużyła sympatii, jaką przełożona ma dla mnie, żebym nie wyrugowała cię z jej serca. Uspokój się, to nie leży w moim charakterze: gdybym kiedykolwiek miała szczęście uzyskać na nią jakiś wpływ...

– Uzyskasz wszystko, co zechcesz: ona cię kocha, zachowuje się względem ciebie akurat tak samo, jak względem mnie w początkach.

– A więc bądź pewna, że zaufania, jakim mnie obdarzy, użyję tylko na to, aby ciebie czulej kochała.

– Czyż to od ciebie będzie zależało?

– A czemuż by nie miało ode mnie zależeć?

Zamiast odpowiedzi rzuciła mi się na szyję i powiedziała z westchnieniem:

– To nie twoja wina, wiem o tym dobrze, mówię to sobie co chwila, ale przyrzeknij mi...

– Co ci mam przyrzec?

– Że...

– Dokończ, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy.

Zawahała się, zasłoniła sobie oczy dłońmi i rzekła głosem tak cichym, że ledwie dosłyszałam jej słowa:

– Że będziesz ją widywać jak najrzadziej...

To żądanie wydało mi się tak dziwne, że nie mogłam się powstrzymać od następującej odpowiedzi:

– A cóż cię obchodzi, czy będę widywała często czy rzadko naszą przełożoną? Nie mam nic przeciw temu, żebyś ją widywała ciągle. Nie powinnaś i ty mieć mi za złe, gdy będę postępować tak samo; czyż nie wystarczy ci moje zapewnienie, że nie będę ci szkodziła u niej, ani tobie, ani nikomu?

Odpowiedziała mi tylko tymi słowami, które wyrzekła tonem bolesnym odsuwając się ode mnie i rzucając się na łóżko:

– Jestem zgubiona!

– Zgubiona! A to dlaczego? Musisz mnie chyba uważać za najgorszą na świecie istotę!

W owej chwili weszła przełożona. Poprzednio wstąpiła do mojej celi; nie znalazłszy mnie tam, przebiegła daremnie niemal cały klasztor; nie przyszło jej do głowy, że jestem u siostry Teresy. Gdy dowiedziała się o tym od zakonnicy, które rozesłała na poszukiwanie, przybiegła. Spojrzenie jej i wyraz twarzy zdradzały pewien niepokój, ale tak rzadko bywała ona w zgodzie z samą sobą! Siostra Teresa milczała siedząc na łóżku, ja stałam. Zwróciłam się do przełożonej:

– Moja droga matko, proszę, wybaczyć, że przyszedłam tutaj bez twego pozwolenia.

– To prawda – odparła – że byłoby lepiej poprosić o pozwolenie.

– Ale ta droga siostra wzbudziła we mnie współczucie; widziałam, że była stroskana.

– Czym?

– Mam ci powiedzieć?... Dlaczego nie miałabym ci powiedzieć? Jest to drażliwość, która przynosi tyle zaszczytu jej duszy i tak żywo świadczy, matko, o jej przywiązaniu do ciebie. Dowody dobroci, które mi dałaś, zaniepokoiły ją, zlekkała się, żebym nie otrzymała w twoim sercu pierwszeństwa; to uczucie zazdrości, tak uzasadnione zresztą, tak naturalne i tak po-chlebne dla ciebie, droga matko, stało się, jak mi się wydaje, przyczyną okrutnego bólu dla mej siostry; starałam się ją uspokoić.

Przełożona, wysłuchawszy mnie, przybrała minę surową i wyniosłą i powiedziała:

– Sostro Tereso, kochałam cię i Kocham cię jeszcze; nie mam powodu skarżyć się na ciebie, i ty nie będziesz miała powodu skarżyć się na mnie, ale nie mogę znieść tych pretensji do wyłączności. Pozbądź się ich, jeżeli boisz się, że wygaśnie w moim sercu resztką przywiązania do ciebie i jeżeli przypominasz sobie los siostry Agaty... – Po czym, obracając się w moją stronę, powiedziała: – To ta wysoka brunetka, którą widzisz w prezbiterium na wprost mnie. (Udzielałam się tak mało, od tak niedawna przebywałam w tym klasztorze, byłam tutaj taka nowa, że nie znałam jeszcze wszystkich imion moich towarzyszek). – Dodała: – Kochałam ją; gdy siostra Teresa wstąpiła tutaj i gdy zaczęłam ją miłować, Agata odczuwała te same niepokoję; popełniała te same szaleństwa; uprzedziłam ją; bynajmniej się nie poprawiła i byłam zmuszona przez dłuższy czas stosować surowe środki, co jest zdecydowanie sprzeczne z moim charakterem; bo one wszystkie powiedzą ci, że jestem dobra i że zawsze karzę niechętnie. – Następnie zwróciła się znów do Teresy:

– Moje dziecko, nie chcę być skępowana, jużem ci powiedziała; znasz mnie, nie zmuszaj mnie, bym postępowała wbrew swej naturze... – Potem opierając się jedną ręką na moim ramieniu powiedziała: – Chodź, Zuzanno, odprowadzisz mnie.

Wyszłyśmy. Siostra Teresa chciała iść za nami, lecz przełożona odwracając niedbale głowę ponad moim ramieniem rzuciła jej despotycznym tonem:

– Wracaj do swojej celi i nie wychodź, póki ci nie pozwolę...

Siostra Teresa usłuchała, zatrzasnęła za sobą drzwi i w uniesieniu rzucała jakieś słowa, na które przełożona się wzdrygnęła; nie wiem dlaczego, bo one nie miały sensu. Widząc, że jest zagniewana, odezwałam się:

– Droga matko, jeżeli masz dla mnie jakieś względy, przebaczyć siostrze Teresie; straciła głowę, nie wie, co mówi, nie wie, co robi.

– Żeby jej przebaczyła? Bardzo chętnie; ale co mi za to dasz?

– Ach, droga matko, czyż miałabym szczęście posiadania czegoś, co mogłoby ci się podobać i uspokoić cię?

Spuściła oczy, poczerwieniała i westchnęła; doprawdy zachowywała się jak kochanek. Potem osuwając się bezwładnie na mnie, jak gdyby mdlała, powiedziała mi:

– Zbliź czoło, abym je mogła ucałować... Nachyliłam się, a ona pocałowała mnie w czoło. Od tej pory, skoro tylko która z zakonnice popełniła jakąś winę, wstawiałam się za nią i byłam pewna, że uzyskam dla niej przebaczenie za cenę jakiegoś niewinnego faworu; był to zawsze pocałunek bądź w czoło, bądź w szyję, oczy, policzki, usta, w rękę lub w pierś czy ramiona, ale najczęściej w usta. Przełożona uważała, że mam czysty oddech, białe zęby, a usta świeże i różowe. Doprawdy, byłabym bardzo piękna, gdybym zasługiwała bodaj na cząstkę pochwał, którymi mnie obsypywała: moje czoło było według niej białe, gładkie i ślicznego kształtu, moje oczy nieciły blask, policzki były rumiane i delikatne w dotknięciu; ręce małe i pulchne; pierś miała twardość kamienia i cudny kształt; co do ramion – nie sposób było posiadać lepiej utoczone i okrągłejsze; żadna z sióstr nie miała piękniej ukształtowanej szyi o linii równie wytwornej i niespotykanej, bo ja wiem, co ona mi jeszcze mówiła! Oczywiście było coś z prawdy w tych pochwałach; wiele z nich uważałam za przesadne, ale nie wszystkie. Czasami obrzucając mnie spojrzeniem od stóp do głów z lubością, jakiej nigdy nie widziałam u żadnej innej kobiety, mówiła mi: „Nie, to największe szczęście, że Bóg powołał ją do klasztoru; w świecie z taką powierzchownością skazałaby na wieczne potępienie tylu mężczyzn, ilu by ją ujrzało, i potępiłaby siebie razem z nimi. Bóg czyni dobrze wszystko, co czyni.”

Tymczasem zbliżałyśmy się do jej celi: zamierzałam pożegnać ją, ale wzięła mnie za rękę i powiedziała:

– Jest już za późno, abyś zaczęła mi opowiadać o swoich przeżyciach u Panny Marii w Longchamp; ale wejdź, dasz mi małą lekcję gry na klawesynie. – za nią. Natychmiast otworzyła instrument, przygotowała nuty, przysunęła krzesło; gdyż była bardzo żywa. Usiadłam. Przyszło jej do głowy, że może mi być chłodno; zdjęła z któregoś krzesła poduszkę, położyła ją przede mną, schyliła się, ujęła w rękę moje stopy i postawiła je na poduszce; następnie stanęła za krzesłem i oparła się o nie. Z początku brałam akordy, potem zagrałam kilka rzeczy Couperina, Rameau i Scarlattiego; w trakcie gry przełożona uchyliła rąbek mej bielizny przy szyi, ręka jej spoczęła na moim nagim ramieniu, a końce palców na mej piersi. Wzdychała przy tym, zdawało się, że jej brak tchu, oddychała z trudem; dłoń, oparta na moim ramieniu, z początku ścisnęła je mocno, a potem zupełnie zwolniła uścisk, jakby bez siły i życia, a głowa jej pochyliła się na moją. Naprawdę, ta szalona istota miała niewiarygodną pobudliwość i zarazem wielkie zamiłowanie do muzyki; nie znałam nigdy osoby, na której muzyka wywierała tak osobliwe wrażenie.

Spędzałyśmy czas w ten sposób, równie prosty jak miły, gdy raptem drzwi rozwarły się na oścież; przelęknąłam się, przełożona również: była to ta dziwaczka Teresa; ubranie miała w nieładzie, oczy błędne; toczyła po nas obu szczególnie badawczym wzrokiem; wargi jej drżały, nie mogła mówić. Po chwili przyszła do siebie i padła do nóg przełożonej; dołączyłam się do prośby siostry Teresy i raz jeszcze uzyskałam dla niej przebaczenie; lecz przełożona zapewniła ją w sposób najbardziej stanowczy, że darowuje jej ostatni raz, przynajmniej jeśli chodzi o winy tego rodzaju; wyszłyśmy razem z Teresą. Gdy wracałyśmy do naszych cel, powiedziałam jej:

– Droga siostrze, strzeż się, źle usposobisz do siebie naszą matkę; nie porzucę cię, ale użyjesz mój kredyt u niej i będę niepokieszona, że nic już nie będę mogła zrobić ani dla ciebie, ani dla żadnej innej. Ale co ty właściwie sobie myślisz?

Żadnej odpowiedzi.

– Czego się z mej strony obawiasz?

Żadnej odpowiedzi.

– Czy nasza matka nie może kochać jednakowo nas obu?
– Nie, nie! – zawołała gwałtownie – to niemożliwe; niebawem poczuje do mnie odrazę i umrę z bólu. Ach! po coś się tu zjawiała? Nie będziesz długo szczęśliwa, jestem tego pewna; a ja będę nieszczęśliwa na zawsze.

– Tak – powiedziałam – wiem, że to jest wielkie nieszczęście stracić życzliwość swej przełożonej, ale znam większe: zasłużyć na to; a ty nie masz sobie nic do wyrzucenia.

– Ach! dałby Bóg.

– Jeżeli sama oskarżasz siebie o jakiś błąd, należy go naprawić, a najpewniejszym środkiem jest znosić cierpliwie wynikające z tego błędu cierpienie.

– Nie potrafię, nie potrafię; poza tym, czyż to jej rzecz karać mnie za ten błąd!

– Jej, siostrzo Tereso, jej! czyż w ten sposób mówi się o swej przełożonej? To niedobrze, zapominasz się. Jestem pewna, że ten właśnie błąd jest większy niż jakikolwiek z tych, które sobie wyrzucasz.

– Ach! dałby Bóg! – powtórzyła raz jeszcze – dałby Bóg!.. – i rozstałyśmy się; ona, aby rozpaczać w swojej celi, a ja, aby rozmyślać u siebie o dziwaczności umysłów kobiecych.

Oto skutek odosobnienia. Człowiek stworzony jest do życia w społeczeństwie; odłączcie go, izolujcie, jego pojęcia się rozpręgają, charakter się spaczy, mnóstwo śmiesznych upodobań zrodzi mu się w sercu; dziwaczne myśli zakiełkują w jego umyśle, niby ciernie na ugorze. Umieście człowieka w puszczy, zdziczeje tam; w klasztorze, gdzie pojęcie konieczności kojarzy się z pojęciem niewoli, jest jeszcze gorzej. Z puszczy się wychodzi, nie wychodzi się już z klasztoru; w puszczy jest się wolnym, w klasztorze jest się niewolnikiem. Być może potrzeba jeszcze większej siły ducha, by znieść samotność, niż nędzę; nędza upadła, życie w odosobnieniu deprawuje. Czy lepiej żyć w upodleniu, czy w obłędzie? Nie śmiem tego rozstrzygać; ale trzeba unikać jednego i drugiego.

Widziałam, jak z każdym dniem rośnie czułość, która zrodziła się w przełożonej w stosunku do mnie. Przebywałam nieustannie w jej celi albo ona w mojej; przy najmniejszej niedyspozycji posyłała mnie do infirmerii, zwalniała z nabożeństw, kazała wcześniej kłaść się spać lub zabraniała mi brać udział w modłach porannych. W prezbiterium, w refektarzu, podczas rekreacji znajdowała sposób dawania mi dowodów przyjaźni: w prezbiterium, gdy trafił się werset zawierający jakieś tkliwe uczucie, śpiewała go pod moim adresem lub patrzyła na mnie wymownie, gdy był śpiewany przez inną zakonnicę; w refektarzu posyłała mi zawsze jakiś smakołyk z dań które przed nią stawiano; podczas rekreacji obejmowała mnie w pół, mówiła mi rzeczy najmiłsze i najlaskawsze; każdy otrzymany podarunek dzieliła ze mną: czekoladę, cukier, kawę, likiery, tytoń, bieliznę, chustki, cokolwiek by to było; aby ozdobić moją celę, przynosiła od siebie sztychy, przybory, meble i mnóstwo przedmiotów miłych lub służących do wygody; nie mogłam wprost wyjść na chwilę, żeby za powrotem nie znaleźć jakiegoś nowego prezentu. Szłam do niej podziękować i trudno wyrazić radość, jaką to jej sprawiało: ścisła mnie, pieściła, brała na kolana, rozmawiała ze mną o najtajniejszych sprawach klasztoru i obiecywała sobie, gdybym ją pokochała, życie stokroć szczęśliwsze od tego, jakie mogłaby pędzić w świecie. Potem milkła, patrzyła na mnie rozczulonym wzrokiem i pytała:

– Siostrzo Zuzanno, kochasz mnie?

– Jakże mogłabym nie kochać? Musiałabym mieć duszę bardzo niewdzięczną.

– To prawda.

– Masz, matko, tyle dobroci.

– Powiedz, upodobania w tobie...

Przy tych słowach spuściła oczy; ręka, którą mnie obejmowała, ścisnęła mnie mocniej; ta, którą oparła o moje kolano, naciskała silniej; przyciągała mnie do siebie, moja twarz znalazła się tuż przy jej twarzy, wzdychała, osuwała się na krześle, drżała; rzekłby kto, miała mi coś do zwierzenia i nie śmiała tego wyrazić; rozplakała się, a potem powiedziała mi:

- Ach! Siostró Zuzanno, ty mnie nie kochasz!
- Nie kocham cię, droga matko?
- Nie.
- Więc powiedz mi, co mam zrobić, aby ci tego dowieść.
- Musisz się tego domyślić. Szukam w głowie, ale nie mogę zgadnąć.

Tymczasem ona rozchyliła bieliznę przy szyi i położyła sobie moją rękę na piersi; milczała, ja również; zdawała się doznawać wielkiej przyjemności. Prosiła mnie, bym pocałowała ją w czoło, w policzki, w oczy i w usta – spełniłam jej prośbę; nie sądzę, żeby w tym było coś złego; tymczasem jej rozkosz rosła, a ponieważ rada byłam powiększyć w sposób niewinny jej szczęście, jeszcze pocałowałam ją w czoło, w policzki, w oczy i w usta. Ręką, którą mi położyła na kolanie, wędrowała po całym moim ubraniu, od palców u nóg aż do pasa, ścisnęła mnie to w jednym miejscu, to w drugim; jękając się, głosem zmienionym i głuchym zachęcała mnie, abym pieściła ją jeszcze goręcej; robiłam to; wreszcie przyszła chwila, nie wiem, czy spowodowała to rozkosz, czy cierpienie, że stała się biała jak śmierć; zamknęła oczy, całe ciało wyprężyło się jej gwałtownie, zacisnęła wargi, zwilżone jakby lekką pianą; potem usta jej się rozchyliły i wydało mi się, że umiera wydając głębokie westchnienie. Zerwałam się na równe nogi, myślałam, że zemdlą, chciałam wyjść, kogoś zawołać. Uchyliła powiek i powiedziała mi zagasłym głosem: „Niewiniątko! to nic; co chcesz zrobić? wstrzymaj się...”. Patrzyłam na nią, ogłupiała, w niepewności, czy mam zostać, czy wyjść. Znowu otworzyła oczy; nie mogła zupełnie mówić; dała mi znak, żebym podeszła i usiadła z powrotem na jej kolanach. Nie wiem, co się ze mną działo; bałam się czegoś, drżałam, serce mi biło, nie mogłam złapać tchu, czułam się zmieszana, oszołomiona, niespokojna, wystraszona – zdawało mi się, że siły mnie opuszczają i zemdleję; jednak nie mogę powiedzieć, że doznawałam uczucia przykrości. Podeszłam do niej, znowu dała mi ręką znak, bym jej usiadła na kolanach, usiadłam. Była jak nieżywa, a mnie zdawało się, że umieram.

Dość długo siedziałyśmy obie w tym osobliwym stanie. Gdyby jakaś zakonnica nadeszła, naprawdę bardzo by się przestraszyła; wyobraziłaby sobie, że zemdlaliśmy lub że śpimy. Tymczasem ta dobra przełożona – bo niemożliwe jest być tak wrażliwą i nie być dobrą – jakby przyszła do siebie. Spoczywała wciąż bezwładnie na krześle; oczy miała wciąż zamknięte, ale na twarz powróciły jej żywe rumieńce; wzięła moją rękę i całowała ją, a ja powiedziałam jej:

– Ach! droga matko, napędziłaś mi wielkiego strachu... – Uśmiechnęła się łagodnie, nie otwierając oczów. – Ale czy nie cierpiałaś?

- Nie.
- Myślałam, że cierpisz.
- Niewiniątko! ach, drogie niewiniątko! jakże ona mi się podoba!...

Z tymi słowami podniosła się, poprawiła się na krześle, objęła mnie w pół i pocałowała w policzki bardzo mocno, po czym powiedziała:

- Ile ty masz lat?
- Niedługo kończę dwadzieścia.
- To nie do pojęcia!
- Droga matko, to prawda.
- Chcę znać całe twoje życie; opowiesz mi je?
- Tak, droga matko.
- Całe?
- Całe.
- Ale może ktoś nadejść; siadajmy do klawesynu, dasz mi lekcję...

Podeszłyśmy do instrumentu, ale nie wiem, co się ze mną stało: ręce mi drżały, nuty przedstawiały mi się jako bezładna masa czarnych znaków; w żaden sposób nie mogłam grać. Po-

wiedziała to przełożonej, zaczęła się śmiać; zajęła moje miejsce, ale było jeszcze gorzej, ledwie mogła utrzymać ręce nad klawiaturą.

– Moje dziecko – powiedziała mi – widzę, że ani ty nie jesteś w stanie uczyć mnie, ani ja z twych nauk korzystać; jestem trochę zmęczona, muszę odpocząć, do widzenia. Jutro, nie zwlekając więcej, chcę wiedzieć wszystko, co się działo w tej drogiej duszyczce; do widzenia...

Kiedy indziej, gdy wychodziłam, odprowadzała mnie do samych drzwi, a wzrok jej towarzyszył mi przez całą długość korytarza aż do mojej celi; posyłała mi ręką całusy i wracała dopiero wtedy, gdy weszłam do siebie; tym razem z trudem dźwignęła się z krzesła; mogła zaledwie dojść do fotela stojącego przy łóżku; usiadła, zwiesiła głowę na poduszkę, posłała mi ręką całusa; oczy jej się zamknęły, ja zaś wyszłam.

XV

Moja cela znajdowała się prawie naprzeciw celi Teresy; jej była otwarta; Teresa czekała na mnie, zatrzymała mnie i powiedziała:

– Ach, Zuzanno, wracasz od naszej drogiej matki?

– Tak – rzekłam.

– Siedziałas tam tak długo.

– Tyle czasu, ile ona chciała.

– Nie to mi przyrzekałaś.

– Nic ci nie przyrzekałam.

– Odważysz się powiedzieć mi, coś tam robiła?...

Chociaż sumienie nic mi nie wyrzucało, jednak przyznam się panu, panie markizie, że to pytanie wprawilo mnie w zakłopotanie; ona to zauważyła i zaczęła nalegać, odpowiedziałam jej więc:

– Droga siostró, być może nie uwierzysz mi; ale może uwierzysz naszej drogiej matce, poproszę ją, żeby cię o tym poinformowała.

– Moja droga Zuzanno – rzekła żywo – niech Bóg broni! nie chcesz mnie przecie unieszczęśliwić; nigdy by mi tego nie przebaczyła; nie znasz jej; ona jest zdolna przejść od największej czułości do okrucieństwa; nie wiem, co by się ze mną stało. Przyrzeknij mi, że jej nie powiesz.

– Chcesz tego?

– Proszę cię o to na kolanach. Jestem zrozpaczona, widzę dobrze, że trzeba się zdecydować; zdecyduję się. Przyrzeknij mi, że nic jej nie powiesz...

Podniosłam ją, dałam jej słowo, liczyła na nie i miała słuszność; zamknęłyśmy się, ona w swojej celi, ja w swojej.

Powróciwszy do siebie wpadłam w zamyślenie; chciałam się modlić i nie mogłam; starałam się czymś zająć, zaczęłam pewną robótkę, porzuciłam ją dla innej, potem odłożyłam ją dla jeszcze innej; moje ręce same się zatrzymywały i byłam jakaś ogłupiała; nigdy nie doświadczyłam czegoś podobnego. Oczy mi się same zamknęły; zdrzemnęłam się, chociaż nigdy nie śpię w dzień. Po zbudzeniu się zapytywałam samej siebie, co to właściwie zaszło między mną a przełożoną, badałam siebie; coś mi zamajaczyło, gdy jeszcze usiłowałam się wybadać... ale to były myśli tak mgliste, takie wariackie, takie śmieszne, że odrzuciłam je precz.

Wynik moich rozważań był taki, że to jest, być może, choroba, której ona podlega; potem przysłała mi inna refleksja, że ta choroba jest zaraźliwa, że Teresa się nią zaraziła i że ja zarazę się nią również.

Nazajutrz po jutrzni nasza przełożona powiedziała mi: „Zuzanno, mam nadzieję, że dziś dowiem się wszystkiego, co ci się przytrafiło; przyjdź...”. Udałam się do niej. Posadziła mnie w swym fotelu obok łóżka, a sama usiadła na krześle trochę niższym; górowałam nieco nad nią, bo jestem wyższa i siedziałam wyżej. Była tak blisko mnie, że swymi kolanami obejmowała moje kolana, łokciami zaś wsparła się o łóżko. Po krótkiej chwili milczenia powiedziałam:

– Chociaż jestem bardzo młoda, miałam dużo strapień; niebawem minie dwadzieścia lat, jak żyję na świecie i dwadzieścia lat cierpię. Nie wiem, czy będę mogła wszystko ci powiedzieć i czy będziesz miała ochotę tego słuchać: udreki u rodziców, udreki w klasztorze Panny Marii, udreki w klasztorze w Longchamp, udreki wszędzie; droga matko, od czego mam zacząć?

– Zaczynj od przeżyć, jakie miałas w domu rodziców.

– Ale – rzekłam – to będzie, droga matko, bardzo długie i bardzo smutne i nie chciałabym zasmucać cię tak długo.

– Nic się nie bój, lubię płakać: wylewanie łez to błogi stan dla duszy tkliwej. Powinnaś także lubić płakać; ty otrzesz moje łzy, a ja otrę twoje i może będziemy szczęśliwe podczas opowieści o twoich cierpieniach. Kto wie, dokąd rozczulenie może nas zaprowadzić?... – i wymawiając ostatnie słowa popatrzyła na mnie z dołu do góry już wilgotnymi oczami; ujęła moje ręce, przysunęła się do mnie jeszcze bliżej, tak że dotykałyśmy się wzajemnie. – Opowiadaj, moje dziecko – powiedziała – czekam, pilno mi rozczulić się, jestem w odpowiednim nastroju; jak żyję, nie miałam dnia, w którym skłonna byłabym okazać więcej współczucia i serdeczności...

Zaczełam więc swoją opowieść mniej więcej tak, jak panu ją przedstawiłam. Nie potrafię panu powiedzieć, jakie wrażenie zrobiło to na niej: wzdychała, płakała, oburzała się na moich bezwzględnych rodziców, na okropne mniszki u Panny Marii i w Longchamp; byłoby mi bardzo przykro, gdyby je spotkała bodaj cząstka tego zła, jakiego im życzyła; nie chciałabym wyrwać jednego włosa z głowy mojemu najokrutniejszemu wrogowi. Od czasu do czasu przezywała mi; wstawała, chodziła, potem siadała z powrotem na swoim miejscu; to znów wznosiła oczy i ręce ku niebu i kryła głowę między moje kolana. Gdy mówiłam jej o scenie z lochem, o wypędzaniu ze mnie złego ducha, o mojej pokucie kościelnej – prawie że krzyczała; po skończeniu opowiadania umilkłam, a ona jakiś czas trwała pochylona całym ciałem nad łóżkiem, z twarzą schowaną w kołdrze i z ramionami rozpostartymi nad głową; powiedziałam wówczas:

– Droga matko, wybacz mi przykrość, jaką ci sprawiłam; uprzedziłam cię, ale to ty chciałaś, żeby ci opowiedzieć...

Odparła mi na to tyle tylko:

– O, co za złe istoty! Co za okropne istoty! Tylko w klasztorach uczucia ludzkie mogą wygasnąć do tego stopnia. Gdy nienawiść połączy się ze zwykłym tam złym humorem, nigdy nie wiadomo, do czego to może doprowadzić. Na szczęście jestem z natury łagodna; kocham wszystkie moje mniszki; przejęły one, jedne więcej, drugie mniej, coś z mego charakteru i wszystkie kochają się wzajem. Ale jak to słabe zdrowie mogło znieść tyle katuszy? Jak te wszystkie członeczki wytrzymały je? Jak ten cały delikatny organizm nie został zniszczony? Jak blask oczów nie zgasł we łzach? Okrutnice! Ścisnąć sznurami te ręce!... – brała moje ręce i całowała je. – Topić we łzach te oczy!... – i całowała je. – Wydzierać skargi i jęki z tych ust! – i całowała je. – Skazywać tę uroczą i pogodną twarz na nieustanne zasnuwanie się chmurami smutku!... – i całowała ją. – Pozbawiać świeżości róże tych policzków... – głaskała je i całowała. – Szpeciść tę głowę! wyrwać te włosy! obarczać to czoło troskami!... – i całowała

mnie w głowę, czoło, włosy. – Mieć odwagę opasywać tę szyję powrozem i drzeć te barki kańczugiem!... – i odsłaniała mi głowę i szyję; rozchyłała w górze moją suknię; rozsypane włosy spadały mi na nagie ramiona; piersi miałam na wpół obnażone, a ona obsypywała pocałunkami mą szyję, ramiona i piersi. Spostrzegłam wtedy po drzeniu, które ją ogarniało, po jej wzburzonej mowie, po błędnym wyrazie oczów i niespokojnych ruchach rąk, po wciskaniu się jej kolan między moje i po gwałtownym oplataniu mnie ramionami, że jej choroba lada chwila znowu ją napadnie. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje; ogarnął mnie strach, drzenie i słabość, które potwierdziły moje podejrzenie, że jej choroba jest zaraźliwa. Powiedziałam:

– Droga matko, popatrz, coś ze mną uczyniła! gdyby ktoś wszedł...

– Zostań, zostań – rzekła zdławionym głosem – nikt nie wejdzie...

Jednakże usiłowałam wstać i oderwać się od niej i mówiłam:

– Droga matko, uważaj, twoja choroba znów cię napadnie. Pozwól, że odejdę...

Chciałam odejść; chciałam, to pewne, ale nie mogłam. Nie czułam się na siłach; nogi ugiwały się pode mną. Ona siedziała, ja stałam, ona przyciągała mnie do siebie; bałam się, że upadnę na nią i zrobię jej krzywdę; siadłam na brzegu łóżka i powiedziałam jej: – Droga matko, nie wiem, co mi jest, niedobrze mi.

– Mnie też – rzekła – ale odpocznij chwilę, to przejdzie, to nic...

Istotnie moja przełożona uspokoiła się i ja również. Byłyśmy obie przygnębione; ja pochylałam głowę na jej poduszkę; ona położyła głowę na moim kolanie, a czoło oparła o moją dłoń! Kilka chwil trwałyśmy tak; nie wiem, co ona myślała; co do mnie, nie myślałam o niczym, nie mogłam myśleć, byłam cała bardzo osłabiona. Milczałyśmy; przełożona pierwsza przerwała to milczenie:

– Zuzanno, z tego, coś mi powiedziała o swej pierwszej przełożonej, wydało mi się, że była ci bardzo droga.

– Bardzo.

– Nie kochała cię bardziej ode mnie, ale była bardziej kochana... Nie odpowiadasz mi?

– Byłam nieszczęśliwa, ona łagodziła moje cierpienia.

– Ale skąd się bierze twoja odraza do życia zakonnego? Zuzanno, tyś mi nie wszystko powiedziała.

– Wybacz mi, wielebna matko.

– To niemożliwe, aby tobie, tak miłej, bo, moje dziecko, bardzo jesteś miła, nawet nie wiesz, jak bardzo, nikt tego nie powiedział.

– Powiedziano mi to.

– A ten, który ci to mówił, podobał ci się?

– Owszem.

– I zakochałaś się w nim?

– Ani trochę.

– Jak to! twoje serce nic nigdy nie czuło?

– Nic.

– A więc to nie namiętność, skryta lub nie po myśli twych rodziców, zrodziła w tobie wstręt do klasztoru? Wyznaj mi; jestem wyrozumiała.

– Nie mam ci, droga matko, nic do wyznania w tej materii.

– Pytam raz jeszcze, skąd bierze się u ciebie twój wstręt do życia zakonnego?

– Z samego tego życia. Nienawidzę jego obowiązków, zajęć, odosobnienia od świata, przymusu; wydaje mi się, że jestem powołana do czego innego.

– Ale z czego to wnosisz?

– Z nudy, która mnie gnębi; nudzę się.

– Nawet tutaj?

– Tak, droga matko, nawet tutaj, pomimo całej twej dobroci dla mnie.

– Ale czy nie doznajesz jakichś porywów, pragnień?

- Żadnego.
- Tak sędzę; wydajesz mi się dziewczyną o charakterze spokojnym.
- Dość spokojnym.
- Nawet zimnym.
- Nie wiem.
- Nie znasz świata?
- Znam go mało.
- Jakież więc powab może mieć świat dla ciebie?
- Tego sobie dobrze nie wyjaśniłam; ale musi jednak mieć dla mnie jakiś powab.
- Czy żałujesz wolności?
- Tak, i może jeszcze wielu innych rzeczy.
- A te inne rzeczy, co to jest? Moja droga, otwórz przede mną serce: chciałabyś wyjść za mąż?
- Wolałabym to, niż być tym, czym jestem; to pewne.
- Dlaczego wolałabyś?
- Nie wiem.
- Nie wiesz?... A powiedz mi, jakie na tobie robi wrażenie obecność mężczyzny?
- Żadnego: jeżeli jest dowcipny i dobrze mówi, słucham go z przyjemnością; jeżeli jest piękny, zauważę to.
- I twoje serce jest spokojne?
- Dotychczas nie doznało wzruszenia.
- Jak to! gdy mężczyźni wpatrywali się gorąco w twoje oczy, nie odczuwałaś...
- Czasami zakłopotanie; zmuszali mnie do spuszczenia powiek.
- I nie budziło to w tobie niepokoju?
- Żadnego.
- A twoje zmysły nic ci nie mówiły?
- Nie wiem, co to jest mowa zmysłów.
- A jednak mają one swoją mowę.
- To możliwe.
- I ty jej nie znasz?
- Zupełnie.
- Jak to... To mowa bardzo słodka, chciałabyś ją poznać?
- Nie, droga matko: co by mi z tego przyszło?
- Rozproszyłoby to twoją nudę.
- A może by ją powiększyło. A poza tym, co znaczy ta mowa zmysłów bez właściwego przedmiotu?
- Mówi się zawsze do kogoś; to niewątpliwie lepsze niż rozmawiać ze sobą, chociaż i to także ma swój urok.
- Nie znam się na tym.
- Gdybyś chciała, drogie dziecko, wyłożyłabym ci to jaśniej.
- Nie, droga matko, nie. Nie wiem nic i wolę raczej nic nie wiedzieć aniżeli nabyć wiadomości, które uczyniłyby mnie może bardziej godną pożałowania, niż jestem. Nie mam żadnych pragnień i nie chcę wcale szukać takich, których bym nie mogła zaspokoić.
- A czemuż nie mogłabyś ich zaspokoić?
- Jakże mogłabym to uczynić?
- Tak jak ja.
- Jak to, droga matko. Toć przecie nie ma nikogo w tym klasztorze.
- Ja jestem, moja droga, ty jesteś.
- No to cóż! czym jestem dla ciebie? czym jesteś dla mnie?
- Jakaż ona niewinna!

– O, to prawda, droga matko, że jestem bardzo niewinna i że wolałabym umrzeć niż przestać być taką...

Nie wiem, co w tych ostatnich słowach mogło być przykrego dla niej, ale wywołały w jej twarzy nagłą zmianę wyrazu; stała się poważna, zafrasowana; ręka, którą trzymała na moim kolanie, naprzód przestała je naciskać, a potem usunęła się; oczy miała spuszczone. Powiedziała mi:

– Moja droga matko, co mi się przytrafiło? Czyżby mi się wymknęło coś takiego, czym ciebie uraziłam? Przebac mi. Korzystam ze swobody, jaką mi dałaś; nie obmyślam tego, co mam ci do powiedzenia; a przy tym gdybym nawet ważyła każde słowo, nie powiedziałabym inaczej, może gorzej. Rzeczy, o których rozmawiamy, są mi tak obce! Przebac mi... – Przy tych słowach zarzuciłam jej ręce na szyję i oparłam głowę na jej ramieniu. Ona objęła mnie i uściśnęła bardzo czule. Trwałyśmy tak kilka chwil; następnie, odzyskując swą serdeczność i pogodę, powiedziała mi:

– Zuzanno, czy dobrze sypiasz?

– Bardzo dobrze – odrzekłam – zwłaszcza od pewnego czasu.

– Czy zaraz zasypiasz?

– Zazwyczaj tak.

– Ale gdy nie zaśniesz od razu, o czym myślisz?

– O moim mniejszym życiu, o tym, które mi pozostaje, modłę się albo płacę, bo ja wiem zresztą?

– A rano, gdy zbudzisz się wcześniej?

– Wstaję.

– Zaraz?

– Zaraz.

– Więc nie lubisz marzyć?

– Nie.

– Odpocząć jeszcze trochę na poduszce?

– Nie.

– Rozkoszować się miłym ciepłem pościeli?

– Nie.

– Nigdy?...

Zatrzymała się na tym słowie i miała rację; to, o co miała mnie zapytać, nie było rzeczą dobrą i może robię jeszcze coś gorszego, mówiąc o tym, ale postanowiłam niczego w tym pamiętniku nie zatajać... Po chwili podjęła.

– Nigdy nie kusiło cię popatrzeć z upodobaniem, jaka jesteś piękna?

– Nie, droga matko. Nie wiem, czy jestem taka piękna, jak mówisz; poza tym, gdybym taka była, to jest się piękną dla innych, nie dla siebie.

– Nigdy nie pomyślałaś o tym, żeby wodzić rękami po tej pięknej piersi, po tych udach, po tym brzuchu, po tym ciele tak jędrnym, tak gładkim i tak białym?

– O, co to, to nie, to jest grzech, i gdyby mi się to przytrafiło, nie wiem, jak mogłabym to wyznać na spowiedzi...

Nie pamiętam, o czym rozmawiałyśmy jeszcze, gdy ktoś przyszedł zawiadomić przełożoną, że proszą ją do rozmównicy. Miałam wrażenie, że ta wizyta gniewała ją i że byłaby wolała prowadzić dalej rozmowę ze mną, chociaż zgoła nie warto było żałować tego, cośmy mówiły; jednakże rozstałyśmy się.

Nigdy całe zgromadzenie nie było tak szczęśliwe jak od tego czasu, gdym ja do tego klasztoru wstąpiła. Zdawało się, że charakter przełożonej stracił swoją nierówność, mówiono, że przy mnie ustalił się. Dała nawet przez wzgląd na mnie kilka dni rekreacji i tak zwanych tutaj świąt; w owe dni jedzenie jest trochę lepsze niż zazwyczaj, nabożeństwa są krótsze i cały

dzielący je czas poświęca się rozrywkom. Ale ten szczęśliwy okres miał minąć i dla innych zakonnic, i dla mnie.

XVI

Po odmalowanej przeze mnie scenie nastąpiło dużo innych podobnych, które pomijani. Oto dalszy ciąg poprzedniej.

Przełożoną zaczynał ogarniać niepokój: traciła swą wesołość, tuszę, sen. Następnej nocy, gdy wszyscy spali i w klasztorze panowała cisza, wstała; błąkała się jakiś czas po korytarzach, a potem podeszła do mojej celi. Mam lekki sen, zdawało mi się, że poznaję jej kroki, Zatrzymała się. I prawdopodobnie opierając czoło o moje drzwi, zrobiła tym dość hałasu, by mnie zbudzić, gdybym spała. Milczałam. Miałam wrażenie, że słyszę jakiś skarzący się głos, że ktoś wzdycha; z początku przejął mnie lekki dreszcz, potem zdecydowałam się powiedzieć *Ave*¹⁶. Zamiast się odezwać, ów ktoś oddalił się lekkim krokiem. Po pewnym czasie wrócił; usłyszałam znowu żalosne skargi i westchnienia; raz jeszcze powiedziałam: *Ave* i ten ktoś odszedł od drzwi po raz drugi. Uspokoiliam się i zasnęłam. Podczas mego snu ktoś wszedł, usiadł obok mojego łóżka; zasłony przy moim łóżku były rozchylone; owa osoba trzymała świeczkę, którą oświetlała mi twarz, i patrzyła na mnie uśpioną; to przynajmniej wywnioskowałam po jej pozie, gdy otworzyłam oczy; tą osobą była przełożona. Usiadłam szybko na łóżku; widząc mój przestrach, powiedziała mi:

– Zuzanno, uspokój się, to ja...

Położyłam głowę z powrotem na poduszce i zapytałam:

– Droga matko, co tutaj robisz o tej porze? Co mogło cię tu sprowadzić? Dlaczego nie śpisz?

– Nie mogę spać – odpowiedziała mi – długo nie będę mogła usnąć. Męczą mnie przykre sny; ledwie zamknę oczy, udreki, jakie zniosłaś, odżywają mi w wyobraźni; widzę cię w rękach tych jędz, widzę twe rozsypane włosy zakrywające ci twarz, widzę twe skrwawione stopy, pochodnię w ręce, powróż na szyi; myślę, że pozbawią cię życia, drzę, trzęsę się cała, zimny pot oblewa mi ciało; chcę biec ci na ratunek; krzyczę, budzę się; i daremnie czekam, żeby spokojny sen powrócił. To mi się właśnie wydarzyło dzisiejszej nocy; obawiałam się, czy niebo nie zwiastuje mi w ten sposób jakiego nieszczęścia, które spotkało moją przyjaciółkę. Wstałam, podeszłam do twoich drzwi, nasłuchiwałam; wydało mi się, że nie śpisz; powiedziałeś jakieś słowo, cofnąłam się; wróciłam, znowu coś powiedziałaś i znowu odeszłam; wróciłam po raz trzeci i gdy sądziłam, że śpisz, weszłam. Już od pewnego czasu jestem przy tobie i boję się ciebie obudzić; z początku wahałam się, czy rozsunać twe zasłony; chciałam odejść, w obawie, że zakłócę twój spoczynek, ale nie mogłam oprzeć się pragnieniu zobaczenia, czy moja droga Zuzanna dobrze się czuje; patrzyłam na ciebie: jak pięknie wyglądasz, nawet gdy śpisz!

– Moja droga matko, jakaś ty dobra!

– Zmarzłam. Ale wiem, że nie potrzebuję się lękać niczego złego dla mego dziecka, i sądzę, że będę spała. Daj mi rękę.

Zrobiłam to.

– Jaki ona ma spokojny puls! jaki równy! nic go nie podnieca.

¹⁶ Ave – Zdrowaś Maria.

- Mam sen dość spokojny.
- Jakaś ty szczęśliwa!
- Droga matko, przeżybisz się, zostając dłużej.
- Masz rację; żegnaj, moja piękna, żegnaj, idę.

Nie wychodziła jednak, wciąż patrzyła na mnie, dwie łzy stoczyły się jej po policzkach.

– Droga matko – powiedziałam – co ci jest? płaczesz; zła jestem na siebie, zem z tobą rozmawiała o moich ciężkich przejściach.

W jednej chwili zamknęła drzwi, zgasiła świecę i... rzuciła się na mnie. Trzymała mnie w uścisku; leżała na kołdrze obok mnie; jej twarz przywarła do mojej, jej łzy zwilżały mi policzki; wzdychała i mówiła żalonym, przerywanym głosem:

- Droga moja, zlituj się nade mną!
- Droga matko – co się z tobą dzieje? Czy ci niedobrze? Co mam robić?
- Trzęsę się, mam dreszcze; przejmuję mnie śmiertelny chłód.
- Chcesz, bym wstała i odstąpiła ci swego łóżka?

– Nie, nie trzeba, żebyś wstawała; odsuń tylko trochę kołdrę, żebym się mogła do ciebie przybliżyć, ogrzać się i powrócić do zdrowia.

– Droga matko, przecie to wzbronione. Co by powiedziano, gdyby się o tym ktoś dowiedział? Widziałam, jak skazywano na pokutę zakonnice za rzeczy daleko mniej poważne. W klasztorze Panny Marii zdarzyło się, że pewna mniszka poszła w nocy do celi innej mniszki, była to jej serdeczna przyjaciółka; i nie umiem ci powiedzieć, jakie ten postępek wywołał domysły. Spowiednik pytał mnie nieraz, czy nigdy żadna mniszka nie proponowała mi, że przyjdzie do mnie na noc; zalecił mi z całą powagą, abym nigdy się na to nie zgadzała. Mówiłam mu nawet o twoich pieszczotach ze mną; uważam je za całkiem niewinne, ale on jest innego zdania; nie rozumiem, jak mogłam zapomnieć o jego radach; zamierzałam pomówić z tobą o tym.

– Moja droga – powiedziała mi – wszystko dokoła nas śpi, nikt nic nie będzie wiedział. To ja nagradzam lub karzę; i cokolwiek by mówił spowiednik, nie widzę w tym nic złego, gdy przyjaciółka przyjmie do swego łóżka przyjaciółkę, którą ogarnął niepokój, która zbudziła się i przyszła w nocy mimo zimowego chłodu zobaczyć, czy jej ukochanej nie grozi jakie niebezpieczeństwo. Zuzanno, czy u rodziców nie spałaś nigdy w jednym łóżku z którą z twych siostr?

– Nie, nigdy.

– Gdyby nastęrczyła się sposobność, czy nie zrobiłabyś tego bez skrupułu? Gdyby twoja siostra, zaniepokojona i zziębnięta, przyszła prosić cię o miejsce obok siebie, odmówiłabyś jej?

– Sądzę, że nie.

– A czyż nie jestem twoją drogą matką?

– Tak, jesteś nią, ale to jest zakazane.

– Moja droga, ja zakazuję tego innym, a tobie pozwalam i proszę cię o to. Bylem się chwilę ogrzała, to pójde sobie. Daj mi rękę... – Zrobiłam to. – Weź, dotknij, zobacz; drzę, dygoczę, jestem zimna jak marmur... – i to była prawda.

– Och, droga matko – mówię – ty się rozchorujesz. Poczekaj, odsunę się na brzeg, a ty położysz się w ciepłe... – Odsunęłam się, uniosłam kołdrę, a ona położyła się na moim miejscu. Ach, jak z nią było niedobrze! Dygotała na całym ciele; chciała coś do mnie powiedzieć, chciała się do mnie zbliżyć; ale nie mogła wymówić ani słowa, nie mogła się poruszyć. Szeptala:

– Zuzanno, moja droga, przybliź się trochę. – Wyciągnęła rękę; byłam odwrócona do niej plecami; delikatnie pociągnęła mnie ku sobie; prawą rękę wsunęła pod spód, a lewą położyła na mnie i powiedziała: – Jestem jak lód; tak mi zimno, że boję się ciebie dotknąć, żeby ci nie zrobić przykrości.

– Nie obawiaj się tego, droga matko. Natychmiast położyła mi jedną rękę na piersiach, a drugą objęła mnie w pasie; naciskałam jej stopy, które umieściła pod moimi, aby je rozgrzać; droga matka mówiła do mnie:

– Ach, moja kochana, widzisz, jak mi się stopy prędko rozgrzały, gdyż nic nie odgradza ich od twoich.

– W takim razie – powiedziałam – co stoi na przeszkodzie, abyś się cała rozgrzała w ten sam sposób.

– Nic, jeśli pozwolisz.

Odwrociłam się do niej przodem, ona zsunęła z siebie nocną koszulę, ja zaś miałam zsunąć swoją, gdy raptem ktoś zapukał gwałtownie dwa razy w drzwi. Przerazona, zeskakuję z łóżka z jednej strony, a przełożona z drugiej; nasłuchujemy i słyszymy, że ktoś wraca na palcach do sąsiedniej celi.

– Ach! – zawołałam – to siostra Teresa; musiała cię widzieć idącą przez korytarz i zobaczyła, że weszłaś do mnie; z pewnością podsłuchiwała i słyszała naszą rozmowę; co ona powie?... – Byłam półżywa.

– Tak, to ona – powiedziała przełożona z irytacją w głosie – to ona, jestem tego pewna, ale spodziewam się, że długo popamięta swoje zuchwalstwo.

– Ach, droga matko, nie rób jej nic złego.

– Zuzanno, żegnaj, dobranoc; połóż się z powrotem, śpij dobrze, zwalnim cię z modłów porannyh. Idę do tej wariatki. Daj mi rękę...

Wyciągnęłam ku niej dłoń poprzez szerokość łóżka; odsunęła rękaw zakrywający mi rękę, wycelowowała ją wydechając, od końców palców aż do ramienia, i wyszła zapowiadając, że zuchwała mniszka, która ważyła się niepokoić ją, popamięta to długo. Natychmiast przesu-
nęłam się na drugi brzeg łóżka, bliżej drzwi, i zaczęłam nasłuchiwać: przełożona weszła do siostry Teresy. Korciło mnie, by wstać i wstawić się za nią u przełożonej, jeżeli scena między nimi przybierze obrót gwałtowny; byłam jednak tak wzburzona, czułam się tak nieswojo, że wolałam zostać w łóżku; ale nie usnęłam. Myślałam o tym, że stanę się przedmiotem plotek w klasztorze; że o tej przygodzie, która sama w sobie nie miała nic zdrożnego, będzie się mówić w sposób jak najbardziej nieprzychylny; że będzie tu jeszcze gorzej niż w Longchamp, gdzie zostałam oskarżona Bóg wie o co; że nasze przewinienie dojdzie do wiadomości władz kościelnych, że nasza matka zostanie odwołana ze swego urzędu i że obie będziemy surowo ukarane. Jednakże nasłuchiwałam pilnie, oczekując z niecierpliwością na wyjście naszej matki od siostry Teresy; widocznie sprawa ta była trudna do załatwienia, gdyż przełożona spędziła u niej prawie całą noc. Jakże jej żałowałam! była tylko w koszuli, nieomal naga, przeniknięta na wskroś chłodem i zagniewana.

Rano miałam wielką ochotę skorzystać z danego mi pozwolenia i zostać w łóżku; jednak przyszło mi do głowy, że nie należy tego robić. Ubrałam się bardzo szybko i znalazłam się pierwsza w prezbiterium, gdzie przełożona i Teresa nie zjawily się wcale, co sprawiło mi wielką przyjemność; po pierwsze, ponieważ byłoby mi trudno znieść obecność tej siostry bez zakłopotania; po drugie, że skoro jej pozwolono nie być na nabożeństwie, to widocznie uzyskała przebaczenie, którego przełożona mogła jej udzielić tylko na pewnych warunkach, co powinno było mnie uspokoić. Zgadłam. Zaledwie nabożeństwo dobiegło końca, przełożona posłała po mnie. Poszłam do niej: leżała jeszcze w łóżku, miała minę zgnębioną; powiedziała mi:

– Cierpiałam, zupełnie nie zmrużyłam oka, Teresa jest wariatka; jeżeli ją raz jeszcze to napa-
dnie, zamknę ją w ciemnicy.

– Ach! droga matko – powiedziałam – nie rób tego nigdy.

– To będzie zależało od jej sprawowania: przyrzekła mi poprawę; i liczę na to. A ty, droga Zuzanno, jak się czujesz?

– Dobrze, droga matko.

- Czyś spała trochę?
- Bardzo mało.
- Powiedziano mi, żeś była w prezbiterium; dlaczego nie zostałaś w łóżku?
- Czuję się źle; a prócz tego sądziłam, że lepiej będzie...
- Nie, nie byłoby w tym nic niewłaściwego, gdybyś została u siebie. Ale mam ochotę się zdrzemnąć; radzę ci iść do siebie i zrobić to samo, chyba że wolałabyś położyć się obok mnie.
- Droga matko, jestem ci bardzo obowiązana, lecz przywykłam sypiać sama i nie potrafiłabym inaczej.
- Więc idź. Nie zejdem do refektarza na obiad; podadzą mi tutaj: być może, nie wstanę przez cały dzień. Przyjdiesz do mnie wraz z kilkoma siostrami, które wezwę.
- A czy siostra Teresa będzie między nimi? – spytałam.
- Nie – odpowiedziała mi.
- Jestem z tego rada.
- Dlaczegoż to?
- Nie wiem: jakoś obawiam się spotkania z nią.
- Uspokój się, moje dziecko; zapewniam cię, że ona bardziej obawia się ciebie, niż ty powinnaś jej się obawiać.

Pożegnałam ją i poszłam odpocząć trochę. Po południu udałam się do celi przełożonej, gdzie zastałam dość licznie zebrane najmłodsze i najładniejsze zakonnice; inne mniszki odwiedziły przełożoną i wyszły.

Pan zna się na malarstwie, panie markizie... Zapewniam pana, że to był dość miły obraz. Proszę sobie wyobrazić pracownię, a w niej około tuzina dziewcząt, z których najmłodsza mogła mieć lat piętnaście, a najstarsza nie miała dwudziestu trzech; przełożona, kobieta około czterdziestki, leżała, wsparta połową ciała na poduszkach, biała, świeża, tęga, z podbródkiem, który nosiła z pewnym wdziękiem; ramiona jak utoczone, palce cienkie, usiane dołeczkami, oczy czarne, duże, żywe, o tkliwym wyrazie, prawie zawsze przymknięte, jakby otworzenie ich sprawiało jej pewien trud; wargi różane, zęby białe jak mleko, policzki o bardzo pięknym owalu, głowa zgrabna wtulona w puszystą i miękką poduszkę; ręce swobodnie wyciągnięte wzdłuż ciała, z dwiema poduszczkami podtrzymującymi łokcie.

Siedziałam na brzegu jej łóżka bezczynnie; inna mniszka umieściwszy się na fotelu trzymała na kolanach krosienka do haftowania; jeszcze inne w pobliżu okien robiły koronki; niektóre ulokowały się na podłodze, na poduszkach zdjętych z krzeseł – szyły, haftowały, strzępiły jakąś tkaninę lub przędły na małych kołowrotkach. Były tam blondynki i brunetki; ani jedna nie podobna do drugiej, chociaż wszystkie piękne. Ich usposobienia różniły się tak samo jak fizjonomie: jedne były pogodne, inne wesołe, jeszcze inne poważne, melancholijne lub smutne. Wszystkie pracowały oprócz mnie, jak to już panu powiedziałam. Bez trudu różniło się w tym gronie przyjaciółki, obojętne lub wrogo do siebie nastrojone; przyjaciółki umieściły się bądź obok siebie, bądź naprzeciw i przy robótkach rozmawiały, naradzały się, zerkwały na siebie, ścisnęły jedna drugiej palce pod pretekstem, że podają sobie szpilki, igły, nożyczki. Przełożona przebiegała po nich spojrzeniem; jednej zarzucała nadmierną pilność, drugiej próżniactwo, tej obojętność, tamtej smutek; kazała sobie przynosić robotę, chwaliła ją lub ganiła; poprawiała jednej z mniszek strój głowy... „Ten welon zbyt opada na przód... te boczne części kwefu za bardzo zachodzą na twarz, nie widać dobrze policzków... Źle wyglądają takie plisy...”. Rzucała każdej jakieś słówko: wymówkę bądź pochwałę.

Gdyśmy w ten sposób spędzały czas, usłyszałam ciche pukanie. Podeszłam do drzwi. Przełożona powiedziała mi:

- Zuzanno, wrócisz.
- Tak, droga matko.
- Koniecznie wróć, bo mam ci coś ważnego do powiedzenia.
- Wrócę...

Była to ta biedna Teresa. Chwilę stała nie mówiąc ani słowa, ja również milczałam; po czym powiedziałam jej:

– Droga siostrzo, czy masz do mnie interes?

– Tak.

– Czym mogę ci służyć?

– Zaraz ci powiem. Popadłam w niełaszkę u naszej drogiej matki; sądziłam, że już mi przebaczyła, i miałam pewien powód, by tak myśleć; tymczasem wy wszystkie jesteście zebrane u niej, a mnie tam nie ma i rozkazała mi pozostać w celi.

– Chciałabyś tam wejść?

– Tak.

– Czy pragnęłabyś, abym poprosiła ją o pozwolenie?

– Tak.

– Poczekaj, moja droga; idę tam.

– Naprawdę wstawisz się do niej za mną?

– Naturalnie! dlaczegóż nie miałabym ci tego przyrzec i czemu nie miałabym tego zrobić, gdy ci przyrzeknę?

– Ach! – rzekła patrząc na mnie serdecznie – przebaczam jej, przebaczam jej pociąg, jaki ma do ciebie; posiadasz przecież wszystkie uroki, najpiękniejszą duszę i najpiękniejsze ciało...

Byłam zachwycona, że mogę wyświadczyć jej tę drobną przysługę. Wróciłam. Inna młoda zakonnica podczas mej nieobecności zajęła moje miejsce na brzegu łóżka przełożonej; nachylona nad nią, z łokciem między jej udami, pokazywała jej swą robótkę; przełożona, niemal zamknawszy oczy, mówiła „tak” i „nie” prawie nie patrząc na tamtą; nie zauważyła, że stoję przy jej łóżku. Niebawem otrząsnęła się z tego lekkiego roztargnienia. Ta, co zajęła moje miejsce, ustąpiła mi go, usiadłam z powrotem; potem lekko nachyliwszy się nad przełożoną, która dzwignęła się nieco na poduszkach, nie odzywałam się ani słowem, ale patrzyłam tak, jakbym miała prosić ją o jakąś łaskę.

– A więc – zapytała mnie – o co chodzi? Mów, czego chcesz? Czyż jestem w stanie odmówić ci czegokolwiek?

– Siostra Teresa...

– Rozumiem. Jestem z niej bardzo niezadowolona; ale Zuzanna wstawia się za nią i przebaczam jej; idź powiedzieć jej, że może wejść...

Pobiełam do siostry Teresy. Biedna siostrzyczka czekała pode drzwiami; powiedziałam jej, żeby weszła – uczyniła to drżąc, oczy miała spuszczone; trzymała długi kawałek muślinu przytwierdzony do wzoru; wszystko to wypadło jej z rąk przy pierwszym kroku; podniosłam robótkę, wzięłam ją za ramię i przyprowadziłam do przełożonej. Padła na kolana; pochwyciła jej rękę i pocałowała wdychając i roniąc łzę; potem ujęła moją, połączyła ją z ręką przełożonej i ucałowała obie. Przełożona dała jej znak, żeby się podniosła i usiadła, gdzie chce; spełniła jej rozkaz.

Podano podwieczorek. Przełożona wstała z łóżka; nie usiadła z nami, lecz spacerowała dookoła stołu, to kładła jednej z mniszek dłoń na głowie, przechylając ją do tyłu i całując w czoło; to znów odsłaniała innej szyję i chwilę trzymała tam rękę, oparta o grzbiet fotela; przechodziła do trzeciej i gładziła ją ręką lub przytykała dłoń do jej ust; zaledwie skosztowawszy podanych smakołyków rozdawała je to tej, to owej. W pewnej chwili przerwała swój spacer, zatrzymała się na wprost mnie patrząc na mnie wzrokiem bardzo serdecznym i tkliwym; inne zakonnice, a przede wszystkim siostra Teresa spuściły wtedy oczy, jakby obawiały się krępować ją lub rozproszyć jej uwagę.

Po skończonym podwieczorku siadłam do klawesynu; akompaniowałam dwóm siostram, które zaśpiewały bez szkoły, ale ze smakiem, czystymi i ładnymi głosami. Ja też śpiewałam akompaniując sobie. Przełożona siedziała nisko obok klawesynu i zdawała się doznawać

ogromnej przyjemności słuchając mego śpiewu i patrząc na mnie. Niektóre zakonnice słuchały stojąc bezczynnie, inne wzięły się z powrotem do swych robótek. Była to przemila wieczorynka. Gdy się skończyła, wszystkie się rozeszły.

Wychodziłam wraz z innymi, ale przełożona zatrzymała mnie.

– Która godzina? – zapytała.

– Dochodzi szósta.

– Zaraz przyjdzie tu kilka naszych powiernic. Zastanowiłam się nad tym, co mówiłaś mi o swym wyjściu z Longchamp; zakomunikowałam im mój pogląd; zgadzają się ze mną i chcemy ci zrobić pewną propozycję. Niemożliwe, żeby nasz plan się nie powiódł; jeżeli się powiedzie, przyniesie to klasztorowi pewną korzyść, a tobie sprawi przyjemność.

O szóstej zjawily się powiernice; są to zawsze w klasztorach zakonnice bardzo stare, zgrzybiałe. Wstałam, one usiadły. A przełożona zwróciła się do mnie tymi słowy:

– Siostró Zuzanno, czy nie mówiłaś mi, że posag, który wniosłaś tutaj, zawdzięczasz dobroci pana Ma-nouri?

– Tak jest, droga matko.

– A więc nie jestem w błędzie i siostry z Longchamp są nadal w posiadaniu posagu, który im wpłaciłaś wstępując do nich?

– Tak jest, droga matko.

– Nic ci z niego nie zwróciły?

– Nie, droga matko.

– Nie wypłacają ci żadnej pensji?

– Nie, droga matko.

– To nie jest słuszne; zakomunikowałam to właśnie naszym powiernicom i one sądzą tak jak ja, że masz prawo żądać od klasztoru w Longchamp, aby ten posag został ci zwrócony na rzecz naszego klasztoru albo żeby wypłacały ci rentę. To, co posiadasz dzięki temu, że pan Manouri zainteresował się twoim losem, nie ma nic wspólnego z tym, co siostry z Longchamp są ci winne; on dał ci posag nie na ich rachunek.

– Nie sądzę, żeby na ich rachunek; ale by się co do tego upewnić, najprościej będzie do niego napisać.

– Oczywiście; lecz w razie, gdyby jego odpowiedź była taka, jakiej pragniemy, oto, co chcemy ci zaproponować: wytoczymy w twoim imieniu proces klasztorowi w Longchamp; nasz klasztor poniesie koszt, które nie będą znaczne, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa pan Manouri nie odmówi podjęcia się tej sprawy; i jeżeli ją wygramy, nasz klasztor podzieli się z tobą pół na pół kapitałem lub rentą. Jak się na to zapatrujesz, droga siostró?... nie odpowiadasz, zastanawiasz się?

– Zastanawiam się nad tym, że te siostry z Longchamp zrobiły mi dużo złego i że byłabym zrozpaczona, gdyby sobie wyobraziły, że się mszczę.

– Nie o to idzie, żeby się mścić, ale żeby upomnieć się o to, co ci się należy.

– Raz jeszcze zrobić z siebie widowisko!

– To najmniejsza przeszkoda: o tobie prawie nie będzie mowy podczas sprawy. A przy tym nasze zgromadzenie jest biedne, zaś zgromadzenie w Longchamp jest bogate. Będiesz naszą dobrodziejką, przynajmniej póki będziesz żyła. Nie dla tej pobudki zależy nam na długich latach twego życia wśród nas: wszystkie kochamy cię... – I wszystkie powiernice odezwały się jednocześnie: „A któż by jej nie kochał? ona jest wzorem doskonałości...”. – Mogę przestać żyć – ciągnęła dalej przełożona – każdej chwili, inna przełożona może nie będzie miała dla ciebie takich samych uczuć jak ja; ach! z pewnością nie, nie będzie ich miała. Możesz trochę niedomagać, mieć drobne osobiste potrzeby; jest bardzo przyjemnie posiadać trochę pieniędzy, którymi można rozporządzać, by przynieść ulgę sobie lub przysłużyć się innym.

– Drogie matki – powiedziałam im – tych względów nie należy lekceważyć, skoro jesteście tak dobre, że je wysuwacie; są jeszcze inne, które mnie bardziej przejmują; ale dla was gotowa jestem przewyciężyć największą nawet odrazę. Jedyna łaska, o jaką cię proszę, droga matko, to byście nie podejmowały żadnych kroków w tej sprawie bez uprzedniego naradzenia się w mej obecności z panem Manouri.

– Całkiem słusznie. Czy chcesz do niego sama napisać?

– Droga matko, jak sobie życzysz.

– Napisz doń, i żeby nie wracać znowu do tego tematu, bo nie lubię tego rodzaju spraw, nudzą mnie śmiertelnie, napisz zaraz.

Dano mi pióro, atrament i papier i natychmiast poprosiłam pana Manouri, aby raczył przyjechać do Arpajon, jak tylko jego zajęcia na to mu pozwolą, że jeszcze mi potrzeba jego pomocy i jego rady w pewnej dość ważnej sprawie itd.

Mniszki, zgromadzone na naradzie, odczytały ten list, zatwierdziły jego treść i został wysłany.

XVII

Pan Manouri przybył w kilka dni potem. Przełożona wyłożyła mu, o co chodzi; nie wahać się ani chwili zgodził się z jej zdaniem; moje skrupuły uznano za śmieszne; ustalono, że należy wystąpić z powództwem przeciwko zakonnicom z Longchamp zaraz nazajutrz. Tak też zrobiono; i oto mimo że dość już miałam tego, moje nazwisko znowu pojawiło się w memoriałach, w aktach sprawy, na rozprawie sądowej, i to wśród szczegółów, przypuszczeń, kłamstw i wszelkich możliwych oszczerstw, które mogą człowieka przedstawić w niekorzystnym świetle w oczach sędziów, a odrażającym w oczach publiczności. Ale, panie markizie, czy wolno adwokatowi spotwarzać kogoś tyle, ile im się podoba? Czyż nie ma żadnych sankcji prawnych przeciw nim? Gdybym mogła była przewidzieć, ile goryczy zaznam z powodu tej sprawy, zapewniam pana, że nigdy nie byłabym się zgodziła na jej wszczęcie. Nie omieszkałam przysłać niektórym mniszkom naszego klasztoru paszkwilów wypisanych przeciw mnie. Raz po raz zwracały się do mnie o szczegóły okropnych wydarzeń, które nie miały w sobie cienia prawdy. Im więcej wykazywałam niewiedzy w tych rzeczach, tym bardziej były skłonne uważać mnie za winną; ponieważ nic nie wyjaśniałam, do niczego się nie przyznawałam, wszystkiemu zaprzeczałam, myślano, że wszystko było prawdą; uśmiechały się, rzucały mi słowa zawołane, ale bardzo obraźliwe; na moją niewinność wzruszały ramionami. Płakałam, byłam ciężko strapiona.

Udręka nigdy nie przychodzi sama. Nadszedł czas spowiedzi. Już poprzednio oskarżyłam się przy konfesjonale o to, że zezwalałam przełożonej na pierwsze jej pieszczoty; spowiednik zabronił mi kategorycznie poddawać się im nadal; ale w jaki sposób można odmawiać rzeczy sprawiających wielką przyjemność innej osobie, od której jest się całkowicie zależną – i to rzeczy, w których nie widzi się samej nic złego?

Ten spowiednik ma odegrać dużą rolę w końcowej części pamiętnika, toteż sądzę, że jest nie od rzeczy przedstawić go panu.

To jest franciszkanin; nazywa się ojciec Lemoine; liczy nie więcej niż czterdzieści pięć lat. Jest to jedna z najpiękniejszych fizjonomii, jakie można oglądać: łagodna, pogodna, otwarta,

roześmiana, przyjemna – gdy o tym nie myśli, ale gdy pomyśli – czoło mu się marszczy, brwi się ściągają, powieki opadają na oczy i zachowanie jego staje się surowe. Nie znam dwóch ludzi bardziej różnych jak ojciec Lemoine przy ołtarzu i ojciec Lemoine w rozmównicy oraz ojciec Lemoine w rozmównicy sam i w towarzystwie. Zresztą, wszyscy wiodący życie w zakonie są tacy; ja sama nieraz łapałam siebie na tym, że idąc do kraty w rozmównicy zatrzymywałam się nagle, poprawiałam welon i opaskę na czole, przybierałam specjalny wyraz i układałam twarz, oczy, usta, ręce, ramiona, zmieniałam postawę, minę, chód, narzucając sobie sztuczny sposób bycia i udaną skromność – co trwało dłużej lub krócej, zależnie od tego, z kim miałam rozmawiać.

Ojciec Lemoine jest wysoki, barczysty, wesoły, bardzo miły, gdy zapomni o swym stanie; mówi świetnie, w swym klasztorze ma opinię wielkiego teologa, a w świecie wielkiego kaznodziei, prowadzi rozmowę w sposób czarujący. Jest to człowiek bardzo wykształcony, posiada mnóstwo wiadomości obcych stanowi zakonnemu; ma bardzo piękny głos, zna muzykę, historię i języki; jest doktorem Sorbony. Chociaż młody, ma już za sobą główne godności swego zakonu. Uważam go za człowieka, który nie robi intryg i nie jest próżny. Starał się o urząd przeora w klasztorze w Etampes, jako o spokojną placówkę, gdzie mógłby bez przeszkód oddać się rozpoczętym studiom, i otrzymał go. Wybór spowiednika jest sprawą wielkiej wagi dla klasztoru żeńskiego: trzeba mieć w tej roli człowieka wybitnego i z wyrobioną marką. Nasz klasztor robił wszystko, by pozyskać ojca Lemoine, i pozyskał go, przynajmniej w charakterze spowiednika nadzwyczajnego.

Posyłano po niego pojazd klasztorny w wigilię uroczystych świąt i przyjeżdżał. Trzeba było widzieć ruch, jaki oczekiwanie na jego przybycie wywoływało w całym zgromadzeniu, jaka panowała radość, jak się zamykano, jak pracowano nad swym rachunkiem sumienia, jak się przygotowywano, żeby go zająć sobą możliwie długo.

Było to w wigilię Zielonych Świątek. Oczekiwano przybycia ojca Lemoine. Byłam niepokojna, przełożona zauważyła to i zaczęła mnie wypytywać. Nie ukrywałam bynajmniej przed nią powodu mojej troski; wydała mi się jeszcze bardziej ode mnie zaniepokojona, choć zrobiła wszystko, aby to przede mną ukryć. Wyrażała się o ojcu Lemoine, jako o człowieku śmiesznym, kpiała sobie z moich skrupułów, pytała mnie, czy ojciec Lemoine więcej wie o niewinności jej uczuć i moich niż nasze sumienie i czy moje czyniło mi jakie wyrzuty. Odpowiedziałam jej, że nie.

– A więc! – rzekła – jestem twoją przełożoną, winnaś mi posłuszeństwo i nakazuję ci nie mówić mu nic o tych głupstwach... Nie potrzeba, żebyś szła do spowiedzi, jeśli masz mu do powiedzenia tylko błahostki.

Tymczasem ojciec Lemoine przyjechał i przygotowywałam się do spowiedzi, podczas gdy te, którym było pilniej, zagarnęły go dla siebie. Zbliżała się moja kolej, gdy nagle przełożona odciągnęła mnie na bok i powiedziała:

– Zuzanno, myślałam o tym, coś mi mówiła; wracaj do swojej celi, nie chcę, żebyś szła dzisiaj do spowiedzi.

– A dlaczego, droga matko? – odpowiedziałam jej. – Jutro wielki dzień powszechnej komunii: co sobie pomyślą siostry, jeżeli tylko ja nie przystąpię do stołu Pańskiego?

– Mniejsza o to, powiedzą, co zechcą, ale ty nie pójdziesz do spowiedzi.

– Droga matko – odparłam na to – jeżeli to prawda, że mnie kochasz, nie zadawaj mi tego umartwienia, proszę cię o to jak o łaskę.

– Nie, nie, to jest niemożliwe; narobiłabyś mi kramu z tym człowiekiem, a ja tego zgoła nie chcę.

– Nie, droga matko, nie zrobię ci żadnego kramu!

– Przyrzeknij mi więc... To jest zbyt cenne, przyjdiesz jutro rano do mego pokoju, oskarżysz się przede mną: nie popełniłaś żadnej winy, której nie mogłabym ci odpuścić i dać rozgrzeszenia; przyjmiesz komunię razem z innymi. Idź...

Usunęłam się więc, wyszłam z kościoła i siedziałam w swej celi smutna, niespokojna, zamysłona, nie wiedząc, co począć: czy iść do ojca Lemoine wbrew woli przełożonej, czy przestać na jej rozgrzeszeniu jutro i odbyć praktyki nabożne wraz z resztą zgromadzenia, czy wreszcie nie przystąpić do sakramentów, cokolwiek by mógł kto o tym powiedzieć.

Gdy przełożona wróciła do mej celi, była po spowiedzi; ojciec Lemoine zapytał się jej, dlaczego nie zauważył mnie wśród penitentek, czy byłam chora; nie wiem, co ona mu odpowiedziała, ale rezultat tego był taki, że oczekiwał mnie przy konfesjonale.

– Więc idź – powiedziała mi – skoro trzeba; ale zapewnij mnie, że nie wygadasz się. – Wahałam się, ona nalegała. – Ech! jesteś wariatka – mówiła – co może być złego w przemilczeniu tego, co wcale nie było czymś złym?

– Więc co w tym złego, jeśli się to powie?

– Nie ma nic złego, ale to jest niewłaściwe. Kto wie, jaką wagę może ten człowiek do tego przywiązywać? Zapewnij więc mnie...

Wahałam się jeszcze. Wreszcie zobowiązałam się nic nie mówić, jeżeli ojciec Lemoine nie będzie pytał. I poszłam do kościoła.

Wyspowiadałam się i umilkłam, ale spowiednik zaczął mnie badać i nic nie zataiłam. Zadał mi mnóstwo osobliwych pytań, z których nic nie rozumiem do dziś dnia, gdy je sobie przypominam. Potraktował mnie pobłażliwie; ale o przełożonej wyraził się w słowach, które przejęły mnie drżeniem; nazwał ją niegodną, rozpustnicą, złą zakonnicą, kobietą wywierającą zgubny wpływ, duszą zdeprawowaną i nakazał mi surowo, pod grozą popełnienia grzechu śmiertelnego, abym nigdy nie pozostawała z nią sam na sam i nie zezwalała na żadne jej pieszczoty.

– Lecz, mój ojcze – powiedziałam mu – to jest moja przełożona; może wejść do mej celi, wezwać mnie do siebie, kiedy jej się spodoba.

– Wiem o tym, wiem i jestem tym głęboko strapiony. Drogie dziecko – rzekł mi – Bogu niech będą dzięki, że uchronił cię do tej pory! Nie śmiejąc tłumaczyć ci tego jaśniej, w obawie, że stałbym się sam współnikiem twojej niegodnej przełożonej i zawarzył bym zatrutym tchem, dobywającym się mimo woli z mych ust, delikatny kwiat, który zachowuje się świeży i bez skazy aż do twoich lat tylko przy szczególnej opiece Opatrzności – rozkazuję ci unikać twej przełożonej, odpychać precz od siebie jej pieszczoty, nie wchodzić nigdy samej do jej pokoju, zamykać przed nią drzwi, zwłaszcza w nocy; wychodzić z łóżka, jeżeli wejdzie do ciebie wbrew twej woli; iść na korytarz, w razie potrzeby wołać o pomoc, zbiec, choćbyś była naga, do stóp ołtarzy, napelnić klasztor krzykiem i czynić wszystko, czym natchnęłaby cię miłość Boga, obawa występku, świętość twego stanu i troska o twe zbawienie, gdyby szatan we własnej osobie zjawił się przed tobą i ścigał cię. Tak, moje dziecko, szatan, pod tą postacią jestem zmuszony pokazać ci twoją przełożoną; ona pograżyła się w otchłani występku, ona usiłuje ciągnąć cię tam za sobą; i już, być może, byłabyś tam wraz z nią, gdyby właśnie twoja niewinność nie była przejęła jej strachem i nie powstrzymała... – Po chwili wznosząc oczy ku niebu, zawołał: – Boże, miej nade mną w swojej pieczy to dziecko... – i zwrócił się do mnie: – Mów razem ze mną: *Satana, vade retro, apage, satana*.¹⁷ Jeżeli ta nieszczęsna cię zapyta, powiedz jej wszystko, powtórz jej moje słowa; powiedz jej, że lepiej byłoby, gdyby się nie urodziła lub gdyby sama, zadawszy sobie gwałtowną śmierć, skoczyła w otchłanie piekielne.

– Lecz, mój ojcze – zareplikowałam – wysłuchałeś przecież przed chwilą jej spowiedzi.

Nic mi nie odpowiedział, jeno z głębokim westchnieniem położył ręce na jednym z parapetów konfesjonalu i oparł o nie głowę, jak człowiek przejęty bólem; jakiś czas trwał w tej postawie. Nie wiedziałam, co myśleć, kolana mi drżały; byłam zaniepokojona, pograżona w zamięcie nieopisanym. Tak czułby się wędrowiec, idący w ciemności między niewidzialnymi przepaściami i osaczony zewsząd przez podziemne głosy krzyczące mu: „Koniec z tobą!...”.

Patrząc potem na mnie spokojnie, lecz i serdecznie, rzekł mi:

¹⁷ *Satana, vade retro, apage, satana* - szatanie, oddal się, idź precz, szatanie!

– Czy zdrowie ci dopisuje?
– Owszem, mój ojciec.
– Czy nie zaszkodziłaby ci zbyt długo jedna noc spędzona bez snu?
– Nie, mój ojciec.
– A więc – rzekł – nie będziesz się dzisiaj kładła; zaraz po wieczerzy pójdziesz do kościoła, padniesz u stóp ołtarza i spędzisz tam noc na modłach. Nie wiesz, na jakie narażałaś się niebezpieczeństwo; podziękujesz Bogu, że cię przed nim ustrzegł; a jutro przystąpisz do stołu Pańskiego wraz ze wszystkimi innymi zakonnicami. Jako pokutę wyznaczam ci tylko, byś trzymała się z dala od twej przełożonej i odtrącała jej występne pieszczoty. Idź! Ja ze swej strony dołączę swoje modlitwy do twoich. Ile ty mi sprawiasz niepokoju! Zdaję sobie sprawę ze wszystkich następstw mojej rady, ale wypływa ona z moich obowiązków względem ciebie i względem siebie samego. Bóg jest naszym panem i musimy słuchać tylko jednego prawa.

XVIII

Przypominam sobie, proszę pana, tylko bardzo niedokładnie to wszystko, co mi powiedział ojciec Lemoine. Obecnie, gdy porównywał jego słowa, tak jak je panu przytoczyłam, z wstrząsającym wrażeniem, jakie na mnie wywarły, widzę, że te dwie rzeczy są nieporównywalne; pochodzi to stąd, że moja relacja jest chaotyczna, niepełna; że brak w niej wielu momentów, których nie zapamiętałam, ponieważ nie wiązały się w moim umyśle z żadnym konkretnym wyobrażeniem; i że nie przykładałam i jeszcze nie przykładam żadnej wagi do rzeczy, na które spowiednik najgwałtowniej się oburzał. Na przykład, co tak dziwnego znalazł w scenie z klawesynem? Czyż nie ma osób, na które muzyka działa wstrząsająco? Mnie samej mówiono, że pewne melodie, pewne modulacje głosu wpływały na całkowitą zmianę mojej fizjonomii, zapomniałam wówczas o całym świecie, prawie nie zdawałam sobie sprawy, co się ze mną dzieje; nie sądzę, bym dlatego utraciła coś z mojej niewinności. Dlaczego miałyby nie przeżywać tych samych uczuć moja przełożona, która, mimo wszystkich swoich szaleństw i nierówności charakteru, była na pewno jedną z najbardziej wrażliwych kobiet na świecie? Słuchając bodaj trochę wzruszającej opowieści natychmiast wybuchała płaczem; gdy opowiadałam jej swoje dzieje, wprowadziłam ją w stan godny litości. Czemu ojciec Lemoine nie poczytywał jej również za występki tych objawów współczucia? A scena w nocy, której zakończenia oczekiwał w śmiertelnej trwodze... Niewątpliwie ten człowiek jest zbyt surowy.

Niezależnie od tego, jak się rzeczy miały, wykonałam ściśle to, co mi zalecił, a czego natychmiastowy skutek z pewnością przewidział. Zaraz po wyjściu z konfesjonału padłam krzyżem u stóp ołtarza; w głowie mi się mąciło ze strachu; przebywałam w kościele aż do kolacji. Przełożona, zaniepokojona, co się ze mną stało, kazała mnie zawołać; odpowiedziano jej, że się modłę. Kilka razy pokazywała się we drzwiach prezbiterium; ale udawałam, że jej nie widzę. Rozległ się dzwon na kolację; poszłam do refektarza; zjadłam ją pośpiesznie i natychmiast powróciłam do kościoła; nie zjawiłam się wcale na wieczornej rekreacji; w porze udania się na spoczynek nie wróciłam do swej celi. Przełożona wiedziała, gdzie jestem.

Była już późna noc; w klasztorze panowała cisza, gdy ona zeszła do mnie. W mej wyobraźni odżył obraz przełożonej, taki, jaki mi ukazał spowiednik; ogarnęło mnie drżenie, nie

śmiała na nią spojrzeć; myślałam, że zobaczę ją z ohydą twarzą i że całą jej postać będą otaczały płomienie; mówiłam sobie w duchu: *Satana, vade retro, apage, satana*. Boże zachowaj mnie, oddal ode mnie tego demona.

Uklękła, modliła się jakiś czas, po czym powiedziała mi:

– Zuzanno, co tu robisz?

– Wielebna matko, widzisz.

– Czy wiesz, która godzina?

– Wiem, wielebna matko.

– Dlaczego nie wróciłaś do siebie w porze udania się na spoczynek?

– Ponieważ przygotowywałam się do święcenia jutro wielkiego dnia.

– Miałaś więc zamiar spędzić tutaj noc?

– Tak, wielebna matko.

– A kto ci dał zezwolenie?

– Nakazał mi to spowiednik.

– Spowiednik nie ma nic do nakazywania wbrew regulaminowi klasztoru, a ja nakazuję ci iść spać.

– Wielebna matko, to jest pokuta, jaką mi wyznaczył.

– Zastąpisz ją innymi uczynkami.

– To nie jest sprawa mojego wyboru.

– No – rzekła – moje dziecko, chodź! Chłód kościoła w nocy zaszkodzi ci; pomodlisz się w swej celi...

Potem chciała mnie wziąć za rękę; ale odsunęłam się szybko.

– Unikasz mnie – rzekła.

– Tak, wielebna matko, unikam cię...

Pokrzepiona świętością miejsca, obecnością Bóstwa, niewinnością mego serca, ośmieliłam się podnieść na nią oczy, ale zaledwie ujrzałam ją, zaczęłam biegać po prezbiterium jak szalona z krzykiem: „Precz ode mnie, szatanie...”.

Nie gonila mnie, stała w miejscu i mówiła łagodnie, wyciągając ku mnie obie ręce, głosem jak najbardziej wzruszającym i słodkim:

– Co ci jest? Skąd ten strach? Zatrzymaj się. Nie jestem zgoła szatanem, jestem twoją przełożoną i twoją przyjaciółką...

Zatrzymałam się, obróciłam jeszcze głowę ku niej i zobaczyłam, że przestraszyła mnie dziwaczna zjawą, której kształt zrodził się w mojej wyobraźni: przełożona stanęła w świetle lampy kościelnej w taki sposób, że tylko jej twarz i końce rąk były oświetlone, a reszta postaci zostawała w cieniu, co nadawało jej wygląd niesamowity. Przyszedłszy trochę do siebie, rzuciłam się w jedną ze stall. W chwili gdy ona podeszła i chciała usiąść w stalli sąsiedniej, wstałam i usiadłam w stalli niższej kondygnacji. Wędrowałam w ten sposób z jednej stalli do drugiej, a ona również, aż do ostatniej: tam zatrzymałam się i zakląłam ją, aby przynajmniej zostawiła jedno miejsce puste między sobą a mną.

– Dobrze – powiedziała.

Usiadłyśmy obie, jedna stalla nas przegradzała.

Wówczas przełożona zabierając głos rzekła mi:

– Czy można by wiedzieć, siostrze Zuzanno, skąd się bierze ów strach, który moja obecność wywołuje w tobie?

– Droga matko – odparłam – przebacz mi; to nie ja jestem winna temu, to ojciec Lemoine. Przedstawił mi serdeczność, jaką odczuwasz dla mnie, pieszczoty twoje, w których, przyznam ci się, nie widzę nic złego, w barwach przerażających. Nakazał mi unikać cię, nie wchodzić więcej do ciebie bez świadków; wychodzić z mej celi, gdybyś tam weszła, odmalował mi cię jako demona. Czego on mi na ten temat nie mówił!...

– A więc powiedziałaś mu?

- Nie, droga matko, ale nie mogłam uchylić się od dawania mu odpowiedzi.
- Jestem więc w twoich oczach okropną kobietą?
- Nie, droga matko, nie umiem się powstrzymać od tego, żeby cię nie kochać, nie doceniać względów, jakie masz dla mnie, nie prosić cię, abys okazywała mi je nadal; ale będę posłuszna swojemu spowiednikowi.
- Nie przyjdiesz więc już do mnie?
- Nie, droga matko.
- Nie przyjmiesz mnie więcej u siebie?
- Nie, droga matko.
- Odepchniesz moje pieszczoty?
- To będzie mnie dużo kosztowało, bo jestem z natury pieszczotliwa i lubię, gdy mnie pieszczą; ale trzeba będzie tego się wyrzec; dałam takie przyrzeczenie memu spowiednikowi i złożyłam przysięgę u stóp ołtarza. Gdybym mogła odtworzyć ci, w jaki sposób on mówi o tych sprawach! To człowiek bogobojny, człowiek świątły. Co by mu zależało na tym, żeby wskazywać mi niebezpieczeństwo tam, gdzie go nie ma, żeby odepchnąć serce zakonnicy od serca jej przełożonej? Ale; być może, rozpoznaje on w postępках bardzo niewinnych z twojej i mojej strony zarodek tajnego zepsucia, które, jego zdaniem, rozwinęło się całkowicie w tobie, i boi się, żebyś go nie rozwinęła we mnie.
- Nie będę przed tobą ukrywała, że przypominając sobie wrażenia, jakich czasami doznawałam... Skąd się to brało, droga matko, że po wyjściu od ciebie, wracając do swej celi, byłam bardzo niespokojna, zamyślona? Skąd się brało to, że wtedy nie mogłam się ani modlić, ani zająć się czymkolwiek? Skąd się brała jakaś dziwna nuda, dawniej mi nieznana? Dlaczego ja, która nigdy nie sypiałam w dzień, czułam się śpiąca? Sądziłam, że masz w sobie jakąś żaźliwą chorobę, której skutki zaczynały się u mnie objawiać; ale ojciec Lemoine patrzy na to zupełnie inaczej.
- A jak patrzy na to?
- Widzi w tym całą szkaradę występku, twierdzi, że mnie groziła zguba, a tyś już zgubiona. Bo ja wiem?
- Daj spokój – powiedziała mi – twój ojciec Lemoine to chimeryk, to nie pierwsza tego rodzaju jego napaść na mnie. Wystarczy, żebym związała się z kimś tkliwą przyjaźnią, aby usiłował zmacić tej osobie w głowie; niewiele brakowało, aby doprowadził do obłędu tę biedną Teresę. To zaczyna mnie nudzić i pozbędę się tego człowieka; do tego mieszka o dziesięć mil stąd; to kłopotliwe sprowadzać go, nie ma go się wtedy, gdy się chce mieć; ale o tym pogadamy w stosowniejszej chwili. Więc nie chcesz iść na górę?
- Nie, droga matko, proszę cię jak o łaskę, żebyś mi pozwoliła spędzić tutaj noc. Gdybym uchybiła temu obowiązкови, jutro nie śmiałabym przyjąć komunii razem z resztą zgromadzenia... A ty, droga matko, przystąpisz do komunii?
- Niewątpliwie.
- A więc ojciec Lemoine nic nie powiedział?
- Nie.
- A jak to się stało?
- Bo nie miał okazji mówić ze mną. Idzie się do spowiedzi po to tylko, aby wyznać swoje grzechy, a nie widzę żadnego grzechu w tym, że kocham czule tak miłą dziewczynkę jak Zuzanna. Jeżeli jest w tym jakaś wina, to tylko ta, że skupiałam na niej jednej uczucie, które winno być równomiernie rozdzielone na te wszystkie, co stanowią zgromadzenie klasztorne; ale to nie zależy ode mnie: nie potrafię się powstrzymać od wyróżnienia zasługi, tam gdzie ona jest, i od kierowania się w tym własnym upodobaniem. Przepraszam za to Boga i nie mogę pojąć, jak twój ojciec Lemoine może uważać, że narażam się na nieodwołalne potępienie z powodu stronniczości tak naturalnej i tak trudnej do uniknięcia. Staram się o dobro wszystkich moich mniszek; ale są takie, które szanuję i kocham więcej od innych, ponieważ są bar-

dziej godne miłości i szacunku. Oto całe moje przestępstwo w stosunku do ciebie; Zuzanno, czy uważasz je za bardzo wielkie?

– Nie, droga matko.

– No, drogie dziecko, zmówmy jeszcze krótką modlitwę i wyjdźmy.

Znowu zaczęłam ją błagać, by pozwoliła mi spędzić noc w kościele – zgodziła się pod warunkiem, że to się więcej nie powtórzy. I wyszła.

Powróciłam myślą do tego, co mi powiedziała, prosiłam Boga, aby mnie oświecił; zastanawiałam się i doszłam do wniosku, dobrze wszystko rozważywszy, iż nawet gdy w grę wchodzi osoby tej samej płci, sposób, w jaki okazują sobie przyjaźń, może jednak nie licować ze skromnością; że ojciec Lemoine, człowiek surowy, może przeholował – ale że jego radę, bym unikała daleko posuniętej poufałości mojej przełożonej zachowując się jak najbardziej powściągliwie, warto zastosować; i to sobie przyrzekłam.

Rano, gdy zakonnice przyszły do prezbiterium, zastały mnie na moim zwykłym miejscu; wszystkie przystąpiły do stołu Pańskiego, z przełożoną na czele, co mnie ostatecznie przekonało o jej niewinności, ale nie wpłynęło na zmianę postanowienia. A poza tym dużo brakowało, bym czuła do niej taki pociąg, jaki ona miała do mnie. Nie mogłam się powstrzymać od porównywania jej z moją pierwszą przełożoną: co za różnica! ta nie miała w sobie ani takiej pobożności, ani takiej powagi, żarliwości, inteligencji ani zamiłowania do ładu.

W ciągu niewielu dni zaszły dwa doniosłe wydarzenia: po pierwsze, wygrałam swój proces przeciw zakonnicom z Longchamp; zostały skazane wyrokiem sądowym na płacenie klasztorowi Świętej Eutropy, gdzie przebywałam, pensji proporcjonalnej do mego posagu; po drugie, zmieniono nam spowiednika. O tym wydarzeniu powiadomiła mnie sama przełożona. Jednakże odwiedzałam ją teraz tylko w towarzystwie; ona nie przychodziła więcej do mnie sama. Szukała mnie wciąż, ale jej unikałam; widziała to i robiła mi z tego powodu wyrzuty. Nie wiem, co się działo w tej duszy, ale musiało to być coś nadzwyczajnego. Wstawała w nocy i chodziła po korytarzach, zwłaszcza w pobliżu mojej celi; słyszałam, jak szła i wracała, zatrzymywała się przy moich drzwiach, jęczała, wzdychała; drżałam i wtulałam się w pościel. We dnie gdy byłam na spacerze, w sali robót lub w świetlicy, godzinami przyglądała mi się robiąc to tak, że bym nie mogła tego widzieć; śledziła wszystkie moje kroki: jeżeli schodziłam po schodach, znajdowała ją na dole, gdy wchodziłam, oczekiwała mnie na górze.

Pewnego dnia zatrzymała mnie, zaczęła patrzeć na mnie bez słowa; łązy łąły jej się z oczów, potem rzucając się raptem na ziemię i ściskając mi oburącz kolano powiedziała:

– Okrutna siostró, zażądaj mego życia, oddam ci je, ale nie unikaj mnie; nie mogę żyć bez ciebie...

Żał mi było patrzeć na nią: oczy miała przygasłe, straciła swoją tuszę i rumieńce. To była moja przełożona, leżała u mych stóp, z głową opartą o moje kolano trzymane w uścisku; podałam jej rękę, chwyciła je skwapliwie i całowała, potem patrzyła na mnie, znowu je całowała i znowu na mnie patrzyła. Podniosłam ją. Chwiała się na nogach, trudno jej było iść; odprowadziłam ją do celi. Gdy drzwi były otwarte, wzięła mnie za rękę i pociągnęła łagodnie, że bym weszła, ale nie mówiąc ani słowa i nie patrząc na mnie.

– Nie, droga matko – powiedziałam – nie, przyrzekłam to sobie; tak jest najlepiej dla ciebie i dla mnie; zajmuję zbyt dużo miejsca w twojej duszy, z uszczerbkiem dla Boga, któremu winnaś poświęcić ją całą.

– Czyż tobie przystoi robić mi z tego zarzut?...

Mówiąc do niej starałam się uwolnić moją dłoń z jej dłoni.

– Więc nie chcesz wejść? – rzekła.

– Nie, droga matko, nie.

– Nie chcesz, Zuzanno? nie wiesz, co może z tego wyniknąć, nie, nie wiesz tego; zabijesz mnie...

Te ostatnie słowa wzbudziły we mnie uczucie wręcz przeciwne temu, jakie zamierzała wywołać: wyrwałam rękę i uciekłam.

Ona obróciła się, patrzyła za mną chwilę, potem wchodząc do swej celi, której drzwi pozostały otwarte, zaczęła głośno jęczeć. Usłyszałam te jęki; przejęły mnie do głębi. Przez moment trwałam w niepewności, czy mam oddalić się, czy wrócić; jednakże w jakimś odruchu obrzydzenia oddalałam się, cierpiąc jednocześnie nad stanem, w jakim ją zostawiłam: jestem z natury skłonna do współczucia.

Zamknęłam się u siebie, czułam się tam nieswojo; nie wiedziałam, czym się zająć, przeszłam się kilka razy po celi, roztargniona i zafrasowana; wyszłam, wróciłam; wreszcie poszłam zapukać do drzwi Teresy, mojej sąsiadki. Była w trakcie poufnej rozmowy z inną młodą mniszką, swoją przyjaciółką. Powiedziałam jej:

– Droga siostrzo, przykro mi, że ci przerywam, ale proszę cię na chwilę, mam ci słówko do powiedzenia...

Udała się za mną do mojej celi i powiedziałam jej:

– Nie wiem, co się dzieje z naszą matką przełożoną jest zrozpaczona; żebyś tak poszła do niej, może byś ją pocieszyła...

Nic mi nie odpowiedziała; zostawiła przyjaciółki u siebie, zamknęła drzwi i pobiegła do naszej przełożonej.

Tymczasem stan tej kobiety pogarszał się z każdym dniem; stała się melancholijna i poważna; wesołość która od chwili mego przybycia do klasztoru trwała nieprzerwanie, raptem zanikła; zapanował najostrejszy rygor: nabożeństwa odprawiano z należytą godnością; ludzie obcy zostali prawie całkowicie wykluczeni z rozmównicy; zakonnicom zabroniono odwiedzać się w celach; ćwiczenia wznowiono z najskrupulatniejszą ścisłością; żadnych zebrań u przełożonej, żadnych podwieczorków; najłżejsze przewinienia były surowo karane; zwracano się jeszcze czasami do mnie, bym wyjednała u przełożonej przebaczenie, ale odmawiałam kategorycznie interwencji. Przyczyna tego przewrotu wszystkim była wiadoma; stare zakonnice nie gniewały się o to, młode trapiły się tym bardzo; patrzyły na mnie złym okiem; co do mnie, spokojna, że zachowuję się, jak należy, nic sobie nie robiłam z ich dąsów i wyrzutów.

Przełożona, której nie mogłam ani przynieść ulgi, ani przestać jej żałować, przeszła kolejno od melancholii do dewocji, a od dewocji do szału. Nie będę opisywała panu wszystkich poszczególnych stadiów, musiałabym bowiem wdać się w niezliczone szczegóły; opowiem panu tyle tylko, że podczas pierwszego stadium jej choroby – to szukała mnie, to unikała; niekiedy traktowała nas, inne zakonnice i mnie, ze swą zwykłą dawniej łagodnością; czasami zaś przechodziła nagle do krańcowej surowości; wzywała nas i odprawiała z powrotem; wyznaczała rekreację i odwoływała w chwilę potem swe zarządzenia; kazała zwołać nas dzwonem do prezbiterium i kiedy wszystkie mniszki śpieszyły, by wykonać rozkaz, nowe uderzenie w dzwon nakazywało nam udać się do cel. Trudno sobie wyobrazić zamęt, w jakim pędziłyśmy życie; dzień schodził na opuszczaniu cel i powracaniu do nich, na braniu do rąk brewiarza i odkładaniu go, na chodzeniu po schodach w górę i na dół, na opuszczaniu i podnoszeniu welonu. Noc była prawie tak samo niespokojna jak dzień.

Kilka zakonnic zwróciło się do mnie i starało się dać mi do zrozumienia, że przy nieco większej uległości i względach dla przełożonej z mej strony wszystko powróciłoby do dawnego ładu; powinny były powiedzieć: do zwykłego nieładu. Odpowiedziałam im ze smutkiem:

– Żal mi was, ale powiedzcie mi wyraźnie, co mianowicie mam zrobić...

Jedne odwróciły się schylając głowę i nic mi nie odpowiadając; inne dawały mi rady, których w żaden sposób nie mogłam pogodzić z radami naszego spowiednika; mówię o tym, którego odwołano, gdyż jego następcy jeszcze nie widziałyśmy.

Przełożona nie wychodziła więcej w nocy; spędzała całe tygodnie nie pokazując się ani na nabożeństwach, ani w prezbiterium, ani w refektarzu, ani na rekreacjach; przesiadywała w

swym pokoju; to znów snuła się po korytarzach lub schodziła do kościoła; pukała do drzwi zakonnicy i mówiła do nich żalosnym głosem:

„Droga siostrze, módl się za mnie; droga siostrze, módl się za mnie...”

Rozeszła się pogłoska, że przygotowywała się do spowiedzi generalnej.

XIX

Pewnego dnia, gdy pierwsza zesłam do kościoła, ujrzałam kartkę papieru przytwierdzoną do zasłony wiszącej przed kratą, podeszłam bliżej i przeczytałam:

„Drogi siostry, wzywa się was do modłów na intencję zakonnicy, która zesłała z drogi swych obowiązków i chce powrócić do Boga...”. Miałam chętkę zerwać tę kartkę, jednakże zostawiłam ją na miejscu. W kilka dni znalazłam tam inną, na której było napisane: „Drogi siostry, wzywa się was, byście błagały o miłosierdzie boskie dla zakonnicy, która uznała swe błędy; są one wielkie...”. Kiedy indziej była inna prośba, brzmiała tak: „Drogi siostry, zwróćcie się do Boga, by odsunął rozpaczliwe myśli od zakonnicy, która straciła wszelką ufność w miłosierdzie boskie...”

Wszystkie te błagania, gdzie malowały się okrutne koleje losu tej pokutującej duszy, zasnuwały mnie głęboko. Któregoś dnia stałam jak skamieniała naprzeciw jednego z tych obwieszceń; pytałam się w duchu, co to były za błędy, które ona sobie wyrzucała, skąd się brał strach tej kobiety, jakie zbrodnie mogła mieć sobie do wyrzucenia; wracałam pamięcią do okrzyków spowiednika, przypominałam sobie jego wyrażenia, szukałam ich sensu, nie znajdowałam go zupełnie i byłam tym całkiem pochłonięta. Kilka mniszek, które mi się przyglądały, rozmawiało ze sobą – i jeżeli się nie mylę, patrzyły na mnie jako na bezustannie zagrożoną takim strachem jak tamta.

Biedna przełożona pokazywała się tylko z opuszczonym welonem; nie wtrącała się już do spraw klasztoru; z nikim nie rozmawiała; miała tylko częste konferencje z nowym spowiednikiem, którego nam dano.

Był to młody benedyktyn. Nie wiem, czy to on jej narzucił wszystkie umartwienia, jakie praktykowała: pościła trzy razy w tygodniu; biczowała się, słuchała nabożeństwa w dolnych stallach. Idąc do kościoła musiałyśmy przechodzić koło drzwi jej celi; widywałyśmy ją tam, leżącą krzyżem z twarzą przy ziemi; wstawała dopiero wtedy, gdy nie było już nikogo.

W nocy schodziła w koszuli, boso; jeżeli Teresa lub ja spotkałyśmy ją przypadkiem, zawracała i przywierała twarzą do ściany. Pewnego dnia, gdy wychodziłam ze swej celi, ujrzałam ją rozkrzyżowaną na podłodze z rozpostartymi ramionami i z twarzą przy ziemi.

– Idź śmiało, depcz po mnie – powiedziała – nie zasługuję na inne traktowanie.

W ciągu całych miesięcy, jakie trwała ta choroba, reszta zgromadzenia zdążyła dość się nacierpieć i nabrać do mnie odrazy. Nie będę powtarzała, jakie przykrości musi znosić zakonnica, której w klasztorze nienawidzą; powinien być pan już uświadomiony w tym względzie. Poczulałam, jak stopniowo odradza się we mnie wstręt do mego stanu.

Ten wstręt i moje udreki wyznałam nowemu spowiednikowi; nazywa się on dom Morel; jest to człowiek o płomiennym charakterze, dobiega czterdziestki. Zdawał się słuchać mnie z uwagą i z zajęciem; zapragnął poznać koleje mego życia; wciągnął mnie pytaniami w najdrobniejsze szczegóły dotyczące mojej rodziny, moich skłonności, mojego charakteru, klasztor-

rów, gdzie byłam, tego, gdzie jestem, wreszcie zagadnął mnie, co zaszło między moją przełożoną a mną. Nic przed nim nie ukrywałam. Wydało mi się, że do zachowania się przełożonej wobec mnie nie przywiązywał takiej wagi jak ojciec Lemoine; zaledwie zechciał rzucić mi kilka słów na ten temat; uważał tę sprawę za skończoną; najbardziej obchodził go mój wewnętrzny stosunek do życia zakonnego. W miarę jak się zwierzałam, jego zaufanie czyniło takie same postępy; jeżeli ja się przed nim spowiadałam, on się przede mną zwierzał; to, co mi mówił o swoich udrękach, było najzupełniej zgodne z moimi udrukami; wstąpił do zakonu z musu; znosił swój stan z takim samym obrzydzeniem i zgoła nie był mniej godny pożalowania niż ja.

– Ale, droga siostró – dodał – co na to poradzić? Jest teraz tylko jeden ratunek, uczynić naszą dolę możliwie znośną. – A potem dawał mi te same rady, które stosował do siebie; to były mądre rady. – Przestrzegając tego – dodał – nie unika się zmartwień, człowiek decyduje się tylko je znosić. Osoby w stanie zakonnym są szczęśliwe tylko o tyle, o ile czynią sobie ze swego krzyża zasługę przed Bogiem; znajdują wówczas radość w noszeniu tego krzyża, pragną umartwień; im one są bardziej gorzkie i częste, tym bardziej cieszą się z tego; to jest zamiana, jaką zrobiły ze swego szczęścia w tym życiu na przyszłe szczęście; zapewniają je sobie dobrowolną ofiarą ze szczęścia doczesnego. Gdy bardzo się nacierpiały, mówią do Boga: *Amplius, Domine* – Panie, jeszcze więcej... a to jest prośba, której Bóg zazwyczaj wysłuchuje. Ale jeśli te cierpienia są stworzone zarówno dla ciebie i dla mnie, jak i dla tamtych osób, my nie możemy obiecywać sobie za nie tej samej nagrody; nie mamy bowiem jedynej rzeczy, która by im nadała walor: rezygnacji; to jest smutne. Niestety, w jaki sposób wzbudzę w tobie tę cnotę, której ci nie dostaje, a ja jej również nie posiadam. Jednakże w braku tej cnoty narażamy się na zgubę w przyszłym życiu, po nieszczęśliwym życiu doczesnym. Pośród samych umartwień gotujemy sobie potępienie z równą pewnością jak ludzie świeccy czerpiąc z życia rozkosze; my wyrzekamy się ich, oni z nich korzystają; a po życiu na ziemi te same nas czekają męki. Jakże los zakonnika, zakonnicy bez powołania jest ciężki! A przecież to jest nasz los i nie możemy go zmienić. Obarczono nas ciężkimi łańcuchami i jesteśmy skazani na nieustanne potrząsanie nimi, bez żadnej nadziei, że uda się nam rozerwać je kiedykolwiek. Usiłujmy, droga siostró, wlec je za sobą. Idź, powrócę jeszcze, by ciebie zobaczyć.

Powrócił w kilka dni potem; ujrzałam go w rozmównicy, przyjrzałam mu się bliżej. Dołączyliśmy wzajemnych zwierzeń, opowiedzieliśmy sobie mnóstwo szczegółów z życia, które tworzyły między nim a mną tyle punktów stycznych i podobieństw w naszych losach; jego spotkały prawie takie same, jak mnie, prześladowania w domu i klasztorze. Nie zdawałam sobie sprawy, że obraz ciężkich przeżyć, jakich doświadczył, nie sprzyjał rozproszeniu mego zniechęcenia, jednakże tak to na mnie podziało i sądzę, że obraz moich przeżyć tak samo podziało na niego. W ten sposób, ponieważ podobieństwo charakterów łączyło się z podobieństwem zdarzeń, im więcej obcowaliśmy ze sobą, tym więcej podobaliśmy się sobie wzajemnie; dzieje tego, co on przeżywał każdej chwili, to były dzieje tego, co ja przeżywałam każdej chwili; dzieje jego uczuć to były dzieje moich uczuć; dzieje jego duszy to były dzieje mojej duszy.

Kiedy powiedzieliśmy już wszystko o sobie, rozmawialiśmy również o innych, zwłaszcza o przełożonej. Rola spowiednika czyniła go bardzo powściągliwym; jednak wywnioskowałam z jego słów, że obecny stan tej kobiety nie będzie trwał długo, że walczyła ze sobą, ale na próżno i że stanie się jedno z dwojga: albo niezwłocznie ulegnie znowu swoim skłonnościom, albo postrada zmysły. Strasznie byłam ciekawa dowiedzieć się o tym coś więcej; mógłby mnie oświecić co do tych kwestii, które mnie nurtowały, a na które nigdy nie mogłam sobie odpowiedzieć; ale nie śmiałam go o to pytać; zaryzykowałam tylko pytanie, czy zna ojca Lemoine.

– Owszem – odparł – znam go; to człowiek wielce zasłużony.

– Myśmy go straciły zupełnie niespodziewanie.

– To prawda.
– Nie mógłby mi ksiądz powiedzieć, jak się to stało?
– Nie chciałbym, żeby to wyszło na jaw.
– Może ksiądz liczyć na moją dyskrecję.
– Sądzę, że wpłynęło na niego doniesienie do kurii arcybiskupiej.
– A co mogło być w tym piśmie?
– Że mieszka zbyt daleko od klasztoru; że nie był na miejscu, gdy zachodziła tego potrzeba; że miał zbyt surowe zasady moralne; że istniały pewne podstawy do podejrzewania go o sympatie dla nowatorów; że siał rozterki w klasztorze i zrażał zakonnice do przełożonej.
– A skąd ksiądz o tym wie?
– Od niego samego.
– Więc ksiądz go widuje?
– Owszem, widuję go, parę razy mówił mi o tobie.
– Co o mnie księdzu powiedział?
– Że bardzo mu było Ciebie żal; że nie pojmował, jak mogłaś znieść wszystkie udręki, które przecieriałaś; że choć miał sposobność rozmawiać z Tobą tylko raz czy dwa razy, nie sądził, abys kiedykolwiek mogła się przystosować do życia zakonnego; że przychodziło mu na myśl...

Tu dom Morel zatrzymał się nagle, a ja dodałam:

– Co przychodziło mu na myśl?

Odpowiedział:

– To jest sprawa zbyt poufna, by wolno mi było dokończyć...

Nie nalegałam, dodałam tylko:

– To prawda, że ojciec Lemoine natchnął mnie myślą, bym odsunęła się od przełożonej.

– Dobrze zrobił.

– A dlaczego?

– Moja siostrze – odparł z poważną miną – stosuj się do jego rad i staraj się nie dociekać ich przyczyny do końca życia.

– Ale zdaje mi się, że gdybym знаła niebezpieczeństwo, z tym większą czujnością unikałabym go.

– Możliwe również, że byłoby wręcz przeciwnie.

– Musi ksiądz mieć o mnie bardzo złą opinię.

– Mam o twych obyczajach i o twej niewinności taką opinię, jaką mieć powinienem; ale wierzaj mi, że są wiadomości zgubne, których nie mogłabyś nabyć bez szkody dla siebie. To właśnie twoja niewinność wzbudziła szacunek u twojej przełożonej; gdybyś była bardziej uświadomiona, mniej by się z Tobą liczyła.

– Nie rozumiem księdza.

– Tym lepiej.

– Ale co niebezpiecznego dla kobiety może się kryć w poufałości i pieszczotach innej kobiety?

Dom Morel nic nie odpowiedział.

– Czyż nie jestem taka sama, jak w chwili gdy przybyłam tutaj?

Dom Morel nic nie odpowiedział.

– Czyż nie byłabym w dalszym ciągu taka sama? Cóż więc jest złego w kochaniu się, w mówieniu sobie tego, w okazywaniu sobie wzajemnych uczuć? to takie miłe.

– To prawda – rzekł dom Morel podnosząc na mnie oczy, które wciąż miał spuszczone, gdy mówiłam.

– I czyż to jest takie powszechne w klasztorach? Biedna moja przełożona! w jaki stan padła!

– Jej stan jest fatalny i bardzo się obawiam, żeby się jeszcze nie pogorszył. Nie była stwo-

rzona do życia zakonnego; i oto co się dzieje wcześniej czy później, gdy człowiek się opiera powszechnemu wrodzonemu popędowi: ten przymus prowadzi ją do afektów zboczonych, które są tym gwałtowniejsze, że są przeciwne naturze; jest to rodzaj obłądu.

– Ona jest obłąkana?

– Tak, i będzie z nią coraz gorzej.

– I czy ksiądz sądzi, że taki los czeka wszystkich, co wstąpili do stanu, do którego zgoła nie byli powołani?

– Nie, nie wszystkich; są tacy, co przedtem umierają; są tacy, których giętki charakter z czasem przystosowuje się do życia klasztorowego; są tacy, których przez pewien czas podtrzymują jakieś mgliste nadzieje.

– A jakież nadzieje może żywić zakonnica?

– Jakież? naprzód nadzieję rozwiązania ślubów.

– A gdy się już nie ma tej nadziei?

– Nadzieję, że pewnego dnia znajdzie się furtkę klasztoru otwartą; że ludzie zerwą z dziwnym zwyczajem zamykania w grobowcach młodych, pełnych życia istot i że klasztory będą zniesione; że w klasztorze wybuchnie pożar; że ściany klauzury runą, że ktoś przyczyni się do tego. Wszystkie te przypuszczenia snują się po głowie; są tematem rozmów; podczas spaceru po ogrodzie mierzy się mimo woli wzrokiem wysokość otaczających murów; gdy się jest w swej celi, chwyta się za pręty kraty i porusza nimi, dla rozrywki; jeżeli pod oknami znajduje się ulica, kieruje się tam spojrzenie; gdy się usłyszy, że ktoś przechodzi, serce uderza mocno, wzdycha się skrycie do oswobodziciela; jeżeli wybucha jakiś tumult i zgiełk dochodzi do klasztoru, rodzi się nadzieja; liczy się na chorobę, która zbliży do jakiegoś obcego mężczyzny lub umożliwi wysłanie na kurację.

– To prawda, to prawda! – zawołałam – ksiądz czyta w głębi mojego serca; łudziłam się, łudzę się jeszcze.

– A kiedy zastanawiając się nad tymi złudzeniami straci się je, bo to zbawienne otumanienie, którym serce osnuwa rozum, rozprasza się od czasu do czasu, wtedy widzi się całą swą nędzę aż do dna, własna osoba przejmuje wstrętem, wstrętem przejmują inni, płacze się, jęczy, krzyczy, czuje się nadchodzący atak rozpacz. Wówczas jedne zakonnice rzucają się do kolan swej przełożonej i tam szukają ukojenia; inne kładą się krzyżem bądź w swej celi, bądź u stóp ołtarza i wzywają niebiosą na ratunek; jeszcze inne drą swój ubiór, wyrwują sobie włosy z głowy; są takie, co szukają głębokiej studni, wysoko umieszczonych okien lub sznurówadła i czasami je znajdują; niektóre po długich udrękach wpadają w rodzaj otepienia i idiocieją; te, które mają organizm słaby i wątły, gasną strawione tęsknotą; są i takie, których ustrój nerwowy załamuje się, wyobraźnia się mąci i stają się furiatkami. Najszczęśliwsze są te w których te same kojące złudzenia odradzają się i kołyszą je niemal do grobu; ich życie upływa na przemian wśród przyływów nadziei i rozpacz.

– A najszczęśliwsze – dodałam, prawdopodobnie z głębokim westchnieniem – są te, które przechodzą kolejno przez te wszystkie stany... Ach, mój ojczu, jaka jestem zła na siebie, że wysłuchałam tego wszystkiego, coś powiedział!

– Dlaczegoż to?

– Nie znałam siebie, teraz siebie znam; moje złudzenia krócej będą trwały. Chwilami...

Miałam mówić dalej, gdy nagle weszła jedna zakonnica, za nią druga, potem trzecia, potem było ich cztery, pięć, sześć, nie wiem ile. Rozmowa stała się ogólna; jedne patrzyły na spowiednika; inne słuchały go w milczeniu i spuściwszy oczy; kilka zapytywało go jednocześnie; wszystkie głośno zachwycały się mądrością jego odpowiedzi; ja zaś usunęłam się w kąt i pograżyłam w głębokiej zadumie. Podczas tych rozmów, gdzie każda starała się wykazać swe zalety i skupić na sobie uwagę kapłana przedstawiając się w korzystnym świetle, usłyszano, jak ktoś zbliża się wolnym krokiem, zatrzymuje się od czasu do czasu i wydaje westchnienia;

nasłuchiowano; któraś rzekła cicho: „To ona, to nasza przełożona.” Potem wszystkie umilkły i usiadły kołem.

Istotnie, to była ona. Weszła; welon opadł jej aż do pasa, ramiona miała skrzyżowane na piersiach, głowę opuszczoną. Byłam pierwszą, którą zauważyła; natychmiast dobyła spod welonu rękę i zasłoniła sobie oczy dłonią; obróciła się trochę w bok, drugą ręką dała nam wszystkim znak, żebyśmy wyszły; usunęliśmy się w milczeniu i została sama z dom Morelem.

Przewiduję, panie markizie, że wyrobi pan sobie o mnie niekorzystny sąd, ale skoro zupełnie się nie wstydziłam tego, co zrobiłam, czemuż miałabym się rumienić przyznając się do tego czynu. A przy tym jakże opuścić w tej opowieści wydarzenie, które pociągnęło za sobą szereg następstw? Powiedzmy tedy, że mam usposobienie dość szczególne: kiedy jakaś rzecz może wzbudzić w panu szacunek lub pogłębić pańskie współczucie, piszę dobrze czy źle, ale z niewiarygodną szybkością i łatwością; dusza moja jest wesoła, wysławianie się przychodzi mi bez trudu; łzy płyną mi łagodnie, wydaje mi się, że pan jest obecny, że pana widzę i pan mnie słucha. Jeżeli, przeciwnie, jestem zmuszona pokazać się panu w niekorzystnym świetle, myśl moja jest oporna, brak mi słów, pióro źle pracuje, co odbija się nawet na charakterze mego pisma, i nie przerywam tylko dlatego, że skrycie tuszę sobie, iż pan nie będzie czytał tych ustępów. Oto jeden z nich:

Kiedy wszystkie nasze siostry wyszły...

„No, to co pani zrobiła?” – rzucił pan pytanie.

Pan się nie domyśla? Nie, pan jest na to za uczciwy. Zeszłam na palcach na dół i cicho stałam pod drzwiami rozmównicy, aby podsłuchiwać, co się tam mówi. To bardzo źle, powie pan... Och, tak, to bardzo źle: sama to sobie pomyślałam; i mój niepokój, środki ostrożności przedsięwzięte, by mnie nie zauważono, zatrzymywanie się w drodze, głos sumienia naglący mnie za każdym krokiem, żebym zawróciła – to wszystko nie pozwalało mi wątpić, że postępuję źle, wszelako ciekawość przeważała i poszłam.

Ale, jeśli to źle, że podsłuchałam rozmowę dwóch osób, które sądziły, że są same, czyż nie jest jeszcze gorzej powtarzać ją panu? Oto jeszcze jeden z tych ustępów, które piszę, bo spodziewam się, że pan ich nie będzie czytał; zresztą, to nie prawda, że się tego spodziewam, ale muszę to sobie tak wyobrazić.

Pierwsze słowa, jakie usłyszałam po dość długiej ciszy, przejęły mnie dreszczem; brzmiały tak: „Mój ojciec, jestem potępiona...”. Gdy się uspokoiłam, słuchałam dalej. Zasłona, która do tego czasu kryła przede mną niebezpieczeństwo, na jakie się naraziłam, rozdzierała się, gdy nagle zawołano mnie na górę, trzeba było iść, więc poszłam, ale niestety, aż zbyt wiele już usłyszałam. Co za kobieta, panie markizie, co za obmierzła kobieta!...

Tutaj pamiętnik siostry Zuzanny urywa się; to, co następuje, to są tylko krótkie notatki dotyczące tego, co widocznie zamierzała zużytkować w zakończeniu swej opowieści. Zdaje się, że przełożona zwariowała i że fragmenty, które zaraz dołączę w odpisie, należy odnieść do jej nieszczęśliwego stanu.

XX

Po tej spowiedzi przełożonej miałyśmy kilka dni spokoju. Radość zapanowała na nowo w zgromadzeniu i otrzymywałam z tej racji powinszowania, które odrzucałam z oburzeniem.

Ona już mnie nie unikała; patrzyła na mnie, lecz moja obecność nie zdawała się już jej onieśmielać. Staralam się ukryć przed nią zgrozę, jaką we mnie budziła, odkąd dzięki szczęśliwej czy fatalnej ciekawości lepiej ją poznałam.

Niebawem stała się milcząca; mówiła tylko „tak” lub „nie”, spacerowała sama; odmawiała przyjmowania pokarmów, krew jej się burzyła, dostała gorączki, a po gorączce przyszło bredzenie.

Leżąc w łóżku widziała mnie, mówiła do mnie, wzywała mnie, żebym podeszła, zwracała się do mnie najczulszymi słowy. Jeżeli słyszała, że ktoś przechodzi obok, jej pokoju, wołała: „To idzie ona; to jej kroki, poznaję je. Niech ją zawołają... Nie, nie, niech ją pozostawia w spokoju.”

Rzecz szczególna, że nie zdarzyło jej się nigdy omylić i wziąć inną za mnie.

Wybuchła śmiechem; w chwilę potem zalewała się łzami. Nasze siostry otaczały ją w milczeniu, a niektóre płakały razem z nią.

Mówiła ni stąd, ni zowąd: „Wcale nie byłam w kościele, nie modliłam się do Boga... Chcę wyjść z tego łóżka, chcę się ubrać; niech mnie ubiorą...”. Jeżeli temu się sprzeciwiano, dodawała: „Dajcie mi przynajmniej mój brewiarz...”. Spełniano jej życzenie, otwierała go, przewracała kartki palcem i wykonywała dalej ten sam ruch, nawet wtedy, gdy żadnej kartki więcej nie było; oczy podczas tego miała błędne.

Pewnej nocy zeszła sama do kościoła: kilka naszych sióstr podążyło za nią. Legła krzyżem na stopniach ołtarza, zaczęła jęczeć, wzdychać, modlić się na cały głos; wyszła, wróciła, powiedziała: „Idźcie po nią, to dusza taka czysta! To istota tak niewinna! Gdyby dołączyła swe modły do moich...”. Potem, zwracając się do całego zgromadzenia i obrócona w stronę stall, które były puste, zawołała: „Wyjdźcie, wyjdźcie wszystkie, niech ona zostanie sama ze mną. Nie jesteście godne zbliżyć się do niej; gdyby wasze głosy złączyły się z jej głosem, wasze niegodne hymny pochwalne skazyłyby wobec Boga słodycz jej modlitwy. Oddalście się, oddalście...”. Potem prosiła mnie, abym błagała niebios o opiekę i przebaczenie dla niej. Widziała Boga: wydawało się jej, że niebo, przeszyte błyskawicami, rozwiera się i grzmi nad jej głową; aniołowie schodzili z nieba w srogim gniewie; pod spojrzzeniami Bóstwa trzęsła się ze strachu; biegała na wszystkie strony, wtulała się w mroczne kąty kościoła, błagała o zmiłowanie, przywierała twarzą do posadzki, tam się uspokajała; przejął ją wilgotny chłód kościoła; odniesiono ją do celi jak nieżywą.

O tej straszliwej scenie nocnej nic nazajutrz nie wiedziała. Mówiła: „Gdzie są nasze siostry? Nie widzę już nikogo, zostałam sama w tym klasztorze; wszystkie mnie opuściły i Teresa również; dobrze zrobiły. Skoro Zuzanny już nie ma, mogę wyjść, nie spotkam jej... Ach, gdybym ją spotkała! ale jej już tutaj nie ma, prawda? Prawda, że jej tu już nie ma?... Szczęśliwy klasztor, który ją posiada. Ona powie wszystko swej nowej przełożonej; co ona sobie o mnie pomyśli?... Czy Teresa umarła? słyszałam dzwon po umarłych całą noc... Biedna dziewczyna, zgubiona na zawsze; i to ja, to ja... Przyjdzie dzień, gdy stanę przed jej obliczem; co jej powiem? jaką dam jej odpowiedź?... Biada jej! Biada mnie!”

Kiedy indziej pytała: „Czy nasze siostry powróciły? Powiedzcie im, że jestem bardzo cho-

ra... Unieście mi poduszkę... Rozsznurujcie mnie... Czuję tu coś, co mnie uciska... Głowa mi płonie, zdejmijcie mi kwef i welon... Chcę się umyć... Przynieście mi wody; lejcie, lejcie jeszcze... Biały jest mój kwef i welon, ale zmaza na duszy pozostała... Chciałabym umrzeć; chciałabym się nigdy nie urodzić, nie byłabym jej nigdy widziała.”

Pewnego ranka znaleziono ją bosą, w koszuli, z rozczochranymi włosami, jak wyjąć, z pianą na ustach, biegła w kółko po celi tuż przy ścianie, z rękami na uszach, z zamkniętymi oczami: „Odsuńcie się od tej otchłani; słyszycie te wrzaski? To piekło; z tej głębokiej pieczary wznosi się ogień, widzę go; słyszę, jak z płomieni pomieszane głosy wołają mnie... Boże, zmiłuj się nade mną!... Idźcie co prędzej, bijcie w dzwon, zwołajcie cały klasztor; powiedzcie, żeby się za mnie modlono, ja też się będę modlić... Ale zaledwie się rozwidnia, nasze siostry śpią... Ja nie zmrzyłam oka całą noc; chciałabym spać, ale nie mogę.”

Jedna z naszych sióstr powiedziała do niej:

– Matko, masz jakieś ciężkie strapienie; zwiierz mi się, to ci może przynieść ulgę.

– Siostro Agato, posłuchaj, podejdź do mnie... bliżej... jeszcze bliżej... nie trzeba, żeby nas słyszano. Wyjawię wszystko, wszystko, ale zachowaj to w sekrecie... Czyś ty ją widziała?

– Kogo, matko?

– Prawda, że nikt nie ma w sobie takiej słodyczy... Jak ona chodzi! Co za skromność! Co za szlachetność! Co za umiar! Idź do niej; powiedz jej... ach, nie! nic nie mów, nie chodź... Nie mogłabyś do niej podejść; aniołowie niebiescy strzegą jej, czuwają dokoła; widziałam ich; gdybyś ty ich widziała, zdjęłaby cię trwoga, jak mnie. Zostań... Gdybyś poszła, co mogłabyś jej powiedzieć? Wymyśl coś, na co ona by się nie zarumieniła...

– Ale, matko, gdybyś tak poradziła się swego spowiednika.

– Tak, no tak... Nie, nie, wiem, co on mi powie, tyle się go nasłuchiwałam... O czym byśmy rozmawiali?... Gdybym mogła stracić pamięć... Gdybym mogła powrócić do nicości lub się odrodzić!... Nie wzywaj spowiednika. Wołałabym, żeby mi czytano.. mękę Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Czytaj... Zaczynam żyć... Potrzeba tylko jednej kropli tej krwi, aby mnie oczyścić... Patrz, wytryska, burząc się, z Jego boku. Nachyl tę świętą ranę ku mojej głowie... Jego krew ścieka po mnie i nie zatrzymuje się... Jestem zgubiona... Odsuń ten krucyfiks... Przynieś mi go z powrotem...

Przynoszono jej krucyfiks z powrotem; ścisłała go w rękach, całowała wszędzie, a potem dodawała:

– To Jego oczy, to Jego usta; kiedyż je znowu zobaczę?... Siostro Agato, powiedz Mu, że Go kocham; odmaluj Mu dobrze mój stan; powiedz Mu, że umieram.

Puszczono jej krew; brała kąpiele; ale jej choroba zdawała się wzmacniać od lekarstw. Nie śmiał panu opisywać wszystkich czynów nieskromnych, które popełniała, powtarzać panu wszystkich bezwstydných słów, które jej się wymknęły w malignie. Co chwila podnosiła dłoń do czoła, jakby dla odpędzenia stamtąd natrętnych myśli, obrazów, bo ja wiem jakich obrazów. Wtulała głowę w poduszki, zasłaniała sobie twarz prześcieradłem. „To kusiciel – mówiła – to on. Co za dziwaczną przybrał postać. Weźcie święconej wody; pokroplcie mnie święconą wodą... Dosyć, dosyć – już go tu nie ma.”

Niebawem zamknięto ją; ale jej więzienie nie było tak dobrze strzeżone, żeby nie zdołała pewnego dnia wyrwać się stamtąd. Podarła na sobie ubranie, biegła po korytarzach całkiem naga, tylko dwa końce rozerwanego sznura zwisały jej z ramion; krzyczała: „Jestem waszą przełożoną, wszystkie składałyście na to przysięgę; macie mi być posłuszne. Uwięziliście mnie, nędznice, oto nagroda za moje względy. Znieważacie mnie, bo jestem za dobra; nie będę taka więcej... Pali się!... mordercy!... złodzieje!... ratunku!... Do mnie, siostro Tereso... Do mnie, siostro Zuzanno...”

Jednakże ją schwytano i odprowadzono do jej więzienia; mówiła: „Macie rację, macie rację, niestety, zwariowałam, czuję to.”

Czasami wydawało się, że jest opętana wizją różnych mąk: widziała kobiety z powrozem

na szyi lub ze skrępowanymi na plecach rękami; widziała u innych pochodnie w rękach; przyłączała się do tych, które odbywały pokutę kościelną; zdawało się jej, że ją prowadzą na śmierć; mówiła do kata: „Zasłużyłam na swój los, zasłużyłam; gdyby choć ta męka była ostatnią; ale wieczność, wieczność ognia piekielnego!...”.

Nie mówię tutaj nic takiego, co nie byłoby prawdą; a wszystko, co jeszcze miałabym prawdziwego do powiedzenia, albo wyleciało mi z pamięci, albo wstydziłabym się brudzić tym te karty.

Po kilku miesiącach życia w tym oplakany stanie umarła. Co za śmierć, panie markizie! Widziałam, widziałam straszliwy obraz rozpacz i występku w jej ostatniej godzinie: wydawało się jej, że otoczona jest w krąg duchami piekieł; czyhały na jej duszę, aby ją porwać: mówiła zdławionym głosem: „Już są! już są!...” i opędzała się im z prawej i lewej strony krucyfiksem trzymany w dłoni; wyła, krzyczała: „Boże!... Boże!...”.

Siostra Teresa wkrótce poszła za nią; miałyśmy nową przełożoną, starą, gderliwą i zaboroną.

Oskarżono mnie, że rzuciłam czary na jej poprzedniczkę; ona w to uwierzyła i moje utrapienia wznowiły się. Nowy spowiednik również jest prześladowany przez swych zwierzchników i namawia mnie, bym uciekła z klasztoru.

Moja ucieczka jest uplanowana. Udaję się do ogrodu między jedenastą wieczorem a północą. Rzucają mi sznury, obwiązuję się nimi; pękają i spadam; mam zdartą skórę na nogach i mocno potłuczony krzyż. Po drugiej, trzeciej próbie dosięgam szczytu muru; spuszczam się. Jakież jest moje zdziwienie, gdy zamiast oczekiwanej karetki pocztowej znajduję obskurną karetkę dorożkarską. Oto jestem w drodze do Paryża z młodym benedyktyinem. Niebawem spostrzegłam się po nieprzyzwoitym tonie, jaki przybierał, i po poufałościach, na jakie sobie pozwalał, że nie dotrzymywał wobec mnie żadnego z umówionych warunków; wówczas żal mi się zrobiło mojej celi i poczułam całą okropność swej sytuacji.

Tutaj odmaluję w przyszłości scenę w dorożce. Co za scena! Co za człowiek! Krzyczę, woźnica śpieszy mi na pomoc. Gwałtowna bójka dorożkarza z mnichem.

Przybywam do Paryża. Pojazd zatrzymuje się w zaułku, przy wąskich drzwiach wiodących do ciemnej i brudnej, długiej sieni. Gospodyni domu wychodzi na moje spotkanie i umieszcza mnie na najwyższym piętrze w izdebce, gdzie znajduję najkonieczniejsze sprzęty. Odwiedza mnie kobieta, która zajmuje pierwsze piętro. „Jest pani młoda, musi się pani nudzić. Niech pani zejdzie do mnie, znajdzie tam pani towarzystwo złożone z mężczyzn i kobiet; nie wszystkie są takie miłe, ale prawie równie młode jak pani. Rozmawia się, gra i śpiewa, tańczy; łączymy ze sobą wszystkie rodzaje rozrywek. Jeśli pani zawróci głowę wszystkim naszym kawalerom, przysięgam, nasze panie nie będą o to zazdrosne ani nie będą się gniewały. Niech pani przyjdzie...”.

Ta, która mi to mówiła, była już niemłoda; oczy miała czułe, głos przymilny, a słowa bardzo ujmujące.

Spędziłam ze dwa tygodnie w tym domu, narażona na wszelkie nalegania ze strony mego zdradzieckiego uwodziciela i na wszelkie awantury w tym podejrzanym miejscu – upatrując wciąż sposobności do ucieczki.

Pewnego dnia wreszcie ją znalazłam; była już późna noc – gdybym była w pobliżu mego klasztoru, wróciłabym tam. Lecę nie wiedząc dokąd. Zatrzymują mnie jacyś mężczyźni; ogarnia mnie trwoga. Padam ze zmęczenia i mdleję na progu sklepu handlarza świec; ratują mnie; gdy przyszłam do siebie, zobaczyłam, że leżę na barłogu, który otacza kilka osób. Pytają się, kim jestem; nie wiem, co odpowiedziałam. Dano mi służkę tego domu, żeby mnie odprowadziła; biorę ją pod rękę; idziemy. Uszłyśmy już szmat drogi, gdy ta dziewczyna mówi mi:

- Panienska prawdopodobnie wie, dokąd idziemy?
- Nie, moje dziecko, myślę, że do przytułku.

– Do przytułku! czyżby panienka była bezdomna?

– Niestety, tak!

– Co takiego panienka zrobiła, że ją wypędzono o tej porze? Ale oto jesteśmy przy bramie Świętej Katarzyny, zobaczymy, czy nas wpuszczają; w każdym razie niech się panienka nie boi, nie zostanie na ulicy, prześpi się ze mną.

Wracam do handlarza świec. Przerazenie służącej, gdy widzi zdartą skórę na moich nogach wskutek upadku przy ucieczce z klasztoru. Tam spędzam noc. Nazajutrz wieczorem wracam do schroniska Świętej Katarzyny – przebywam tam trzy dni, po czym oświadczają mi, że trzeba albo udać się do miejskiego przytułku¹⁸ albo przyjąć pierwsze zajęcie, jakie się nawinie.

Niebezpieczeństwo, jakie mi groziło u Świętej Katarzyny ze strony mężczyzn i kobiet; tam bowiem, jak mi później powiedziano, rozpustnicy i rajfurki miejskie przychodzą zaopatrywać się w „żywy towar”. Oczekiwanie nędzy nie dało do mnie żadnego przystępu grubiańskim zalotom, na które tu byłam wystawiona. Sprzedaję swoje manatki i wybieram sobie ubranie stosowniejsze do mojego obecnego położenia.

Idę na służbę do pewnej praczki, u której jestem obecnie. Przyjmuję bieliznę i prasuję ją; praca moja jest ciężka; mam zły wikt, złe mieszkanie, złe spanie, natomiast jestem po ludzku traktowana. Mąż praczki jest dorożkarzem; żona jego jest nieco opryskliwa, zresztą dobra kobieta. Byłabym dość zadowolona ze swego losu, gdybym mogła spodziewać się, że wolno mi będzie żyć w spokoju.

Dowiedziałam się, że policja schwytała mego uwodziciela i oddała go w ręce jego zwierzchników. Biedny człowiek! jest bardziej ode mnie godny litości; jego zamach narobił hałasu; a pan nie zna okrucieństwa, z jakim mnisi karzą głośne przewinienia: loch będzie jego mieszkaniem do końca życia: i to jest los, który mnie również czeka, jeżeli mnie schwytają; ale on nie będzie tam żył dłużej, niż ja bym żyła.

Ból z powodu mojego upadku daje mi się we znaki; nogi mam spuchnięte i nie mogę zrobić kroku swobodnie – pracuję siedząc, gdyż trudno by mi było stać.

Jednak boję się chwili wyzdrowienia; jakież wówczas miałabym pretekst, aby nie wychodzić z domu? a na jakież niebezpieczeństwo narazi mnie pokazywanie się na ulicy? Na szczęście mam jeszcze przed sobą czas. Moi krewni, którzy nie mogą wątpić, że jestem w Paryżu, z pewnością czynią wszelkie poszukiwania, jakie można sobie wyobrazić. Postanowiłam wezwać pana Manouri na mój strych, zasięgnąć a posłuchać jego rad; ale już nie żył.

Żyję w ustawicznej trwodze; na najmniejszy hałas, który słyszę w domu, na schodach, na ulicy; ogarnia mnie przerażenie, drzę jak liść, kolana uginają się pode mną i robota wypada mi z rąk. Spędzam prawie wszystkie noce nie zmruszając powiek; jeżeli śpię, to snem przerywanym; mówię, wołam, krzyczę; nie pojmuję, jak moje otoczenie jeszcze się niczego nie domyśliło.

Zdaje mi się, że moja ucieczka z klasztoru jest powszechnie znana; tego się spodziewałam. Jedna z mych towarzyszek w pralni mówiła mi o tym wczoraj, dodając ohydne szczegóły i uwagi, które musiały mi sprawić wielką przykrość. Na szczęście wieszala wtedy na sznurach mokrą bieliznę – odwrócona do lampy tyłem, nie mogła widzieć mojego zmieszania; ale moja chlebobawczyni, zauważywszy, że płakałam, powiedziała:

– Co ci jest, Mario?

– Nic – odpowiedziałam.

– Cóż znowu – dorzuciła – czy jesteś taka głupia, żeby się litować nad złą zakonnicą, niemoralną i bezbożną, która zadurza się w niegodziwym zakonniku i razem z nim ucieka ze swego klasztoru? Widocznie masz dla niej więcej współczucia, niż należy. Nie potrzebowała

¹⁸ Przytułek miejski był miejscem przymusowego pobytu m. in. bezdomnych kobiet traktowanych tam z reguły jako prostytutki, bez przydziału” do domów publicznych. Wszystkie paryskie szpitale, przytułki, schroniska były pod zarządem miejskiej Assistance Publique – ówczesnej Opieki Społecznej.

nic robić, tylko pić, jeść, modlić się i spać; dobrze jej się żyło tam, gdzie była, czemu się tego miejsca nie trzymała? Gdyby tak była bodaj trzy, cztery razy z bielizną nad rzeką w taką pogodę jak teraz, to by ją pogodziło z jej położeniem...

Odpowiedziałam na to, że nie wiemy, co przecierpiała; byłabym lepiej zrobiła, gdybym milczała, gdyż ona nie dodałaby:

– Daj spokój, to jest łajdaczka, którą Bóg skarże.

Na te słowa schyliłam się nad stołem i tak siedziałam bez ruchu, póki gospodyni nie powiedziała mi:

– Nad czym ty tak medytujesz, Mario? Ty tu śpisz, a robota czeka.

Nigdy nie miałam w sobie pociągu do klasztoru; chyba dostatecznie tego dowodzi mój postępek; ale przywykłam w zakonie do pewnych praktyk, które powtarzam machinalnie: na przykład, gdy słyszę uderzenie dzwonu, to albo się żegnam, albo klękam. Gdy ktoś puka do drzwi, mówię: *Ave*. Gdy pytają mnie o coś, moja odpowiedź kończy się zawsze słowami: „tak” – lub „nie, droga matko” lub „moja siostrze”. Jeżeli wejdzie niespodzianie ktoś obcy, krzyżuję ręce na piersi i zamiast złożyć ukłon, schylam głowę. Moje towarzyszki zaczynają się śmiać i myślą, że się bawię przedrzeźnianiem zakonnicy; ale jest niemożliwe, by ich pomyłka długo trwała; moje roztrzepanie zdradzi mnie i będę zgubiona.

Panie, niech pan pośpieszy mi z pomocą. Pan mi niezawodnie powie: „Proszę mi wskazać, co mogę dla pani uczynić.” A więc: nie mam wielkich ambicji. Chciałabym otrzymać miejsce pokojówki lub gospodyni, albo nawet zwykłej sługi, bylebym mogła żyć, nieznana, na wsi, na głębokiej prowincji u porządnym ludzi, którzy nie przyjmują gości z wyższych sfer. Pensja nie ma tu znaczenia: pragnę tylko bezpieczeństwa, spokoju, chleba i wody. Niech pan ma całkowitą pewność, że będą ze mnie zadowoleni. Nauczyłam się w domu mojego ojca pracować, a w klasztorze być posłuszna, jestem młoda, mam charakter bardzo łagodny; gdy wyleczę nogi, będę miała więcej siły, niż potrzeba do mych zajęć. Umiejętności: szycie, praśnięcie, haftowanie i pranie; gdy żyłam w świecie, sama naprawiałam swoje koronki i niebawem przypomnę to sobie; jestem zręczna w każdej robocie i potrafię zniżyć się w pracy do wszystkiego. Mam głos, jestem muzykalna i gram na klawesynie dość dobrze, by sprawić przyjemność matce, która lubi muzykę; mogłabym nawet dawać lekcje gry jej dzieciom, ale obawiałabym się, żeby mnie nie zdradziły te oznaki starannego wychowania. Gdyby trzeba było nauczyć się czesania, mam smak, wzięłabym nauczyciela i niebawem nauczyłabym się tej umiejętności. Panie, znośne warunki życia, jeśli to możliwe, jakiegokolwiek warunki życia – oto wszystko, czego mi potrzeba, i nie pragnę niczego ponad to. Może pan ręczyć za moje obyczaje, mimo odmiennych pozorów jestem moralna, nawet nabożna. Ach, panie, cała moja niedola byłaby skończona i nie potrzebowałabym już niczego się obawiać od ludzi, gdyby mnie Bóg nie był powstrzymał; ta głęboka studnia w końcu klasztornej ogrodu! ileż razy ją odwiedzałam! Jeżeli nie rzuciłam się do niej, to dlatego, że pozostawiono mi zupełną swobodę działania. Nie wiem, jaki los został mi przeznaczony, ale jeśli mam kiedyś wrócić do jakiegoś klasztoru – za nic nie odpowiadam: studnie są wszędzie. Panie, niech się pan nade mną ulituje i nie naraża sam siebie na długotrwałe wyrzuty sumienia.

P. S. Jestem bardzo znużona, żyję w ustawicznej trwodze i sen mnie odbiega. Ten pamiętnik, pisany pośpiesznie, odczytałam świeżo z rozważą i spostrzegłam, że bez najmniejszego z mej strony zamiaru przedstawiłam siebie w każdym wierszu jak istotę tak nieszczęśliwą, jak naprawdę byłam, lecz o wiele miłszą, niż jestem. Czyżby to wynikało z tego, że uważamy mężczyzn za mniej czułych na obraz naszych cierpień niż na obraz naszych powabów? I czyżbyśmy sobie obiecywały, że jeszcze łatwiej ich uwieść niż wzruszyć? Znam mężczyzn zbyt mało i nie zbadalam siebie dostatecznie, aby to wiedzieć. Jednakże, gdyby markiz, któremu fama przyznaje najsubtelniejszy takt, miał sobie wyobrazić, że zwracam się nie do jego dobroci, lecz do jego niższych uczuć, co by sobie o mnie pomyślał? Ta refleksja mnie niepo-

koi. Doprawdy, nie miałby zgoła racji przypisując mi osobiście instynkt właściwy całej mojej płci. Jestem kobietą, może nieco zalotną, bo ja wiem? Ale w sposób naturalny i bez sztuczek.

NOTA

Zakonnica osnuta na tle rzeczywistego wydarzenia została napisana w 1760 r. Utwór ten nie mógł ukazać się w druku za życia Diderota. O jego istnieniu wiedzieli tylko najbliżsi przyjaciele autora. Po upływie dwudziestu lat Diderot uczynił próbę, aby zaznajomić z powieścią szerszy krąg czytelników, i wręczył rękopis *Zakonnicy* szwajcarskiemu pisarzowi Meisterowi.

We Francji *Zakonnica* wydana została dopiero w 1796 roku w czasie rewolucji burżuazyjnej i odegrała dużą rolę jako oręż antyklerykalnej propagandy – rozwijającej się w latach rewolucji. Mieszczańska krytyka zaliczyła *Zakonnice* do utworów atakujących przyjęte kano-ny moralności.

W ciągu XIX wieku dwa razy w roku 1824 i 1826 cenzura zabroniła druku powieści.

W przekładzie polskim *Zakonnica* ukazała się pierwszy raz w roku 1949.